

Mary Higgins Clark

Dwa Słodkie Aniołki

tłumaczenie: Magdalena Rychlik

Poczekaj, Rob. Jedna z dziewczynek chyba płacze. Oddzwonię do ciebie za chwilę.

Dziewiętnastoletnia Trish Logan odłożyła telefon komórkowy i pospiesznie wyszła z salonu. Pierwszy raz pilnowała dzieci Frawleyów. Polubiła całą rodzinę od pierwszego wejrzenia. Steve i Margaret przenieśli się z dziećmi do Ridgefield kilka miesięcy temu. Margaret opowiadała, że przyjeżdżała do Connecticut jako dziewczynka. Jej rodzice mieli tu przyjaciół. Już wtedy chciała zamieszkać w tej okolicy.

– W zeszłym roku, kiedy zaczęliśmy poważnie myśleć o kupnie domu, przejeżdżaliśmy przypadkiem przez Ridgefield i poczułam, że właśnie tu jest moje miejsce na ziemi – mówiła.

Frawleyowie kupili stary dom Cunninghamów, który zdaniem ojca Trish bardziej nadawał się do spalenia niż do remontu. Dziś, w czwartek 24 marca, bliźniaczki Kathy i Kelly kończyły trzy latka. Trish została poproszona o pomoc w zorganizowaniu przyjęcia i zaopiekowanie się dziewczynkami wieczorem. Ich rodzice musieli jechać do Nowego Jorku na oficjalny bankiet urządzany przez firmę Steve'a.

Trish Logan od jakiegoś czasu była lekko zaniepokojona ciszą w pokoju dziewczynek. Na przyjęciu buzie im się nie zamykały, a potem małe zrobiły się takie cichutkie... można by pomyśleć, że zniknęły z powierzchni ziemi, myślała wchodząc na górę.

Frawleyowie zerwali starą przetartą wykładzinę, która wcześniej tłumiała odgłosy, i dziewiętnastowieczne schody skrzypiały przy każdym kroku dziewczyny. Zatrzymała się na przedostatnim stopniu. Światło w przedpokoju, które zostawiła zapalone, teraz było wyłączone. Prawdopodobnie przepalił się bezpiecznik. Przewody elektryczne w tym starym domu były w kiepskim stanie.

Sypialnia bliźniaczek znajdowała się na końcu korytarza. Nie dochodził z niej teraz żaden dźwięk. Pewnie jedna z dziewczynek zapłakała przez sen, pomyślała Trish. Szła po omacku w całkowitych ciemnościach. W pewnej chwili zatrzymała się gwałtownie. Nie chodziło tylko o światło w korytarzu. Zostawiła otwarte drzwi do pokoju, żeby słyszeć, jeśli dziewczynki się obudzą. Powinna więc widzieć światło lampki nocnej. A teraz drzwi są zamknięte. Ale nie mogła słyszeć płaczu, gdyby były zamknięte dwie minuty temu.

Nasłuchiwała przerażona. Co to za dźwięk? Tłumiony odgłos kroków, uświadomiła sobie ze zgrozą. I czyjś wstrzymywany oddech. Ostry zapach potu. Ktoś stał za jej plecami. Chciała krzyknąć, jednak wydała tylko stłumiony jęk. Chciała uciekać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ktoś chwycił ją za włosy i odciągnął do tyłu. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był dławiący ucisk na szyi.

Napastnik rozluźnił chwyt i pozwolił Trish osunąć się na podłogę. Włączył latarkę. Pogratulował sobie w duchu, że tak sprawnie obezwładnił dziewczynę. Skierował promień światła na podłogę, przebiegł przez korytarz i otworzył drzwi do pokoju bliźniaczek. Zaspiane i przerażone dziewczynki leżały na swoim podwójnym łóżku. Trzymały się za rączki, jednocześnie próbując zdjąć kneble. Stał nad nimi drugi mężczyzna.

– Jesteś pewien, że cię nie widziała, Harry? – spytał opryskliwie.

– Jestem pewien, Bert.

Obaj pilnowali się, żeby nie używać swoich prawdziwych imion. Bert i Harry to rysunkowe postaci z reklamy piwa nakręconej w latach sześćdziesiątych.

Bert podniósł Kathy i warknął:

– Weź drugą. Owiń ją kocem, na dworze jest zimno.

Mężczyźni w nerwowym pośpiechu wybiegli przez kuchenne drzwi, nie zadając sobie nawet trudu, aby je za sobą zatrzasać. Harry usiadł na podłodze z tyłu furgonetki z bliźniaczkami w tłustych ramionach. Bert prowadził.

Dwadzieścia minut później dotarli na miejsce. Czekala tam na nich Angie Ames.

– Są słodziutkie – zachwyciła się. Harry i Bert umieścili dzieci w przygotowanym wcześniej dużym łóżeczku ze szczebelkami.

Podekscytowana Angie zdjęła dziewczynkom kneble. Małe padły sobie w ramiona i zaczęły przeraźliwie krzyczeć:

– Mamusiu! Mamusiu...

– Ciiii, ciiii, nie bójcie się – uspokajała je Angie, podwyższając ruchomą ściankę łóżeczka. Wsunęła ręce między szczebelki i pogładziła jasnobrązowe loczki dziewczynek. – Już dobrze – przekonywała bliźniaczki łagodnie. – Prześpijcie się troszkę. Kathy, Kelly, śpijcie. Mona się wami opiekuje. Mona was kocha.

Mona to imię, którego kazano jej używać przy dzieciach.

– Nie podoba mi się – narzekała wtedy. – Dlaczego właśnie Mona?

– Dlaczego nie? Brzmi trochę jak mama. Kiedy dostaniemy forszę, oddamy dzieciaki, a nie chcemy przecież, żeby opowiedziały policji: „Bawiłyśmy się z Angie”. Poza tym zawsze się „mondrzysz”.

– Uciszcie te smarkule. Za bardzo hałasują.

– Wyluzuj, Bert. Nikt ich nie usłyszy – zapewnił Harry.

Ma rację, pomyślał Bert, czyli Lucas Wohl. Wciągnął do współpracy Harry’ego, czyli Clinta Downesa, po długim zastanowieniu przede wszystkim dlatego, że Clint przez dziewięć miesięcy w roku pracował jako dozorca klubu golfowego Danbury Country Club i mieszkał w małym domku na jego terenie. Od Święta Pracy do 31 maja klub pozostawał zamknięty. Domek był niewidoczny z drogi wjazdowej, a bramę otwierało się za pomocą specjalnego kodu.

To idealne miejsce, żeby ukryć dzieciaki. W dodatku dziewczyna Clinta miała doświadczenie jako opiekunka.

– Zaraz przestaną płakać – zapewniła Angie.

– Znam się na dzieciach. Zmęczą się i pójdą spać.

Zaczęła je głaskać po pleckach i śpiewać, fałszując niemiłosiernie:

Dwa słodkie aniołki w błękitnych ubrankach, Dwa słodkie aniołki w błękicie.

Ale zły los je rozdzielił...

Lucas zaklął pod nosem. Przecisnął się przez wąską szparę między dziecięcym łóżeczkiem a podwójnym łóżkiem i poszedł do kuchni. Dopiero wtedy on i Clint zdjęli bluzy z kapturami i rękawiczki. Na kuchennym stole czekała przygotowana przed wyjściem butelka szkockiej i dwie szklanki; nagroda za dobrą robotę.

Wohl i Downes usiedli przy stole i przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu. Lucas pomyślał z pogardą, jak bardzo wspólnik różnił się od niego pod każdym względem. Zarówno z wyglądu, jak i temperamentu. Wohl nie miał kompleksów na punkcie swojej powierzchowności. Wiedział, jak wygląda. Mógł obiektywnie podać własny rysopis: wiek – koło pięćdziesiątki, szczupła budowa ciała, średni wzrost, wąska twarz, zakola, blisko osadzone oczy. Pracował na własny rachunek jako kierowca limuzyny. Osiągnął perfekcję w udawaniu służalczego szofera, którego życiową misją jest dbanie o klienta. Zakładał tę maskę do pracy razem z czarnym uniformem.

Clinta poznał w więzieniu. Po wyjściu na wolność współpracowali przy serii włamań. Nie złapano ich, bo Lucas był ostrożny. Nigdy nie złamali prawa na terenie Connecticut, Wohl wierzył w mądrość

przysłowia: „Lis nie kradnie we własnym kurniku”. Bieżące zlecenie, mimo ryzyka, jakie ze sobą niosło, wiązało się ze zbyt dużym zyskiem, żeby go nie przyjąć. Po raz pierwszy złamał swoją zasadę.

Clint otworzył szkocką i napełnił szklanki.

– W przyszłym tygodniu będziemy na jachcie w St. Kitts z portfelami pękającymi w szwach – powiedział z nadzieją, szukając potwierdzenia u kumpla.

Lucas chłodno obserwował swojego współnika. Clint miał niewiele ponad czterdzieści lat, a jego kondycja fizyczna pozostawiała wiele do życzenia. Był niski i dźwigał o dwadzieścia pięć kilo za dużo, co sprawiało, że pocił się łatwo i obficie, nawet w taką chłodną marcową noc jak dzisiejsza. Beczkowaty tułów i grube ramiona kontrastowały z twarzą cherubina i długimi włosami. Zapuszczał je na prośbę Angie.

Angie. Chuda jak suchy patyk, pomyślał Lucas pogardliwie. Okropna cera. Oboje z Clintem zawsze wyglądali niechlujnie, ubierali się w sfatygowane podkoszulki i powycierane džinsy. Jediną zaletą Angie według Lucasa było jej doświadczenie w opiece nad dziećmi. Nic złego nie może spotkać żadnej z tych smarkul, dopóki nie dostaniemy okupu. Potem się ich pozbędziemy. Lucas przypomniał sobie, że Angie ma jeszcze jedną zaletę. Jest chciwa. Zależy jej na pieniądzach. Chce zamieszkać na jachcie na Karaibach.

Wohl podniósł szklankę do ust. Smak whisky wydał mu się kojący.

– Na razie wszystko gra – powiedział beznamiętnie. – Idę do domu. Masz komórkę, którą ci dałem?

– Mam.

– Gdyby dzwonił szef, powiedz mu, że muszę wstać o piątej rano, więc wyłączam telefon. Potrzebuję kilku godzin snu.

– Kiedy będę mógł go poznać, Lucas?

– Nigdy. – Lucas wychylił resztę szkockiej i odsunął krzesło. Z sypialni dobiegało fałszowanie Angie.

My, dwaj dumni bracia, pokochaliśmy dwie piękne siostry...

Rodzice już są, pomyślał Robert „Marty” Martinson, kapitan policji w Ridgefield, słysząc pisk hamulców na podjeździe.

Steve i Margaret zadzwonili na posterunek zaledwie kilka minut po innym zgłoszeniu w tej samej sprawie.

– Nazywam się Margaret Frawley – powiedziała roztrzęsiona kobieta.
– Nasz adres to Old Woods Road numer dziesięć. Nie możemy się dodzwonić do opiekunki. Zajmuje się naszymi trzyletnimi córeczkami. Nie odpowiada telefon domowy ani jej komórka. Coś mogło się stać. Właśnie wracamy z Nowego Jorku.

– Sprawdzimy to – obiecał Marty. Rodzice byli strasznie zdenerwowani. Oby bezpiecznie dojechali do domu. Nie widział powodu, żeby im wtedy mówić, że z całą pewnością stało się coś bardzo złego. Ojciec opiekunki zadzwonił chwilę wcześniej z Old Woods Road:

– Moja córka została związana i zakneblowana. Bliźniaczki, którymi się opiekowała, zniknęły. W ich pokoju jest list z żądaniem okupu.

Teraz, godzinę po zgłoszeniu przestępstwa, dom został już ogrodzony taśmą i czekali na techników. Marty bardzo by chciał, żeby prasa o niczym na razie nie wiedziała, ale zdawał sobie sprawę, że to marzenie ściętej głowy. Rodzice Trish Logan powiedzieli wszystkim pacjentom i personelowi szpitala, do którego przewieziono dziewczynę, o porwaniu dziewczynek. Dziennikarze pojawią się lada chwila. FBI również zostało powiadomione. Agenci byli w drodze.

Marty przygotował się na rozmowę z rodzicami. Właśnie wbiegli kuchennymi drzwiami. Już od pierwszego dnia służby – a zaczynał jako dwudziestojednoletni żółtodziób – starał się zawsze zapamiętywać swoje pierwsze wrażenia na temat ludzi związanych z przestępstwem: ofiar, sprawców, świadków... Notował swoje spostrzeżenia. W kręgach policyjnych był znany jako Obserwator.

Trzydziestolatkowie, pomyślał witając Margaret i Steve’a Frawleyów. Ładna para, oboje w eleganckich wieczorowych strojach. Ona miała rozpuszczone długie brązowe włosy. Smukła i szczupła. Zaciśnięte dłonie sprawiały wrażenie silnych. Krótkie paznokcie, bezbarwny lakier. Prawdopodobnie dość wysportowana, pomyślał Marty. Wpatrywała się w niego z napięciem i wyczekująco ciemnoniebieskimi oczyma, które teraz wyglądały na prawie czarne.

Steve Frawley miał na oko z metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, włosy w kolorze ciemny blond i jasnoniebieskie oczy. Ciasny smoking opinał jego szerokie ramiona. Przydałby mu się nowy, skonstruował Marty.

– Czy coś się stało naszym córeczkom? – spytał Frawley. Położył dłonie na ramionach żony, próbując ją wesprzeć i przygotować na złe wiadomości.

Nie ma sposobu, aby delikatnie powiedzieć rodzicom, że ich dzieci zostały porwane, a na łóżeczku zostawiono list z żądaniem ośmiu milionów dolarów okupu. Niedowierzanie na ich twarzach wygląda na autentyczne, pomyślał Marty. Zanotuje to w swoim dzienniku sprawy, ale opatrzy znakiem zapytania.

– Osiem milionów! Osiem milionów! Czemu nie osiemdziesiąt? – wykrzykiwał Steve Frawley, a jego twarz przybrała barwę popiołu.

– Każdego centa włożyliśmy w ten dom. Na koncie pozostało najwyżej tysiąc pięćset dolarów, nie więcej.

– Czy macie jakichś zamożnych krewnych? – spytał Marty.

Frawleyowie zaczęli się histerycznie śmiać. Steve przytulił żonę, śmiech urwał się raptownie, zastąpiony szlochem.

– Chcę odzyskać dzieci. Gdzie moje maleństwa?

3

O jedenastej zadzwonił telefon komórkowy. Odebrał Clint.

– Dzień dobry panu – powiedział.

– Tutaj Kobziarz.

Ten gość, kimkolwiek jest, chce zmienić głos, pomyślał Clint. Miotał się po salonie, próbując uciec jak najdalej od upiornych dźwięków wydawanych przez śpiewającą Angie. Na litość boską, dzieciaki śpią, pomyślał z irytacją. Zamknij się.

– Co to za hałas w tle? – spytał ostro Kobziarz.

– Moja dziewczyna śpiewa dzieciom kołysankę. – Clint wiedział, że Kobziarz czeka na tę informację. Na wskazówkę, że misja zakończyła się sukcesem.

– Nie mogę się dodzwonić do Berta.

– Prosił, żeby panu przekazać, że o piątej rano ma odebrać kogoś z lotniska Kennedy’ego. Pojechał do domu się przespać i wyłączył telefon. Mam nadzieję...

– Włącz telewizor Harry – przerwał mu Kobziarz. – Mówią o nas w wiadomościach. Zadzwonię rano.

Clint chwycił pilota. Pokazywali dom przy Old Woods Road. W świetle padającym z ganku widać było odpadającą ze ścian farbę i wypaczone okiennice. Żółta taśma policyjna powstrzymująca gapiów i dziennikarzy sięgała aż na ulicę.

– Nowi właściciele domu, Margaret i Steven Frawleyowie, wprowadzili się zaledwie kilka miesięcy temu – mówił prezenter. – Zamiast przeprowadzać generalny remont posesji Frawleyowie zdecydowali się na stopniową renowację. Dziś dzieci z sąsiedztwa świętowały trzecie urodziny zaginionych bliźniaczek. Oto zdjęcie obu siostr zrobione zaledwie parę godzin temu.

Na ekranie ukazały się identyczne buzie dziewczynek wpatrujących się rozszerzonymi z podniecenia oczyma w tort urodzinowy z trzema świeczkami po każdej stronie. Pośrodku stała jedna duża świeczka.

– Jeden z sąsiadów powiedział nam, że duża świeczka symbolizuje wzrastanie. Bliźniaczki są tak identyczne pod każdym względem, że matka zażartowała, iż nie ma sensu stawiać dwóch świec.

Clint zmienił kanał. Pokazywali inne zdjęcie dziewczynek, w niebieskich aksamitnych sukieneczkach. Maluchy trzymały się na nim za

rączki.

– Clint, popatrz jakie one są słodkie. Po prostu śliczne. – Podskoczył, słysząc głos Angie. – Nawet we śnie trzymają się za łapki. Czy to nie urocze?

Nie słyszał, jak podchodziła. Po prostu nagle znalazła się za jego plecami. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Zawsze chciałam mieć dzidziusia, ale powiedzieli mi, że nie mogę – mówiła, głaszcząc jego policzek.

– Wiem, kochanie – odrzekł łagodnie. Znał tę historię.

– A potem długo nie byliśmy razem.

– Musiałaś być w tym specjalnym szpitalu, kochanie. Zrobiłaś komuś wielką krzywdę.

– Ale teraz będziemy naprawdę bogaci i zamieszkamy na jachcie na Karaibach.

– Zawsze o tym marzyliśmy. Wreszcie będzie to możliwe.

– Mam świetny pomysł. Zabierzmy ze sobą dziewczynki.

Clint wyłączył telewizor. Odwrócił się do Angie i złapał ją za nadgarstki.

– Angie, dlaczego te dzieci są teraz z nami?

– Porwaliśmy je.

– Po co?

– Żeby zdobyć mnóstwo pieniędzy i móc zamieszkać na jachcie.

– Zamiast żyć jak cholerni Cyganie, których wykopują stąd każdego lata, żeby zrobić miejsce dla trenera golfa. Wiesz, co będzie, jeśli nas złapią?

– Pójdziemy do więzienia na bardzo, bardzo długo.

– Pamiętasz, co mi obiecałaś?

– Że będę opiekować się dziećmi, bawić się z nimi, karmić je i ubierać.

– I dotrzymasz słowa?

– Tak. Tak Przepraszam, Clint. Kocham cię. Możesz do mnie mówić Mona. Nie podoba mi się to imię, ale jeśli chcesz mnie tak nazywać, to okej.

– Nie możemy używać naszych prawdziwych imion przy bliźniaczkach. Za parę dni oddamy te małe rodzicom i dostaniemy nasze pieniądze.

– Clint, może moglibyśmy... – Angie zamilkła. Wiedziała, że będzie zły, jeśli zaproponuje, żeby zatrzymali jedną z dziewczynek. Tak właśnie

zrobimy, obiecywała sobie przebiegle. Nawet wiem jak. Clint myśli, że jest sprytny. Ale na pewno nie jest sprytniejszy ode mnie.

Margaret Frawley zacisnęła lodowate dłonie na kubku z parującą herbata. Było jej tak zimno... Steve przyniósł koc z kanapy i narzucił żonie na ramiona, ale to niewiele pomogło. Nadal cała się trzęsła.

Bliźniaczki zagięły. Kathy i Kelly zagięły. Ktoś je zabrał i zostawił list z żądaniem okupu. To nie miało najmniejszego sensu. Te słowa rozbrzmiewały jej w głowie raz po raz, jak litania: porwali bliźniaczki, porwali Kathy i Kelly...

Policjanci zabronili im wchodzić do pokoju dziewczynek.

– Musimy je sprowadzić z powrotem. To nasza praca – powiedział kapitan Martinson. – Nie możemy stracić żadnych dowodów: odcisków palców, mikrośladów...

Do zamkniętego obszaru należał też hol na górze, gdzie zaatakowano Trish Logan. Nastolatka czuła się już dobrze, chociaż nadal przebywała na obserwacji w szpitalu. Została przesłuchana. Nie była w stanie udzielić detektywom zbyt wielu informacji. Rozmawiała przez telefon komórkowy ze swoim chłopakiem, kiedy usłyszała płacz jednej z dziewczynek. Poszła na górę i od razu zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Nie widziała światła w pokoju dziecięcym. Wtedy uświadomiła sobie, że ktoś za nią stoi. To wszystko.

Czy był tam ktoś jeszcze? W pokoju bliźniaczek? Kelly ma lżejszy sen, ale Kathy też mogła być niespokojna. Chyba trochę się przeziębila. Czy jeśli jedna z nich zapłakała, ktoś ją uciszył? Margaret wypuściła kubek z rąk i skrzywiła się z bólu. Gorąca herbata poplamiała bluzkę i spódnice, kupione na wyprzedaży specjalnie na dzisiejszą okazję, firmowy bankiet u Waldorfa. Chociaż zapłaciła jedną trzecią sumy, którą musiałaby wydać na Piątej Alei, to i tak cena kreacji była zbyt wysoka jak na ich budżet. Steve chciał, żebym kupiła ten komplet, pomyślała ze znużeniem. To była ważna kolacja. A ja miałam ochotę się wystroić. Nie byliśmy na żadnym eleganckim przyjęciu co najmniej od roku.

Steve próbował osuszyć jej bluzkę ręcznikiem.

– Marg, wszystko w porządku? Nie poparzyłaś się?

Muszę iść na górę, pomyślała Margaret. Może bliźniaczki schowały się w szafie. Czasem tak robiły. Udawała wtedy, że ich szuka, a małe chichotały, kiedy je wołała.

– Kathy... Kelly... Kathy... Kelly... Gdzie moje aniołki... ?

– Steve... Steve... Nie ma naszych córeczek! – krzyczała. Wtedy z szafy dobiegał tłumiony śmiech.

Steve wiedział, że to żarty. Przybiegał na górę. Bez słowa wskazywała mu szafę. Podchodził do niej i mówił:

– Może Kathy i Kelly uciekły. Może już nas nie lubią. Cóż, w takim razie nie ma sensu ich szukać. Wyłączmy światło i chodźmy coś zjeść na mieście.

Drzwi otwierały się natychmiast.

– Lubimy was! Lubimy was! – krzyczały chórem dziewczynki.

Margaret przypomniła sobie ich wystraszone minki. Teraz muszą umierać ze strachu. Ktoś je porwał i przetrzymuje Bóg wie gdzie... To się nie dzieje naprawdę. To tylko koszmarny sen i zaraz się obudzę. Oddajcie mi moje maleństwa. Czemu piecze mnie ramię? Po co Steve robi mi zimny okład? Zamknęła oczy. Miała mglistą świadomość, że kapitan Martinson z kimś rozmawia.

– Pani Frawley.

Podniosła głowę, słysząc nieznany głos.

– Pani Frawley, nazywam się Walter Carlson, jestem agentem FBI. Sam mam trójkę dzieci i wyobrażam sobie, co pani teraz musi przeżywać. Jestem tu, żeby znaleźć dziewczynki, ale będziemy potrzebować pomocy. Odpowie pani na kilka pytań?

Walter Carlson miał miłą twarz i przyjazne spojrzenie. Nie wyglądał na więcej niż czterdzieści pięć lat, więc jego dzieci pewnie były nastolatkami.

– Dlaczego ktoś zabrał moje aniołki?

– Tego właśnie postaramy się dowiedzieć, pani Frawley. Carlson podbiegł, żeby podtrzymać Margaret widząc, że osuwa się na krzesło.

Franklin Bailey, dyrektor finansowy sieci sklepów spożywczych, był osobą, którą Lucas miał zabrać z domu o piątej rano. Stały klient. Często podróżował nocą po wschodnim wybrzeżu. Czasem, tak jak dziś, Wohl zawoził go na Manhattan, czekał aż tamten załatwi swoje sprawy, a potem odwoził do domu.

Nie mógł nie przyjąć tego zlecenia. Wiedział, że policja najpierw od razu sprawdzi wszystkich tych, którzy byli widziani w pobliżu domu Frawleyów. Prawdopodobnie jego też będą sprawdzać; Bailey mieszkał na High Ridge, zaledwie dwie przecznice od Old Woods. Nie znajdą żadnego powodu, żeby mnie podejrzewać, przekonywał sam siebie. Wożę ludzi w tym mieście od dwudziestu lat i nigdy nie zwróciłem na siebie uwagi policji.

Mieszkał w Danbury. Wśród sąsiadów miał opinię spokojnego samotnika. Wiedzieli o nim tylko tyle, że jest zapalonym pilotem amatorem i często odwiedza miejscowe lotnisko. Bawiło go mówienie ludziom, że uwielbia wycieczki i dlatego czasem prosi o zastępstwo innego kierowcę, a sam wyrusza na wyprawę. Celem wycieczek były oczywiście domy, które okradał.

W drodze po Bailey'a z trudem oparł się pokusie przejechania obok domu Frawleyów. To by było nierozsądne. Wyobrażał sobie, co tam się dzieje. Zastanawiał się, czy do akcji wkroczyło już FBI. Ciekawe, co już wiedzą, myślał rozbawiony. Ze otworzyli kuchenne drzwi kartą kredytową? Ze łatwo było zajrzeć pod osłoną przerośniętego żywoplotu do salonu i zauważyć, jak opiekunka trajkocze przez telefon usadowiona wygodnie na kanapie? Ze zaglądając przez okno do kuchni, można było się zorientować, jak wejść na piętro bez zwrócenia uwagi dziewczyny? Ze w porwaniu musiały brać udział co najmniej dwie osoby, jedna obezwładniła Trish Logan, a druga uciszała dzieci?

Zajechał pod dom Franklina Bailey'a za pięć piąta. Nie wyłączał silnika, żeby wewnątrz było miłe i ciepłe dla bardzo ważnego pana dyrektora. Umiał sobie oczekiwanie, przeliczając w wyobraźni swoją część pieniędzy z okupu.

Na widok zbliżającego się Bailey'a Lucas wyskoczył z samochodu i otworzył przed nim drzwi. Przednie siedzenie pasażera było maksymalnie wsunięte, by z tyłu było więcej miejsca. Jeden z wielu małych gestów

uprzejmości Lucasa wobec klienta.

Bailey, srebrnowłosy sześćdziesięcioparolatek, w roztargnieniu wymamrotał słowa powitania. Kiedy samochód ruszył, powiedział:

– Lucas, skręć, proszę, w Old Woods Road. Chcę sprawdzić, czy policja jeszcze tam jest.

Lucas poczuł ucisk w gardle. Dlaczego Bailey chce tam jechać, zastanawiał się gorączkowo. Nie jest wścibski. Musi mieć jakiś powód. Oczywiście jest osobą publiczną, przypomniał sobie. Był burmistrzem. Jego pojawienie się na miejscu przestępstwa nie wzbudzi zdziwienia ani zainteresowania samochodem, którym przyjechał. Z drugiej strony Lucas zawsze ufał swoim przeczuciom, a teraz czuł zimne mrowienie na plecach: niedługo wejdzie w zasięg policyjnych radarów.

– Jak pan sobie życzy, panie Bailey. Ale dlaczego na Old Woods Road miałyby być gliny?

– Najwyraźniej nie oglądałeś wiadomości, Lucas. Trzyletnie bliźniaczki tej pary, która niedawno się wprowadziła do starego domu Cunninghamów, zostały porwane zeszłej nocy.

– Porwane! Pan raczy żartować.

– Chciałbym, żeby tak było – odrzekł ponuro Franklin Bailey. – Nic podobnego nigdy nie wydarzyło się w Ridgefield. Miałem okazję spotkać Frawleyów kilka razy i bardzo ich polubiłem.

Lucas przejechał dwie przecznice, po czym skręcił w Old Woods Road. Przed domem, z którego osiem godzin wcześniej zabrał dzieci, teraz było pełno policjantów. Mimo niepokoju i przemożnej chęci ucieczki, przepełniało go poczucie tryumfu i złośliwej satysfakcji: „Gdybyście tylko wiedzieli, głupole”.

Po drugiej stronie ulicy, na wprost domu Frawleyów, parkowały wozy transmisyjne. Dwóch funkcjonariuszy pilnowało, aby nikt nie wchodził na podjazd. Mieli w rękach notesy. Franklin Bailey uchylił szybę. Natychmiast został rozpoznany przez sierżanta kierującego akcją. Policjant pospieszył z przeprosinami, iż nie może pozwolić mu zaparkować.

– Ned, nie mam zamiaru parkować – przerwał mu Bailey. – Ale może mógłbym się na coś przydać. O siódmej mam spotkanie w Nowym Jorku, będę z powrotem przed jedenastą. Kto jest w środku? Marty Martinson?

– Tak, panie Bailey. I FBI.

– Wiem, jakie są procedury. Przekaż Marty’emu moją wizytówkę. Przez pół nocy słuchałem telewizyjnych relacji. Frawleyowie są nowi w

mieście, nie mają też chyba krewnych, na których mogliby liczyć. Powiedz Marty'emu, że mogę wziąć na siebie kontakty z porywaczami. Jestem do dyspozycji, jeśli tylko moja pomoc będzie potrzebna. Pamiętam, że po porwaniu małego Lindbergha, profesor, który zgłosił się jako osoba kontaktowa, otrzymał wiadomość od porywaczy.

– Przekażę mu, panie Bailey. – Sierżant Ned Barker wziął wizytówkę i zapisał coś w notesie.

– Muszę zapisać każdego, kto przejeżdża. Mam nadzieję, że pan zrozumie – powiedział przepaszająco.

– Naturalnie.

– Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy? – zwrócił się do Lucasa.

– Oczywiście, panie władzo, oczywiście. – Wohl posłał mu swój służalczy, gorliwy uśmiech.

– Mogę ręczyć za Lucasa. Jest moim kierowcą od lat.

– Tylko wypełniam rozkazy, panie Bailey. Proszę mnie zrozumieć.

Policjant przyjrzał się uważnie prawu jazdy. Zerknął na Lucasa.

Bez słowa zwrócił dokument i zapisał coś w notesie. Franklin Bailey zasunął szybę i opadł na siedzenie.

– Dobra, Lucas. Dajmy gazu. To był prawdopodobnie niepotrzebny gest, ale czułem, że muszę coś zrobić.

– Myślę, że to był wspaniały gest, panie Bailey. Nigdy nie miałem dzieci, ale nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, żeby wiedzieć, co muszą teraz czuć ci biedni rodzice.

Mam nadzieję, że czują się wystarczająco parszywie, żeby skombinować osiem milionów dolarów, pomyślał z satysfakcją.

Clint został wyrwany z alkoholowego snu przez dziecięce głosy uporczywie wołające: „mamo!”. Kiedy dziewczynki nie doczekały się żadnej odpowiedzi, zaczęły się wspinać po szczebelkach wysokiego łóżeczka.

Angie chrapała obok, nieświadoma zamieszania i niewrażliwa na hałasy. Ciekawe, ile wypła. Uwielbiała oglądać nocami stare filmy przy butelce wina. Charlie Chaplin, Greer Garson, Marilyn Monroe, Clark Gable – kochała ich wszystkich.

– Oni byli aktorami przez duże A – bełkotała rozmarzona. – Nie to, co ci współcześni. Piękni, sztuczni, plastikowi, po liftingach i liposukcjach. Na dodatek kompletne beztalencia.

Dopiero niedawno, po wielu latach wspólnego życia, Clint odkrył, że Angie jest zazdrosna. Chciała być piękna. Wykorzystał to, namawiając ją do pomocy przy dzieciach.

– Zdobędziemy tyle forsy, że jeśli zapragniesz pojechać do jakiegoś luksusowego salonu odnowy biologicznej albo zmienić kolor włosów czy zapłacić za usługi najlepszych chirurgów plastycznych, nie będzie problemu. Musisz tylko zaopiekować się maluchami przez kilka dni, góra tydzień.

– Wstawaj.

Szturchnął ją teraz łokciem w bok. Wsadził głowę pod poduszkę. Potrząsnął dziewczyną.

– Powiedziałem, wstawaj – warknął.

Niechętnie podniosła głowę i spojrzała wrogo na bliźniaczki.

– Cicho! Spać, ale już! wrzasnęła. Kathy i Kelly rozplakały się głośno.

– Mamusiu! Tatusiu!

– Zamknąć się, powiedziałam! Zamknąć się!

Bliźniaczki posłusznie położyły się i objęły. Z łóżeczka dobiegł tłumiony szloch.

– Zamknąć się, mówię!

Szlochanie przerodziło się w czkawkę. Angie szturchnęła Clinta.

– O dziewiątej Mona zacznie je kochać. Ani minuty wcześniej.

Margaret i Steve spędzili całą noc, rozmawiając z Martym Martinsonem i agentem Carlsonem. Margaret mimo swojego wcześniejszego omdlenia stanowczo odmówiła jazdy do szpitala.

– Sam pan mówił, że potrzebujecie mojej pomocy – upierała się. Razem ze Steve'em odpowiadali na pytania Carlsona. Jeszcze raz zaprzeczyli z przejęciem, jakoby mieli jakikolwiek dostęp do większej sumy pieniędzy, nie mówiąc o ośmiu milionach dolarów.

– Mój ojciec zmarł, kiedy miałam piętnaście lat – tłumaczyła Margaret.
– Moja matka mieszka na Florydzie ze swoją siostrą. Jest rejestratorką w przychodni. Korzystałam z kredytów studenckich, które będę spłacać przez dziesięć lat.

– Mój ojciec jest emerytowanym kapitanem nowojorskiej straży pożarnej – opowiadał Steve. – Kupili z matką dom w Karolinie Północnej. Jeszcze zanim ceny poszły w górę.

Zapytany o dalszych krewnych Steve przyznał, że ma przyrodniego brata, Richiego, z którym nie jest w najlepszych stosunkach.

– Ma trzydzieści sześć lat, jest o pięć lat starszy ode mnie. Moja matka młodo owdowiała. Potem poznała ojca. Richie zawsze miał w sobie coś dzikiego. Nigdy nie byliśmy blisko. Na domiar złego poznał Margaret wcześniej niż ja.

– Nie chodziliśmy ze sobą – szybko uzupełniła żona. – Poznaliśmy się na weselu znajomych. Zatańczyłam z nim kilka razy. Chciał się ze mną umówić, ale nie byłam zainteresowana. Niecały miesiąc potem poznałam Steve'a na uczelni, oboje studiowaliśmy prawo. Całkowity przypadek.

– Gdzie jest teraz Richie? – zwrócił się Carlson do Steve'a.

– Pracuje jako bagażowy na lotnisku w Newark. Jest dwukrotnym rozwodnikiem. Nie skończył szkoły. Chyba ma mi za złe, że zdobyłem dyplom prawnika. – Zawahał się. – Cóż, równie dobrze mogę wam powiedzieć: jeszcze jako nieletni był notowany, a poza tym odsiedział pięć lat za oszustwo i pranie brudnych pieniędzy. Ale nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

– Może i nie, jednak musimy go przesłuchać – odparł Carlson. – A teraz spróbujmy się wspólnie zastanowić, czy jest jeszcze ktoś, kto żywi do was urazę i mógłby wpaść na pomysł porwania dzieci. Jeszcze jedno; wynajmowaliście jakąś ekipę remontową, sprzątającą, wzywaliście

jakiegokolwiek fachowca?

– Nie. Mój tato jest prawdziwą złotą rączką i w dodatku niezłym nauczycielem – odpowiedział Steve bardzo już zmęczonym głosem. – Zająłem się wszystkimi podstawowymi naprawami sam, wieczorami i w weekendy. Jestem prawdopodobnie najlepszym klientem pobliskiego sklepu dla majsterkowiczów.

– A co z ekipą od przeprowadzek?

– To policjanci, którzy dorabiali sobie po godzinach – odrzekł Steve, a na jego twarzy zagościł na moment cień uśmiechu. – Wszyscy mają dzieci. Pokazywali mi nawet ich zdjęcia. Dwójka jest mniej więcej w wieku naszych dziewczynek.

– Co z ludźmi z firmy, w której pan pracuje?

– Jestem w tej firmie dopiero od trzech miesięcy. C. F. G. & Y to fundusz inwestycyjny. Zajmuje się głównie ubezpieczeniami emerytalnymi.

Carlson zwrócił uwagę na fakt, że przed urodzeniem bliźniaczek Margaret pracowała jako obrońca z urzędu na Manhattanie.

– Pani Frawley, czy jest możliwe, że któryś z pani byłych klientów chce się zemścić?

– Nie sądzę, aby tak było. – Zawahała się. – Był jeden facet, skazano go na dożywocie. Błagałam go, żeby się przyznał w zamian za złagodzenie wyroku, ale odmówił i został uznany za winnego. Jego rodzina rzucała obelgi pod moim adresem, kiedy go wyprowadzali.

To dziwne, pomyślała, patrząc jak Carlson zapisuje nazwisko skazanego w notesie. Absolutnie nic nie czuję. Kompletna pustka i odrętwienie.

O siódmej rano wschodzące słońce zaczęło przedostawać się przez zaciągnięte żaluzje. Carlson wstał.

– Nalegam, żebyście trochę odpoczęli. W im lepszej będziecie formie, tym bardziej możecie nam pomóc. Ja jestem tu cały czas. Obiecuję, że zostaniecie poinformowani natychmiast, kiedy porywacze się odezwą. Po południu poprosimy was o krótkie oświadczenie dla mediów. Możecie iść do sypialni, tylko nie wchodźcie do pokoju bliźniaczek. Technicy wciąż zbierają dowody.

Steve i Margaret bez słowa pokiwali głowami. Ledwo trzymali się na nogach ze zmęczenia.

– Są spłukani – stwierdził Carlson rzeczowo, gdy wyszli. – Założę się, o co chcesz. Nie mają żadnych pieniędzy. Dlatego zastanawiam się, czy to

żądanie okupu to nie fałszywy trop. Motyw porwania mógł być zupełnie inny, a list ma na celu wprowadzenie nas w błąd.

– Też mi to przyszło do głowy – przyznał Martinson. – Zazwyczaj porywacze ostrzegają w listach, żeby nie zawiadamić policji.

– Otóż to. Modłę się, żeby te dzieci nie siedziały już w samolocie do Ameryki Południowej.

W piątek rano porwanie bliźniaczek Frawleyów stało się wiadomością dnia na całym wschodnim wybrzeżu, a wczesnym popołudniem mówiła już o tym cała Ameryka. Zdjęcie urodzinowe ślicznych trzylatek o anielskich buziach i z blond loczkami, ubranych w odświeżone niebieskie aksamitne sukieneczki, było na pierwszych stronach gazet i na ekranach telewizyjnych w całym kraju.

Centrum dowodzenia znajdowało się w jadalni domu przy Old Woods Road. O piątej po południu Margaret i Steve stanęli przed kamerami, błagając porywaczy, aby nie robili dzieciom krzywdy.

– Nie mamy tych pieniędzy – przekonywała Margaret. – Ale nasi przyjaciele organizują zbiórkę. Zebrali już prawie dwieście tysięcy dolarów. Proszę was. To jakaś pomyłka. Nie jesteśmy w stanie zdobyć ośmiu milionów dolarów. Ale zaklinam na wszystko, żebyście nie krzywdzili naszych dziewczynek. Oddajcie nam je. Przysięgam, że dostaniecie te dwieście tysięcy dolarów gotówką.

– Skontaktujcie się z nami, bardzo proszę – dodał Steve, obejmując żonę ramieniem. – Musimy wiedzieć, że nasze córeczki żyją.

Potem zabrał głos kapitan Martinson.

– Podajemy numer telefonu i faksu byłego burmistrza Ridgefield, Franklina Baileya. Jeśli obawiacie się skontaktować bezpośrednio z Frawleyami, skontaktujcie się, proszę, z panem Baileyem.

Porywacze jednak uparcie milczeli.

Dopiero w poniedziałek rano dziennikarka Katie Couric przerwała w środku zdania wywiad na żywo z emerytowanym agentem FBI, aby ogłosić:

– Proszę państwa, to może być oszustwo, ale może też okazać się bezcenną informacją. Właśnie mi powiedziano, iż mamy na linii człowieka, który twierdzi, że to on porwał bliźniaczki Frawleyów. Ten mężczyzna chce wejść na antenę. Nasi technicy za chwilę spełnią jego żądanie.

– Przekażcie Frawleyom, że ich czas dobiega końca – rozległ się szorstki i ochrypły poirytowany głos. – Powiedzieliśmy: osiem milionów i ani centa mniej. Posłuchajcie dzieciaków.

– Mamusiu, kocham cię! Tatusiu, kocham cię! – wołały chórem dziewczynki. – Chcemy do domu – zapłakała jedna z nich.

Pięć minut później pokazano taśmę Steve'owi i Margaret. Martinson i Carlson nie musieli nawet pytać, czy nagranie jest autentyczne. Wyraz twarzy rodziców mówił sam za siebie; porywacze wreszcie się odezwali.

Lucas coraz bardziej się denerwował. Wstąpił do stróżówki w sobotę i niedzielę wieczorem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było spotkanie z bliźniaczkami, więc pojawiał się o dziewiątej wieczór, kiedy już spały.

Chciał wierzyć w zapewnienia Clinta, jak wspaniale Angie zajmuje się dziećmi.

– Mają świetny apetyt. Angie grała z nimi w różne gry. Po południu się zdrzemnęły. Ona naprawdę przepada za tymi maluchami. Zawsze marzyła o własnych. Ale mówię ci, to upiorne, jak te dwie są do siebie podobne. Jakby były dwiema połówkami tej samej osoby.

– Nagrałeś je? – przerwał zniecierpliwiony Lucas.

– Jasne. Kazaliśmy im powiedzieć: „Mamusiu, Kocham cię. Tatusiu, Kocham cię. „ Dobrze wyszło. Potem jedna zaczęła wrzeszczeć, że chcą do domu i Angie się wściekła. Podniosła rękę, jakby chciała uderzyć małą, a wtedy obie smarkule zaczęły beczeć. Wszystko jest na kasecie.

To pierwsza rzecz, jaką dobrze zrobiłeś, pomyślał Lucas, wkładając taśmę do kieszeni. Pojechał do pubu Clancy’ego na Siódmej. O dziesiątej trzydzieści, tak jak był umówiony z szefem. Zgodnie z wytycznymi zostawił limuzynę na zatłoczonym parkingu, położył taśmę na siedzeniu i poszedł na piwo, nie zamykając samochodu. Kiedy wrócił, zauważył, że kaseca zniknęła. To było w sobotę. W niedzielę wieczorem stało się oczywiste, że cierpliwość Angie jest na wyczerpaniu.

– Cholerna suszarka się zepsuła i oczywiście nie można wezwać nikogo do naprawy. Może niech Harry sam to zrobi, co? Co ty na to? – narzekając, wyjęła z pralki dwie identyczne bluzeczki z długim rękawem i dwie pary małych ogrodniczek. Rozwiesiła ubranka na wieszakach. – Mówiłeś, że to potrwa tylko kilka dni. Minęły trzy. Ile jeszcze?

– Kobziarz powie nam, kiedy i gdzie podzucić dzieciaki – przy pomniał Lucas, walcząc z pokusą, aby kazać tej nudziarce iść do diabła.

– Skąd masz pewność, że się nie wystraszy i nie zostawi nas z nimi na lodzie?

Lucas nie zamierzał wtajemniczać Angie w szczegóły planu, ale czuł, że musi coś powiedzieć, żeby ją udobruchać.

– Jutro rano między ósmą a dziewiątą wygłosi żądanie okupu w telewizji.

Zamknęła się. Jedno trzeba przyznać szefowi, myślał Wohl, oglądając

telewizję w poniedziałek rano i widząc dramatyczną reakcję rodziców na telefon z żądaniem okupu, teraz cały świat będzie stawał na głowie, żeby zdobyć forszę i odzyskać dzieciaki.

Ale to my ponosimy całe ryzyko, uzmysłowił sobie kilka godzin później, słuchając dziennikarskich komentarzy. My zabraliśmy te smarkule. My je przetrzymujemy. My odbierzemy okup. Tylko ja wiem, kim jest szef. Policja nie ma żadnych podstaw, żeby go podejrzewać. Jeśli nas złapią i będę chciał na niego donieść, nikt mi nie uwierzy.

Lucas nie miał żadnych zleceń aż do wtorku rano. O drugiej po południu zdecydował, że nie warto gnić w mieszkaniu. Kobziarz kazał mu oglądać wieczorne wiadomości, chciał wtedy znów wejść na antenę.

Zostało jeszcze trochę czasu na krótki lot. Lucas pojechał na lotnisko w Danbury. Należał do klubu lotniczego. Wypożyczył mały szybowiec i wystartował. Najbardziej lubił latać nad Atlantykiem. Znajdując się blisko siedemset metrów nad ziemią, miał poczucie całkowitej kontroli nad sytuacją, a teraz bardzo tego potrzebował.

Dzień był chłodny, lekki wietrzyk, prawie bezchmurne niebo: idealna pogoda do latania. Ale nawet radość i wolność szybowania w powietrzu nie pomogła Lucasowi pozbyć się nieustannego dławiącego uczucia niepokoju. Miał wrażenie, że coś przeoczył, a nie wiedział co. Doprowadzało go to do szału. Samo porwanie nie było trudne. Opiekunka nie zauważyła nic poza tym, że napastnik roztaczał intensywną woń potu. Nie myliła się, pomyślał Lucas, uśmiechając się złośliwie. Angie powinna pracować koszule Clintu kilka razy dziennie.

Pralka!

No właśnie! Te rzeczy, które Angie dziś z niej wyjmowała. Dwa identyczne zestawy. Skąd je wzięła? Zabrali dzieciaki w samych piżamach. Czyżby ta idiotka kupiła im ubrania? Tak. Był tego pewien. Niedługo gdzieś jakaś ekspedientka skojarzy sobie kobietę robiącą zakupy dla trzyletnich bliźniaczek z porwaniem.

Czerwony z wściekłości Lucas nerwowo szarpnął drążek i samolot zaczął opadać. To jeszcze wzmogło jego gniew. Pospieszenie spróbował wyrównać lot. Czuł pulsowanie w skroniach. W końcu udało mu się zapanować nad maszyną. Ta debilka jeszcze zabierze dzieciaki do McDonalda, panikował.

Ostatniej wiadomości od porywaczy nie dało się przekazać w delikatny sposób. W poniedziałek wieczorem Walter Carlson odebrał telefon, po którym natychmiast poszedł do salonu, gdzie siedzieli Steve i Margaret.

– Piętnaście minut temu porywacz zadzwonił do sieci CBS podczas transmisji wieczornych wiadomości – oznajmił ponuro. – Właśnie puszczają nagranie z tej rozmowy. Jest na nim ta sama taśma z głosami bliźniaczek, co u Katie Couric, z jednym dodatkiem.

To jakby przyglądać się ludziom wrzucanym do wrzącego oleju, pomyślał, widząc wyraz ich twarzy, kiedy słuchali głosu swojej córki: „Chcemy do domku... „.

– Kelly... – szepnęła Margaret.

Pauza... A potem usłyszeli żaloszny szloch i zawodzenie.

– Nie mogę... Nie mogę... Nie mogę... – Margaret ukryła twarz w dłoniach.

– Powiedziałem: osiem milionów. Teraz. To wasza ostatnia szansa – warknął Kobziarz nienaturalnie ochryłym głosem.

– Margaret – wtrącił stanowczo Walter Carlson. – Sytuacja nie jest beznadziejna. Komunikują się z nami. Mamy dowód, że dziewczynki żyją. Znajdziemy je.

– I zapłacimy osiem milionów dolarów? – spytał gorzko Steve.

Carlson zawahał się. Nie chciał wzbudzać próżnych nadziei, ale agent Dom Picella spędził cały dzisiejszy dzień w C. F. G. &Y. , gdzie Steve był od niedawna zatrudniony. Przesłuchiwał współpracowników Frawleya, żeby ustalić, czy znają kogoś, kto mu źle życzy albo miałby ochotę na jego stanowisko. Picella dowiedział się przy tej okazji, że zostało zwołane spotkanie rady nadzorczej połączone z telekonferencją, w której wezmą udział dyrektorzy oddziałów z całego świata. Plotka głosiła, że firma planuje wyłożyć pieniądze na okup. Wizerunek przedsiębiorstwa nieco ucierpiał wskutek niedawnych oskarżeń o manipulowanie informacjami giełdowymi. Dyrekcja chciała skorzystać z okazji i zatrzeć tamto złe wrażenie.

– Jedna z sekretarek jest straszną gadułą – oznajmił Picella tego popołudnia Carlsonowi. – Mówi, że firma wdepnęła ostatnio w jakąś śmierdzącą aferę. Niedawno zapłacili półmilionową grzywnę i napisano o

nich kilka niepochlebnych artykułów. Jeśli wyłożą kasę na okup, poprawią swój wizerunek skuteczniej, niż gdyby zatrudnili sztab specjalistów od PR-u. Spotkanie rady nadzorczej jest umówione dziś na ósmą.

Przez trzy dni, od porwania bliźniaczek, Frawleyowie jakby postarzeliby się o dziesięć lat, pomyślał Carlson, przyglądając się obojgu. Margaret i Steve byli bladzi, mieli zmęczone oczy i opuszczone ramiona. Przez cały dzień nic nie jedli. Z doświadczenia wiedział, że w takich sytuacjach z reguły zjeżdżają się krewni z całego kraju, ale słyszał, jak Margaret błagała matkę, aby została na Florydzie.

– Mamo, bardziej mi pomożesz, jeśli będziesz się za nas modlić – mówiła łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Będziemy cię informować o wszystkim, co się dzieje, ale chyba nie zniósłabym, gdybyś przyjechała i płakała tu razem ze mną.

Matka Steve'a miała niedawno operację kolana, nie mogła podróżować i wymagała opieki. Przyjaciele rodziny dzwonili nieustannie, ale byli proszeni o nieblokowanie linii, na wypadek gdyby porywacze chcieli się dodzwonić.

Nie do końca przekonany o słuszności tego co robi, Walter Carlson powiedział z wahaniem:

– Nie chciałbym, żebyście robili sobie zbyt wielkie nadzieje, ale prezes twojej firmy, Steve, zwołał nadzwyczajne posiedzenie rady nadzorczej. Z tego, co wiem, jest szansa, że będą dyskutowali o zapłaceniu okupu.

Modlił się, aby to była prawda, widząc nadzieję na twarzach obojga.

– A tymczasem nie wiem jak wy, ale ja jestem strasznie głodny. Wasza sąsiadka przekazała wiadomość jednemu z policjantów. Przygotowała kolację i może ją dostarczyć w każdej chwili.

– Coś zjemy – oznajmił stanowczo Steve. Popatrzył na Carlsona. – Wiem, że to szaleństwo. Jestem nowym pracownikiem, ale w głębi duszy miałem cień nadziei, że może, tylko może, zechcą wyłożyć te pieniądze. To dla nich niewielka suma.

O Boże, pomyślał Carlson. Przyrodni brat może nie być jedyną czarną owcą w rodzinie. Czy za tym wszystkim nie stoi przypadkiem Steve Frawley?

Kathy i Kelly siedziały na kanapie i oglądały kreskówki. Mona zmieniła kanał, żeby obejrzeć wiadomości. Bardzo bały się Mony. Niedawno Harry strasznie na nią nakrzyczał po tym, jak rozmawiał z kimś przez telefon. Był zły, że kupiła dla nich ubranka.

– Może miały chodźć w piżamach przez trzy dni? – odkrzykiwała Mona. – Oczywiście, że kupiłam im trochę ciuchów, zabawek, kasety z kreskówkami i, w razie gdybyś zapomniał, kupiłam też to łóżeczko od firmy handlującej sprzętem medycznym. Przy okazji informuję cię, że kupiłam również płatki śniadaniowe, sok pomarańczowy i owoce. A teraz zamknij się i idź po coś do jedzenia. Nie mam zamiaru gotować. Jasne?

Potem, kiedy Harry wrócił z hamburgerami, jakiś pan w telewizji powiedział:

– Właśnie otrzymaliśmy telefon, który może pochodzić od porywacza bliźniaczek Frawleyów.

– Mówią o nas – szepnęła Kathy. Dotarło do nich nagranie własnych głosów i krzyk Kelly: „My chcemy do domu”. Kathy z trudem powstrzymywała łzy.

– Ja naprawdę chcę do domku. Do mamusi. Niedobrze mi.

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi ten dzieciak – zirytował się Harry.

– Czasami, kiedy gadają między sobą, ja też nic nie rozumiem – odparła rozzłoszczona Angie. – Mają swój własny język. Tak bywa z bliźniakami. Czytałam o tym. Dlaczego Kobziarz nie powiedział im, gdzie zostawić pieniądze? – zmieniła temat. – Na co on czeka? Dlaczego powiedział tylko: „Jeszcze się z wami skontaktuję”?

– Bert mówi, że to gra psychologiczna. Jutro znów się odezwie. Clint/Harry wciąż trzymał torebkę z McDonalda.

– Jedzmy, póki ciepłe. Do stołu, dzieciaki. Kelly zeskoczyła z kanapy, ale Kathy tylko się położyła i zwinęła w kłębek.

– Nie chcę jeść. Niedobrze mi. Angie podbiegła i przyłożyła jej rękę do czoła.

– Ten dzieciak ma gorączkę. – Popatrzyła na Clinta. – Zjedz szybko i skocz do apteki po aspirynę dla dzieci. Jeszcze tego nam brakowało, żeby któraś dostała zapalenia płuc.

Pochyliła się nad Kathy.

– Och, nie płacz, mała. Mona się tobą zaopiekuje. Mona cię kocha.
– Spojrzała ze złością w kierunku stołu, przy którym Kelly zjadała swojego hamburgera, po czym pocałowała Kathy w policzek. – Mona kocha tylko ciebie, aniołku. Jesteś miłsza od siostry. Jesteś ulubienicą Momy.

Tymczasem w sali konferencyjnej C. F. G. &Y. przy Park Avenue Robinson Alan Geisler, przewodniczący spotkania i dyrektor generalny firmy, czekał niecierpliwie, aż dyrektorzy oddziałów zamiejscowych potwierdzą swoją obecność. Jego pozycja już była zagrożona po wpadce z grzywną i wiedział że decyzja, jaką podjął w rozpaczliwej sprawie Frawleyów, może okazać się fatalnym w skutkach błędem. Wciąż czuł na sobie piętno bliskiej znajomości z poprzednim dyrektorem generalnym. Pracował w C. F. G. &Y. od dwudziestu lat, ale najwyższe stanowisko piastował dopiero od jedenastu miesięcy.

Pytanie było proste. Czy jeśli firma zdecyduje się wyłożyć osiem milionów dolarów, wpłynie to pozytywnie na jej wizerunek i będzie rewelacyjnym chwytem reklamowym, czy też, jak twierdzili niektórzy członkowie rady nadzorczej, raczej propozycją dla innych porywaczy i zagrożeniem dla dzieci pozostałych pracowników?

Gregg Stanford, dyrektor finansowy C. F. G. &Y, sądził że to drugie, – To, co się stało, to prawdziwa tragedia, ale wpłacając okup za dziewczynki Frawleyów, narażamy rodziny innych pracowników. Jesteśmy międzynarodowym koncernem, mamy oddziały na całym świecie. Zatrudniamy tysiące ludzi. Wszyscy oni staną się atrakcyjnym celem dla potencjalnych porywaczy.

Geisler wiedział, że taką opinię podziela co najmniej jedna trzecia kadry dyrektorskiej. Z drugiej strony, myślał, w jakim świetle postawimy firmę, jeśli nie zapłacimy ośmiu milionów dolarów, aby uratować życie dwóch małych dziewczynek, skoro stać nas było na zapłacenie pięćsetmilionowej grzywny? Zamierzał zadać to pytanie podczas zebrania. Lecz jeśli dadzą te pieniądze i zostanie porwane dziecko innego pracownika, to tamci pożrą go żywcem.

Pięćdziesięciosześcioletni Rob Geisler wreszcie osiągnął pozycję, na którą pracował całe życie. Był niski i szczupły, często musiał walczyć z uprzedzeniami, jakie świat biznesu żywił do ludzi niskiego wzrostu. Wspiał się tak wysoko, ponieważ uznawano go za finansowego geniusza o wybitnych zdolnościach przywódczych. Jednak w drodze na szczyt narobił sobie mnóstwo wrogów i przynajmniej trzech z nich siedziało teraz przy tym stole.

Ostatni dyrektor działu zamiejscowego zameldował swoją obecność i

wszystkie oczy skierowały się na Geislera.

– Wszyscy wiemy, z jakiego powodu spotkaliśmy się tutaj – oznajmił bez wstępów Rob. – Jestem całkowicie świadomy, co niektórzy z was myślą na ten temat: że nie powinniśmy przystawać na żądania porywaczy.

– Właśnie tak uważają niektórzy z nas, Rob – powiedział cicho Gregg Stanford. – Firma miała ostatnio dosyć kłopotów. Nie powinniśmy nawet brać pod uwagę współpracy z przestępcami.

Geisler popatrzył na kolegę z nieskrywaną niechęcią i pogardą. Stanford wyglądał jak stereotyp biznesmena wysokiego szczebla. Miał czterdzieści sześć lat, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, blond pasemka w różnych odcieniach i filmowy uśmiech. Był bardzo przystojny. Poza tym zawsze nienagannie ubrany i czarujący, nawet kiedy wbijał przyjacielowi nóż w plecy. Dostał się do świata wielkiego biznesu przez małżeństwo – jego obecna, trzecia, żona była główną spadkobierczynią rodziny, do której należało między innymi dziesięć procent akcji C. F. G. & Y.

Geisler domyślał się, że Stanford ma chrapkę na jego posiadłość. To właśnie na niego prasa zrobi nagonkę za odmówienie pomocy zrozpaczonemu rodzicom, jeśli tamten przeforsuje swoje zdanie. Skinał głową sekretarce, która sporządzała protokół spotkania. Kobieta włączyła telewizor.

– Chcę, żebyście to obejrzeni – powiedział zirytowany. – A potem wyobraźcie sobie, że jesteście na miejscu Frawleyów.

Na jego polecenie dział reklamy zmontował film z wszystkich materiałów dotyczących porwania: widok domu Frawleyów z zewnątrz, rozpaczliwe prośby rodziców kierowane do porywaczy, nagranie z programu Katie Couric i późniejsze z CBS. Film kończyło poruszające wołanie: „Chcemy do domu” i płacz przerażonych dziewczynek.

– Większość osób siedzących przy tym stole jest rodzicami. Możemy przynajmniej spróbować uratować te dzieci. Niekoniecznie musi nam się to udać. Albo odzyskamy potem te pieniądze, albo nie.

Ale nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek z nas mógłby pozbawić te dziewczynki być może jedynej szansy.

Wszystkie głowy zwróciły się teraz w stronę Gregga Stanforda.

– Z kim przestajesz, takim się stajesz – powiedział, bawiąc się długopisem i nie patrząc na zebranych.

Następnie głos zabrał Norman Bond.

– To ja zatrudniłem Steve’a Frawleya i jestem zadowolony ze swojego

wyboru. Nie ma to zbyt wielkiego znaczenia w sprawie, o której mówimy, ale Steve jest świetnym pracownikiem i jeszcze nie raz się o tym przekonamy. Głosuję za zapłaceniem okupu i proponuję, aby taka decyzja została podana do wiadomości publicznej jako jednomyślny wynik głosowania rady.

Pragnę przypomnieć Greggowi, że wiele lat temu J. Paul Getty odmówił zapłacenia okupu za swojego wnuka, ale zmienił zdanie, kiedy otrzymał pocztą odcięte ucho dziecka. Bliźniaczki są w niebezpieczeństwie i im wcześniej pospieszymy z pomocą, tym mniejsze ryzyko, że dziewczynkom stanie się jakaś krzywda.

To poparcie przyszło z nieoczekiwanej strony. Geisler i Bond rzadko się zgadzali. Bond podjął decyzję o zatrudnieniu Steve'a chociaż mieli w firmie trzy inne osoby ubiegające się o to stanowisko. Dla właściwego człowieka taki awans był wielką szansą. Geisler ostrzegwał Bonda przed zatrudnianiem kogoś z zewnątrz, ale ten uparł się właśnie na Frawleya.

– Ma dyplom MBA i ukończone studia prawnicze – przekonywał. – Jest inteligentny i godny zaufania.

Geisler spodziewał się, że Bond, czterdziestokilkuletni bezdzietny rozwodnik, będzie raczej przeciwny zapłaceniu okupu lub też nie zechce się wychylać, ponieważ przede wszystkim, gdyby nie jego decyzja o zatrudnieniu Frawleya, firma nie miałaby teraz takich dylematów.

– Dziękuję, Norman – powiedział. – Jeżeli ktoś jeszcze ma jakiegokolwiek wątpliwości, proponuję, aby ponownie obejrzał nagranie.

Za kwadrans dziewiąta wynik głosowania wynosił czternaście głosów za zapłaceniem okupu i jeden przeciw. Geisler zwrócił się lodowato do Stanforda:

– Chcę, aby ta decyzja była jednomyślna. Potem, jak zwykle, anonimowy informator może zawiadomić media o twoich wątpliwościach co do słuszności naszego postępowania. Ale dopóki to ja siedzę na fotelu prezesa, żądam jednomyślnej decyzji.

Gregg Stanford uśmiechnął się drwiąco i skinął głową.

– Decyzja będzie jednomyślna. A kiedy jutro rano będziesz ogłaszać ją publicznie na tle tej ruiny, w której mieszkają Frawleyowie, jestem pewien, że wszyscy członkowie zarządu pojawią się na miejscu u twego boku.

– Włączając, oczywiście, ciebie? – spytał Geisler z przekąsem.

– Wyłączając mnie – odparł Stanford wstając. – Ja zachowam komentarz dla prasy na inną okazję.

Margaret zdołała przełknąć parę kęsów pieczonego kurczaka przygotowanego dla nich przez sąsiadkę, Renę Chapman. Po kolacji, kiedy Steve i Carlson czekali na wynik głosowania rady nadzorczej C. F. G. &Y, Margaret wymknęła się na górę do sypialni córeczek.

To był jedyny pokój, który wyremontowali i umeblowali przed wprowadzeniem się. Steve pomalował ściany na jasnoniebiesko, a sfatygowaną podłogę przykryli białym dywanem kupionym na wyprzedazy. Upolowali też na pchlim targu staroświeckie podwójne łóżko w komplecie z toaletką.

Nie było sensu kupować dwóch pojedynczych, myślała Margaret. Siedziała w bujanym fotelu, który dostała, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. I tak spałyby razem, a przynajmniej trochę zaoszczędziliśmy.

Agenci FBI zabrali pościel, żeby zbadać mikroślady. Zebrali też odciski palców z mebli. Wzięli ubranka noszone przez dziewczynki tuż przed porwaniem, żeby psy, które od trzech dni przeszukiwały pobliskie parki, mogły złapać trop. Margaret wiedziała, co oznaczają takie poszukiwania: istniała możliwość, że porywacze od razu zabili dziewczynki i ukryli zwłoki nieopodal. Aleja w to nie wierzę, powtarzała sobie. One żyją. Wiedziałabym, gdyby było inaczej.

W sobotę, kiedy policja skończyła zbieranie dowodów, a Steve i ona zwrócili się w mediach z prośbą do porywaczy, Margaret poczuła potrzebę, żeby pójść na górę do pokoju małych, posprzątać tam i zmienić pościel. Będą zmęczone i przestraszone, kiedy wrócą, rozumowała. Położę się tu razem z nimi, dopóki się nie uspokoją.

Zadrzała. Ciągle mi zimno, pomyślała. Nawet w dwóch swetrach. Podobnie musiała się czuć Annę Morrow Lindbergh, kiedy porwano jej synka. Margaret czytała jej pamiętniki jeszcze w liceum. Tak okropnie się boję. Chcę odzyskać dzieci. Wstała i podeszła do parapetu. Stały tam ulubione zabawki dziewczynek. Przytuliła się mocno do pluszowego misia. Wyjrzała przez okno. Padał deszcz. Dziwne, pomyślała. Przez cały dzień było słonecznie. Chłodno, ale słonecznie. Kathy jest lekko przeziębiona. Tłumiony szloch ścisnął jej gardło. Walczyła ze łzami, próbując myśleć o tym, co mówił agent Carlson. Dziesiątki ludzi prowadzą poszukiwania w terenie. Inni przeszukują archiwa Quantico,

wyciągają akta skazanych za podobne przestępstwa. Policja przesłuchuje wszystkich podejrzanych o pedofilię w promieniu kilku kilometrów. Dobry Boże, tylko nie to, wzdrygnęła się. Niech te potwory trzymają się z daleka od moich dziewczynek.

Policjanci rozmawiają z każdym mieszkańcem miasteczka, być może ktoś zauważył coś podejrzanego. Dzwonili nawet do agencji, która sprzedała dom, aby sprawdzić, kto jeszcze był zainteresowany Jego kupnem i znał rozkład pomieszczeń. Kapitan Martinson i agent Carlson wierzyli, że w końcu trafią na jakiś ślad. Ktoś musiał coś widzieć. Ulotki ze zdjęciami dziewczynek zostały rozesłane po całym kraju. Są w Internecie i na pierwszych stronach gazet.

Wciąż tuląc misia, Margaret podeszła do szafy i otworzyła ją. Dotknęła aksamitnych sukieneczek, w których bliźniaczki świętowały swoje urodziny, i długo im się przyglądała. Dziewczynki były w piżamkach, kiedy zostały porwane. Czy mają je wciąż na sobie?

Do pokoju wszedł Steve. Margaret odwróciła się i zobaczyła wyraz głębokiej ulgi w oczach męża. Wiedziała, co to oznacza: jego firma zapłaci okup.

– Za chwilę to ogłoszą – oznajmił poruszony. – A rano dyrektor generalny i niektórzy z członków zarządu przyjadą tutaj do nas i wspólnie wygłosimy apel do porywaczy. Poprosimy o instrukcje, jak i gdzie dostarczyć pieniądze, oraz zażądamy dowodu, że dziewczynki żyją. – Zawahał się. – Margaret, FBI żąda, abyśmy oboje poddali się testom na wariografie.

W poniedziałek o dwudziestej pierwszej piętnaście Lucas siedział w swoim mieszkaniu nad obskurnym sklepem z materiałami żelaznymi przy Main Street w Danbury i oglądał telewizję. Podano wiadomość z ostatniej chwili. C. F. G. &Y. zapłaci okup za bliźniaczki Frawley. Chwilę później zadzwonił jego telefon komórkowy. Lucas włączył urządzenie nagrywające, które kupił dziś po drodze z lotniska.

– Zaczyna się – szepnął ochryply głos.

Głębokie Gardło, pomyślał ironicznie Lucas. Policja ma doskonałe urządzenia do identyfikacji głosu. Na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak, będę miał kartę przetargową w rozmowach z gliniarzami. Ty będziesz tą kartą.

– Właśnie oglądam wiadomości.

– Dzwoniłem do Harry’ego godzinę temu – powiedział Kobziarz. – Jeden z dzieciaków płakał. Kontrolujesz sytuację?

– Byłem tam wczoraj wieczorem. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku.

– Mona dobrze się nimi opiekuje? Nie chcę żadnej wpadki. Lucas nie mógł oprzeć się takiej pokusie.

– Ta głupia suka tak dobrze się nimi opiekuje, że kupiła nowe ubranka. Identyczne. Rozumiesz? Żeby sprzedawczyni nie miała wątpliwości, że to dla bliźniąt.

– Gdzie? – Tym razem głos nie był zniekształcony.

– Nie wiem.

– Chyba nie zamierza wystroić w nie dzieciaki, kiedy będziemy je oddawać? Może chce, żeby gliniarze dotarli do sprzedawczyni, która powie: „Pewnie, że pamiętam kobietę, która kupiła te rzeczy”?

Lucas był zadowolony z nerwowej reakcji Kobziarza. To sprawiało, że sam bał się odrobinę mniej. Coś mogło się nie udać, zdawał sobie z tego sprawę. Chciał podzielić się z kimś swoim niepokojem – Powiedziałem Harry’emu, żeby nie wypuszczał jej więcej z domu.

Za czterdzieści osiem godzin będzie po wszystkim. Jutro powiem im, jak odbierzemy pieniądze. W środę dostaniecie kasę, a wieczorem dam wam znać, gdzie podrzucić dzieciaki. Dopilnuj, żeby miały na sobie tylko to, w co były ubrane w momencie porwania. – Odłożył słuchawkę.

Lucas wyłączył urządzenie nagrywające. Siedem milionów dla ciebie;

po pół miliona dla mnie i Clinta. Nie sądzę, panie Kobziarzu, pomyślał.

Konferencja prasowa, na której Robinson Geisler miał razem z Frawleyami wygłosić oświadczenie, została wyznaczona na dziesiątą rano we wtorek. Żaden z pozostałych dyrektorów nie zgodził się w niej uczestniczyć.

– Głosowałem za, ale sam mam trójkę dzieci – tłumaczył jeden z nich Geislerowi. – Nie chcę ich narażać, pokazując się w telewizji.

Margaret prawie nie zmrużyła oka tej nocy, o szóstej rano była już na nogach. Długo stała pod gorącym strumieniem prysznica, próbując się rozgrzać i wciąż drżąc z zimna. Potem owinęła się grubym szlafrokiem męża i wróciła do łóżka. Steve wymknął się prasie przez tylne drzwi. Chciał pobiegać. Wyczerpana po bezsennej nocy Margaret zamknęła ciężkie powieki.

Steve obudził ją o dziewiątej. Postawił tacę z kawą, grzankami i sokiem pomarańczowym na nocnym stoliku.

– Pan Geisler właśnie przyjechał. Lepiej zacznij się ubierać, kochanie. Cieszę się, że udało ci się zasnąć chociaż na trochę. Przyjdę po ciebie, kiedy trzeba będzie wychodzić.

Margaret zmusiła się do wypicia soku i przełknięcia kilku kęsów grzanki. Potem wstała, popijając kawę i zaczęła się ubierać. Zatrzymała się w połowie wkładania czarnych dżinsów. Tydzień temu, kiedy była w centrum handlowym na Siódmej Ulicy po odświeżenie ubranka dla dziewczynek, kupiła sobie nowy dres. Wybrała czerwony, bo bliźniaczki przepadają za tym kolorem. Może ten, kto je przetrzymuje, pozwala im oglądać telewizję. Może ich zobaczą.

– Lubię czerwony, bo to taki wesoły kolor – mawiała Kelly z namaszczeniem.

Ubiore się dziś na czerwono specjalnie dla nich, zdecydowała Margaret, zdejmując z wieszaka nowe spodnie i bluzę. Po oświadczeniu dla prasy zostaną poddani testom na wariografie. Jak ktoś może choćby przypuszczać, że mamy z tym cokolwiek wspólnego, denerwowała się, pospiesznie wkładając dres. Zawiązała buty, pościeliła łóżko i usiadła na nim ze spuszczoną głową i złożonymi rękoma. Boże, spraw, żeby dziewczynki wróciły bezpiecznie do domu. Proszę. Proszę.

Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł Steve.

– Jesteś gotowa, skarbie?

Podszedł do niej, ujął jej twarz w dłonie i pocałował Margaret w usta. Zanurzył palce w jej włosach i przesunął po ramionach.

Zanim dowiedział się, że okup zostanie zapłacony, był na skraju załamania nerwowego.

– Marg, jedynym powodem, dla którego chcę nas poddać tym testom, jest mój kochany braciszek – powiedział jej w nocy. – Wiem, co myśli FBI: że Richie pojechał w piątek do mamy, do Karoliny, żeby zapewnić sobie alibi. Wcześniej nie odwiedzał jej przez rok. A kiedy przyznałem się Carlsonowi, że w cichości ducha liczyłem na swoją firmę, zdałem sobie sprawę, iż sam stałem się podejrzany. Ale na tym polega praca FBI. Chcę, żeby podejrzewali wszystkich i każdego.

Zadaniem Carlsona jest odnalezienie moich dzieci, pomyślała Margaret schodząc z mężem na dół. W korytarzu podeszła do Robinsona Geislera.

– Jestem bardzo wdzięczna panu i firmie – powiedziała.

Steve otworzył drzwi i ujął żonę za rękę. Oślepiły ich światła fleszów. Razem z Geislerem podeszli do przygotowanego wcześniej stołu i krzeseł. Margaret bardzo się ucieszyła na widok Franklina Baileya. Słyszała, że zgłosił się na pośrednika między nimi a porywaczami. Poznała go na poczcie. Kupowała znaczki, a wtedy Kelly wymknęła jej się i już biegła w kierunku ruchliwego skrzyżowania. Bailey złapał ją w ostatniej chwili.

Deszcz przestał padać, poranne marcowe powietrze pachniało wiosną. Margaret popatrzyła z roztargnieniem na zebranych dziennikarzy, policjantów powstrzymujących gapiów przed wejściem na teren posesji i wozy transmisyjne zaparkowane rzędem po drugiej stronie ulicy. Podobno kiedy człowiek umiera, widzi z góry swoje ciało obserwuje, co się z nim dzieje, ale w tym nie uczestniczy. Słuchają jak Robinson Geisler zgłaszał gotowość zapłacenia okupu. Steve zażądał od porywaczy potwierdzenia, że dziewczynki żyją. Franklin Bailey informował, że to z nim należy się kontaktować w sprawie odbioru pieniędzy. Wolno podyktował swój numer telefonu.

– Pani Frawley, czego się pani najbardziej boi teraz, kiedy już wiadomo, że żądania porywaczy zostaną spełnione? – spytał jakiś dziennikarz.

Głupie pytanie, pomyślała Margaret.

– Oczywiście najbardziej boję się, że w czasie między przekazaniem pieniędzy a oddaniem dzieci zdarzy się coś nieprzewidzianego. Im dłuższa będzie przerwa między tymi dwoma wydarzeniami, tym większe zagrożenie, że sprawy potoczą się niepomyślnie. Wydaje mi się, że Kathy

może być przeziębiona. Ma skłonności do infekcji górnych dróg oddechowych. Prawie ją straciliśmy z powodu bronchitu, kiedy była niemowlęciem. – Spojrzała prosto w kamerę. – Bardzo proszę, błagam was, jeżeli jest chora, zabierzcie ją do lekarza albo przynajmniej podajcie jakieś leki. Dziewczynki były tylko w piżamkach, kiedy je zabieraliście.

Głos jej się załamał. Nie planowałam, że to powiem, pomyślała. Dlaczego o tym wspomniałam? Był jakiś powód, ale nie mogła sobie przypomnieć, jaki. Miało to związek z piżamkami.

Pan Geisler, Steve i Franklin Bailey odpowiadali na pytania dziennikarzy. Mnóstwo pytań. Załóżmy, że dziewczynki to oglądają. Muszę im coś powiedzieć, postanowiła. Przerwała reporterowi w pół słowa, mówiąc ze wzruszeniem:

– Kocham cię, Kelly. Kocham cię, Kathy. Przysięgam, że już nie długo znajdziemy sposób, żebyście mogły wrócić do domu.

Margaret umilkła. Wszystkie kamery były skierowane na nią. Jest coś, o czym wiem, coś, o czym zapomniałam! Jakiś związek... muszę sobie przypomnieć! Omal nie krzyknęła na głos.

O piątej po południu do drzwi domu Franklina Bailey'a zapukał Jego sąsiad, emerytowany sędzia Benedict Sylvan.

– Franklin, właśnie odebrałem telefon – powiedział, z trudem chwyając oddech. – Zdaje się, że od porywacza. Ma zadzwonić do ciebie na mój numer dokładnie za trzy minuty. Mówi, że chce ci udzielić instrukcji.

– Musi wiedzieć, że mój telefon jest na podsłuchu. Dlatego dzwoni do ciebie – domyślił się Bailey.

Pobiegli obaj przez trawnik oddzielający posesje. Ledwie zdążyli przekroczyć próg domu sędziego, zadzwonił telefon w gabinecie. Sylvan rzucił się w stronę aparatu.

– Franklin Bailey już tu jest – wysapał i oddał słuchawkę sąsiadowi. Rozmówca przedstawił się jako Kobziarz. Jego polecenia były krótkie i dokładne: jutro przed dziesiątą rano C. F. G. & Y. przekaże siedem milionów dolarów na zagraniczne konto. Pozostały milion dolarów zostanie odebrany w gotówce, w używanych dwudziesto- i pięćdziesięciodolarówkach o przypadkowych numerach seryjnych.

– Dalsze instrukcje co do sposobu przekazania gotówki dostaniecie po transakcji bankowej.

Bailey notował wszystko w zeszycie leżącym na biurku sędziego.

– Musimy mieć dowód, że dziewczynki żyją – powiedział napiętym, niespokojnym głosem.

– Rozłącz się teraz. Za minutę usłyszysz głosy dwóch słodkich aniołków.

Franklin Bailey i sędzia Sylvan patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili telefon znów zadzwonił. Bailey usłyszał w słuchawce dziecięcy głos.

– Dzień dobry, panie Bailey. Widziałyśmy pana rano w telewizji z mamusią i tatusiem.

– Dzień dobry, panie... – wyszeptała druga dziewczynka, po czym dostała ataku głębokiego duszącego kaszlu, który dźwięczał w głowie Bailey'a jeszcze długo po tym, jak połączenie zostało przerwane.

Podczas gdy Kobziarz udzielał instrukcji Franklinowi Baileyowi, Angie przemierzała z koszykiem rzędy półek w aptece, próbując znaleźć coś, co powstrzymałoby chorobę Kathy. Miała już aspirynę dla dzieci, krople do nosa, maść rozgrzewającą i nawilżacz powietrza.

Babcia leczyła mnie inhalacjami, kiedy byłam mała, przypomniała sobie. Ciekawe czy jeszcze się tak robi. Może lepiej zapytać Julia. Jest dobrym farmaceutą. Kiedy Clint zwicchnął ramię, dał mu coś, co pomogło prawie natychmiast. Zdawała sobie sprawę, że Lucas dostałby zawału, gdyby wiedział że kupuje coś dla dzieci. Ale co mam niby zrobić, pozwolić tej małej umrzeć, usprawiedliwiała się w myślach.

Dziś rano oglądali z Clintem specjalne wydanie wiadomości. Szef Steve'a Frawleya obiecywał, że zapłaci okup. Zamknęli małe w sypialni na czas trwania programu, bo nie chcieli, żeby wpadły w histerię na widok ojca i matki na ekranie.

Okazało się, że był to błąd, bo po transmisji zadzwonił Kobziarz. Nalegał, żeby zrobili nagranie dziewczynek, w którym powiedzą temu Baileyowi, że widziały go w telewizji. Jednak kiedy próbowali je do tego nakłonić, Kelly, ta bardziej rozwydrzona, zaczęła się buntować.

– Nie widziałyśmy go i nie widziałyśmy mamusi i tatusia w telewizji, i chcemy do domu – upierała się. A potem Kathy dostawała ataku kaszlu za każdym razem, kiedy próbowała powiedzieć: „Dzień dobry, panie Bailey”.

W końcu skłonili Kelly do powiedzenia tego, czego życzył sobie Kobziarz. Przekupili ją obietnicą powrotu do domu, jeśli wykona polecenie. Kobziarz nie przejął się tym, że Kathy zdołała powiedzieć tylko kilka słów. Spodobał mu się ten jej przeraźliwy kaszel. Nagrał wszystko na swoją komórkę. Angie kluczyła z wózkiem między półkami; nagle zaschło jej w gardle. Obok lady wisiał ogromny plakat ze zdjęciem bliźniaczek: ZAGINIONE. ZA WSZELKIE INFORMACJE DOTYCZĄCE MIEJSCA POBYTU WYSOKA NAGRODA.

Nie było kolejki i Julio przywołał ją skinieniem.

– Cześć, Angie – zagadnął, wskazując plakat. – Okropne, co? Mam na myśli to porwanie. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógł zrobić coś takiego.

– Tak, to straszne – przyznała Angie.

– W takich chwilach cieszę się, że Connecticut nie zniosło kary śmierci. Jeśli cokolwiek stanie się tym dzieciom, osobiście zgłoszę się na ochotnika do przygotowania śmiertelnego zastrzyku dla śmiecia, który to zrobił. – Potrząsnął głową. – Cóż, możemy się tylko modlić, zęby wróciły bezpiecznie do domu. W czym mogę ci pomóc, Angie?

Angie udała, że szuka czegoś w torebce, a potem wzruszyła ramionami. Jej czoło zrosił pot.

– Niewiele. Chyba zapomniałam recepty. Nie zabrzmiało to wiarygodnie.

– Zadzwoń do twojego lekarza.

Och, dzięki, ale on jest teraz w Nowym Jorku. Nie zastaniesz go. Przyjdę później.

Rozmawiała z Juliem tylko parę minut i to pół roku temu, kiedy kupowała tę maść dla Clinty, a jednak pamiętał jej imię. Czy pamiętał też, z kim i gdzie mieszka? Oczywiście! Wspominała mu o tym wtedy.

Julio był mniej więcej w jej wieku. Wysoki, w typie Latynosa, nosił okulary w oprawkach, które seksownie podkreślały oczy. Jego wzrok prześlizgnął się po zawartości koszyka. Wszystko było na wierzchu. Aspiryna dla dzieci. Maść rozgrzewająca. Nawilżacz powietrza.

Teraz zacznie kombinować, po co kupuję leki dla chorego dzieciaka, pomyślała przerażona Angie. Wolą się nad tym nie zastanawiać. Przyszła tu w konkretnym celu. Skorzystam z metody babci, zdecydowała. Sprawdzała się, kiedy byłam mała, sprawdzi się i teraz.

Zawróciła i wrzuciła do koszyka jeszcze jedno pudełko z maścią rozgrzewającą, po czym pospieszyła do kasy. Jedna była zamknięta, przy drugiej stała sześćosobowa kolejka. Trzy osoby zostały obsłużone dosyć szybko, ale potem kasjerka powiedziała:

– Moja zmiana się skończyła. Zaraz obsłużę państwa ktoś inny. Co za kretynka, irytowała się Angie, kiedy druga kasjerka w nie skończoność przygotowywała stanowisko.

No, pospiesz się, przeklinała ją w duchu, niecierpliwie popychając wózek. Tęgi facet z przeładowanym koszykiem stojący przed nią odwrócił się teraz. Wyraz zniescierpliwienia na jego twarzy szybko przerodził się w szeroki uśmiech.

– Cześć, Angie. Co ty wyczyniasz? Próbujesz pozbawić mnie dolnych kończyn?

– Cześć, Gus – wykrztusiła Angie, usiłując się uśmiechnąć.

Gus Svenson był gadatliwym facetem, na którego czasem wpadali z

Clintem w Dunbury Pub. Taki typ, co to zagaduje i zaczepia wszystkich przy barze. Hydraulik z własną firmą. W sezonie często wykonywał jakieś naprawy w klubie golfowym. Jako że poza sezonem Angie i Clint mieszkali w stróżówce na terenie klubu, Gus uważał, iż łączą ich jakieś wspólne sprawy. Bracia krwi, bo obaj wykonują brudną robotę dla gości z forszą, pomyślała Angie z pogardą.

– Co tam u mojego kumpla, Clinta?

Gus urodził się z głośnikiem na strunach głosowych, zauważyła Angie, kiedy wszyscy obecni odwrócili się w ich kierunku.

– Wszystko świetnie, Gus. Hej, myślę że możesz już zacząć wykladać rzeczy na taśmę.

– Jasne, jasne. – Gus opróżnił swój koszyk i zerknął na zakupy Angie.

– Aspiryna dla dzieci. Maść do nacierania. Hej, czyżbyś miała dla mnie jakieś radosne nowiny?

Angie wpadła w panikę. Lucas miał rację, pomyślała. Nie powinnam kupować żadnych dziecięcych rzeczy, a przynajmniej nie tam, gdzie mnie znają.

– Nie wygłupiaj się, Gus – odburknęła. – Pilnuję dzieciaka przyjaciółki. Jest trochę przeziębiony.

– Sto dwadzieścia dwa dolary osiemdziesiąt osiem centów – powiedziała kasjerka.

Gus wyciągnął portfel i podał jej kartę kredytową.

– Tanio jak barszcz. – Odwrócił się z powrotem do Angie. – Słuchaj, skoro ty jesteś dziś uziemiona przy dzieciaku, może Clint wy skoczyłby ze mną na parę piwek. Wpadnę po niego. Przynajmniej nie będziesz się musiała martwić, że przeholuje. Znasz mnie. Zawsze wiem, kiedy przestać. Zadzwońię do niego.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, był już przy drzwiach. Angie wyrzuciła zawartość swojego wózka na ladę. Rachunek wyniósł czterdzieści trzy dolary. W portfelu miała najwyżej dwadzieścia pięć, będzie musiała skorzystać z karty. Nie pomyślała o tym wcześniej.

Lucas dał im gotówkę, kiedy kupowali łóżeczko.

– W ten sposób nie zostawimy za sobą śladów – powiedział. Ale zostawili. Musiała skorzystać z karty, kiedy płaciła za ubranka, no i teraz też będzie musiała.

To się niedługo skończy, obiecała sobie, odchodząc od kasy. Wyjęła torby z zakupami i zostawiła wózek. Teraz brakuje tylko, żeby włączył się alarm, myślała, przechodząc obok ochroniarza. To się zdarza, jeśli

gapowaty kasjer czegoś nie zeskanuje.

Jeszcze tylko najwyżej dwa dni, zabierzemy pieniądze i wyniesiemy się stąd, przypominała sobie na pocieszenie, idąc przez parking do dwunastoletniej furgonetki Clinta. Mercedes zaparkowany obok właśnie odjeżdżał. Model SL500, zauważyła w świetle reflektorów. Pewnie kosztował grubo ponad sto kawałków, pomyślała. Powinniśmy sobie taki kupić. Za dwa dni będziemy mogli kupić pięć takich. Gotówką.

W drodze do domu jeszcze raz powtórzyła w myślach plan. Według Lucasa, jutro Kobziarz dostanie swój przelew. A wieczorem oni dostaną swój milion w gotówce. Kiedy będą już pewni, że wszystko się zgadza, podrzucą gdzieś dzieciaki i prawdopodobnie w czwartek wcześniej rano zawiadomią rodziców, gdzie je znaleźć. Taki był plan Lucasa. Ale nie Angie.

W środę rano znów było przeraźliwie zimno. Zmienna marcowa pogoda. Porywisty wiatr szarpał okiennice w salonie, gdzie siedzieli Margaret, Steve, Walter Carlson i jego kolega, agent Tony Realto. Na stole stał drugi, jeszcze nietknięty dzbanek kawy.

Carlson nie uważał za właściwe chronić rodziców przed tym, czego się dowiedzieli od Franklina Baileya. Jedna z dziewczynek ma głęboki bronchitowy kaszel.

– Słuchajcie, zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji. Kathy może być chora. Ale to również wskazówka, że nagranie jest autentyczne. Sama mówiłaś, że Kathy zaczynała chorować już przed porwaniem.

– Sądzisz, że Kobziarz będzie na tyle nieostrożny, aby ponownie zadzwonić do sąsiada Baileya? Na pewno się domyśla, że już założyliście tam podsłuch.

– Steve, przestępcy popełniają błędy. Wydaje im się, że wszystko mają pod kontrolą, ale tak nie jest.

– Ciekawe, czy dają Kathy jakieś lekarstwa, czy dbają, żeby nie dostała zapalenia płuc – odezwała się Margaret drżącym głosem.

Carlson spojrzał na jej papierowobiałą twarz. Margaret Frawley miała bardzo podkrążone oczy. Za każdym razem, kiedy coś powiedziała, zagryzała wargi, jakby sama bała się tego, co mówi.

– Jestem pewien, że dziewczynkom nic nie grozi.

Była za kwadrans dziesiąta. Kobziarz miał się z nimi skontaktować za piętnaście minut. Siedzieli w milczeniu. Mogli tylko czekać. O dziesiątej przybiegła sąsiadka Frawleyów, Rena Chapman.

– Ktoś do mnie zadzwonił. Mówi, że ma dla FBI pilne wiadomości na temat bliźniaczek – wysapała bez tchu do jednego z policjantów pełniących służbę na zewnątrz.

Realto i Carlson pobiegli do domu Chapmanów, Steve i Margaret byli tuż za nimi. Carlson chwycił słuchawkę i przedstawił się.

– Masz papier i długopis? – zapytał rozmówca.

Carlson wyjął z kieszeni notes i ołówek.

– Chcę, żebyście przelali siedem milionów dolarów na rachunek numer 50 7964 w banku Nemidonam w Hongkongu. Macie na to trzy minuty. Zadzwonię, kiedy się dowiem, że pieniądze wpłynęły na konto.

– Zrobimy to natychmiast – powiedział Carlson. Zanim zdążył

skończyć zdanie, porywacz się rozłączył.

– To oni? – dopytywała się Margaret. – Czy dziewczynki też tam były?

– To oni. Nic nie powiedzieli o dziewczynkach.

Carlson zadzwonił na prywatny numer dyrektora generalnego CF. G. &Y. , Robinsona Geislera, który miał czekać na wytyczne w sprawie przelewu. Rzeczowym beznamiętnym tonem powtórzył mu numer konta i nazwę banku.

– Zrobimy przelew w ciągu minuty. Walizki z gotówką też już są przygotowane.

Carlson zadzwonił do jednostki komunikacyjnej z poleceniem, aby zamontować urządzenie namierzające na linii Chapmanów, zanim Kobziarz znów zadzwoni. On jest na to za sprytny, pomyślała Margaret. Już ma swoje siedem milionów. Czy odezwie się jeszcze kiedykolwiek?

Carlson wyjaśnił Frawleyom, że niektóre banki przeprowadzają za opłatami tego rodzaju transakcje. Pieniądze nieznanego pochodzenia są wpłacane na tymczasowe konto i natychmiast przesyłane gdzie indziej. A jeśli tylko o to mu chodziło, panikowała Margaret. Jeśli więcej się nie odezwie? Ale jeszcze wczoraj rano dziewczynki żyły. Franklin Bailey słyszał je przez telefon. Mówiły, że oglądały nas w telewizji.

– Panie Carlson, proszę za mną. Natychmiast. Mamy kolejny telefon, trzy domy dalej. – Jeden z policjantów pełniących służbę na zewnątrz wpadł bez pukania.

Margaret biegła jak szalona, z rozwianym włosami, ramię w ramię ze Steve'em do nieznajomej sąsiadki, która machała do nich gorączkowo ze swojego ganku.

Kobziarz rozłączył się, a po minucie zadzwonił ponownie.

– Byliście bardzo rozsądni – powiedział do Carlsona. – Dziękuję za przelew. Teraz, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Wasz przyjaciel Franklin Bailey ma być dzisiaj o ósmej wieczorem przed budynkiem Time Warner w Columbus Circle na Manhattanie. Każcie mu założyć niebieski krawat, drugi, czerwony, niech ma w kieszeni. Musi też mieć przy sobie walizki z pieniędzmi i telefon komórkowy. Jaki jest pana numer telefonu, panie agencie FBI?

– 917-555-3291 – odparł Carlson.

– 917-555-3291. Daj swoją komórkę Baileyowi. Pamiętaj, że będziemy go obserwować. Każda próba śledzenia pośrednika bądź zatrzymania osoby odbierającej okup będzie oznaczać, że nigdy więcej me

zobaczycie dziewczynek. Jeżeli nie będziecie kombinować, to po sprawdzeniu kwoty i autentyczności gotówki, gdzieś po północy powiem wam, skąd zabrać bliźniaczki. Bardzo tęsknię, a jedna z nich ma temperaturę. Sugeruję, abyście dopilnowali, żeby wszystko poszło sprawnie i bez niespodzianek.

Margaret wracała z domu sąsiadów wsparta na ramieniu Steve'a. Starala się uwierzyć, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny jej córeczki będą z powrotem w domu. Muszę w to wierzyć, powtarzała sobie. Kathy, kocham cię. Kelly, kocham cię.

Biegając w gorączkowym pośpiechu do sąsiadów, nie zwracała uwagi na wciąż zaparkowane pod domem wozy transmisyjne. Teraz zostali zaatakowani przez tłum reporterów.

– Czy porywacze skontaktowali się z wami?

– Czy okup został już zapłacony?

– Dostaliście potwierdzenie, że dzieci żyją?

– Tym razem bez komentarza – uciął ostro Carlson. Ignorując pytania wykrzykiwane w ich stronę, Margaret i Steve szybko szli w kierunku domu, gdzie czekał już kapitan Martinson. Od piątkowego wieczoru siedział u nich prawie bez przerwy. Właśnie tu odbywały się narady, zapadała większość decyzji. Obecność kapitana dodawała Frawleyom otuchy. Margaret wiedziała, że policja lokalna i stanowa rozproszyla setki plakatów ze zdjęciami dziewczynek. Na jednym z tych, które widziała, było pytanie: CZY ZNASZ KOGOŚ, KTO MA LUB MIAŁ RĘCZNA MASZYNE DO PISANIA MARKI ROYAL? Na takiej maszynie został napisany list z żądaniem okupu.

Martinson powiedział im wczoraj, że ludzie z miasteczka zebrali dziesięć tysięcy dolarów i ogłosili, że będzie to nagroda za jakiegokolwiek informacje, które mogłyby doprowadzić do odnalezienia bliźniaczek. Czy ktoś na to zareagował? Może są jakieś nowe wiadomości? Kapitan wyglądał na zdenerwowanego, ale niemożliwe, żeby miał jakieś złe wiadomości, pocieszała się Margaret. Nie wie jeszcze, że uzgodniliśmy z porywaczami przekazanie okupu.

Martinson zaczął mówić, dopiero kiedy wszyscy znaleźli się już w salonie, jakby się bał, że zostanie podsłuchany przez dziennikarzy.

– Mamy problem. Franklin Bailey zasnął dziś rano. Jego gosposia zadzwoniła po pogotowie i zabrano go do szpitala. Wygląda na to, że z sercem wszystko w porządku. Lekarz sądzi, że to reakcja na stres.

– Właśnie dostaliśmy wytyczne od porywaczy. Bailey ma być o ósmej przed budynkiem Time Warner – zdenerwował się Carlson.

– Jeśli się tam nie pojawi, pomyślę, że wystawiliśmy ich do wiatru.

Ależ on musi tam być! krzyknęła histerycznie Margaret, po czym zagryzła wargi do krwi. – Musi... – powtórzyła szeptem. Popatrzyła na fotografie dziewczynek wiszące nad fortepianem. Moje aniołki, pomyślała. O Boże, błagam, spraw, żeby do mnie wróciły.

– Zamierza pojechać – oznajmił Martinson. – Odmówił pozostania w szpitalu.

Agenci popatrzyli po sobie.

– A jeśli znów zasłabnie? Na przykład w momencie, kiedy porywacze będą mu mówić, gdzie ma zostawić pieniądze? – Wszyscy się tego obawiali. – Co wtedy? Jeśli Bailey nie nawiąże kontaktu, nigdy więcej nie zobaczymy dziewczynek. Tak powiedział Kobziarz.

Agent Realto nie ujawniał swojej największej obawy, która stopniowo przeradzała się w pewność. Nie powinniśmy byli pozwolić Baileyowi się w to wmieszać. Jaki on ma w tym cel?

W środowy poranek dwadzieścia po dziesiątej Lucas niespokojnie wyglądał przez okno swojego mieszkania, paląc piątego już papierosa. Przypuścimy, że Kobziarz zabierze całą forszę i wypnie się na nas. Mam jego głos na taśmie, ale nie wiem, czy to wystarczy, myślał. Co zrobimy z dzieciakami, jeśli zwieje? Nawet jeżeli Kobziarz gra uczciwie i zorganizuje akcję z przechwyceniem naszej części okupu, to ja i Clint ponosimy całe ryzyko, będziemy musieli odebrać kasę tak, żeby nas nie złapali. Na pewno coś pójdzie nie tak. Lucas po prostu czuł to w kościach, a szanował swoje przeczucia. Sprawdziły się już nieraz. Kiedyś zignorował intuicję i trafił przez to za kratki na sześć lat. Podczas tamtego włamania wszystko zdawało się świetnie układać, a jednak coś w nim krzyczało: „Nie rób tego!”. Okazało się potem, że w domu były kamery.

Jeśli złapią ich dziś wieczorem, grozi mu dożywocie. A jak bardzo chory jest ten dzieciak? Jeśli umrze, może być znacznie gorzej.

Zadzwoił telefon. Lucas włączył urządzenie nagrywające.

– Wszystko pięknie, Bert. Przelew doszedł. Jestem przekonany, że FBI nie zaryzykuje życia dzieciaków i nie będzie wam zbyt mocno deptać po piętach.

Używał tego żalostnego charkotu, który uważał za nierozpoznawalnie zmieniony głos. Lucas zgasił papierosa na parapecie. Nawijaj dalej, koleś, myślał.

– Teraz wasza piłka – kontynuował Kobziarz. – Słuchaj uważnie, a jeszcze dziś wieczorem będziesz liczył pieniądze. Jak wiesz, potrzebny wam jest kradziony wóz. Mówiłeś, że Harry załatwi to bez problemu.

– Ta. To jedyne, co dobrze potrafi.

– Naważemy pierwszy kontakt z Baileyem o ósmej. Będzie pod budynkiem Time Warner na Columbus Circle. W tym czasie ty i Harry zaparkujecie kradzionym samochodem przy Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej i Pięćdziesiątej Siódmej, na wschód od Szóstej Alei. Jest tam takie przejście dla pieszych. Musicie zamienić tablice rejestracyjne w aucie.

– Żaden problem.

– Rozegramy to tak...

Lucas musiał niechętnie przyznać, że to może się udać. Zapewnił tamtego bez wyraźnego powodu, że przez cały czas będzie miał przy sobie telefon, i usłyszał dźwięk przerwanej rozmowy. Dobra, pomyślał.

Wiem, co mamy robić. Jest szansa. Kiedy zapalał kolejnego papierosa, zadzwonił drugi telefon. Pobiegnął do sypialni, aby odebrać.

– Lucas – usłyszał słaby spięty głos. – Tu Franklin Bailey. Będę cię potrzebował wieczorem. Jeśli masz już jakieś plany, proszę, znajdź zastępstwo. Mam bardzo ważną sprawę na Manhattanie. Muszę być o ósmej w Columbus Circle.

Ogarnięty paniką Lucas wyciągnął drżącą ręką kolejnego papierosa z na wpół już opróżnionej paczki. Myślał gorączkowo, przyciskając słuchawkę do ucha.

– Jestem już zamówiony, ale może coś da się zrobić. Jak długo to panu zajmie, panie Bailey?

– Nie wiem.

Lucas przypomniał sobie dziwną minę tego gliniarza, który sprawdzał mu dokumenty pod domem Frawleyów w piątek. Skoro FBI uznało za dobry pomysł, aby Bailey miał własnego kierowcę... Jeśli nie przyjmie zlecenia, zaczną się zastanawiać, co takiego ważnego mu wypadło, że odmówił stałemu klientowi.

Nie mogę się wykręcić, zdecydował w końcu.

– Panie Bailey – próbował nadać głosowi zwykły jowialny ton – ktoś inny weźmie to drugie zlecenie. O której mam być?

– O szóstej. To pewnie za wcześnie, ale nie mogę ryzykować spóźnienia.

– Punkt szósta, proszę pana.

Lucas rzucił telefon na łóżko i poszedł z powrotem do swojego obskurnego salonu po komórkę, przez którą kontaktował się z Kobziarzem. Nerwowo otarł pot z czoła i opowiedział, co się stało.

Nie mogłem odmówić, a więc nasz plan wziął w łeb. W zniekształconym głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. Mylisz się i jednocześnie masz rację, Bert. Nie mogłeś odmówić, ale plan wziął w łeb. To się nawet dobrze składa. Planujesz krotki lot, prawda?

– Tak, kiedy wezmę rzeczy od Harry’ego.

– Zabierz też maszynę do pisania, na której napisaliście list do rodziców. Razem z ubrankami i zabawkami kupionymi dla dzieciaków. U Harry’ego nie może zostać żaden ślad po bliźniaczkach.

– Wiem, wiem. – Już o tym rozmawiali.

– Niech Harry zadzwoni do mnie, kiedy zdobędzie samochód. Ty zadzwoń, jak tylko wysadzisz Bailey’a pod Time Warner. Powiem wam, co robić dalej.

O wpół do jedenastej Angie podała bliźniaczkom śniadanie. Dopiero po trzeciej kawie rozjaśniło jej się nieco w głowie. Miała za sobą nieprzespaną noc. Zerknęła na Kathy. Aspiryna i inhalacje chyba trochę pomogły. Sypialnia co prawda cuchnęła maścią rozgrzewającą, ale przynajmniej kaszel odrobinę ustąpił. Mała wciąż jednak była dosyć poważnie chora. Nie spała pół nocy, wołając mamę. Jestem zmęczona, myślała Angie, naprawdę zmęczona. Dobrze, że przynajmniej druga spała w miarę spokojnie, chociaż chwilami też zaczynała pokastywać.

– Ta też jest chora? – pytał Clint raz po raz.

– Nie. Śpij – rozkazywała mu Angie. – Nie chcę, żebyś był jutro półprzytomny ze zmęczenia.

Zerknęła na Kelly, a dziewczynka odwzajemniła jej spojrzenie. Z trudem powstrzymała się, żeby nie uderzyć tej bezczelnej gówniary.

– Chcemy do domu jęczała bez przerwy. – Kathy i ja chcemy do domu. Obiecałaś, że pojedziemy do domu.

Nie mogę się doczekać, aż pojedziesz do domu, myślała Angie.

Clint był na skraju załamania nerwowego, to się rzucało w oczy. Zabrał swoją kawę i poszedł oglądać telewizję. Bębnił palcami o ten szmelc, który nazywał stolikiem, i śledził wiadomości, na wypadek gdyby mówili o porwaniu. Wyłączył jednak głos. Dziewczynki siedziały tyłem do odbiornika.

Kelly zjadła trochę przygotowanych przez Angie płatków. Kathy przełknęła przynajmniej kilka kęsów. Obie wyglądają blado, musiała przyznać Angie, i są potargane. Może powinna chociaż spróbować poprawić im jakoś włosy, ale nie chciała ryzykować wrzasków i protestów przy rozczesywaniu. Dam sobie z tym spokój, postanowiła.

Odsunęła krzesło.

– Dobrze, dzieci. Pora na drzemkę.

Przywykły już do tego, że zaraz po śniadaniu idą z powrotem do łóżeczka. Kathy podniosła nawet rączki. Wie, że ją kocham, pomyślała Angie. Zakłęła pod nosem, kiedy dziewczynka potrąciła łokciem miseczkę z płatkami i zachlapała sobie pizamkę.

Kathy zaczęła przeraźliwie płakać, a potem kaszleć.

– Nic się nie stało. Nic się nie stało – powiedziała wściekła Angie. Co mam teraz zrobić, zastanawiała się. Ten głupek Lucas zaraz tu przyjedzie,

a chciał, żeby dzieciaki były w piżamach przez cały dzień. Może da się wysuszyć ręcznikiem.

– Ciii – powiedziała niecierpliwie, podnosząc Kathy. Ociekająca mlekiem góra od piżamki zamoczyła jej własną bluzkę, kiedy niosła małą do sypialni. Kelly wstała z krzesła i szła za nimi. Wyciągnęła rączkę, aby poklepać siostrę po stopie.

Angie wsadziła Kathy do łóżeczka i sięgnęła po ręcznik. Zanim zdążyła zacząć wycierać plamę, mała zwinęła się w kłębek, ssąc kciuk. To coś nowego, pomyślała Angie, podnosząc Kelly. Dziewczynka mocno chwyciła się poręczy łóżeczka.

– Chcemy do domu – zażądała. – Obiecałaś.

– Jedziesz dziś do domu, więc się zamknij.

Wszystkie żaluzje w sypialni były opuszczone. Angie zaczęła podnosić jedną z nich, ale zmieniła zdanie. Jak będzie ciemno, to może zasną, pomyślała. Wróciła do kuchni i zatrzasnęła za sobą drzwi, ostrzegając tym samym Kelly przed dalszym marudzeniem. W nocy, kiedy gówniara próbowała wywrócić łóżeczko, mocne uszczypnięcie w ramię nauczyło ją moresu.

Clint nadal oglądał telewizję. Angie zaczęła sprzątać ze stołu.

– Pozbieraj te kasety z bajkami – poleciła, wrzucając naczynia do zlewu. – Włóż je do pudełka razem z maszyną do pisania.

Kobziarz polecił Lucasowi, żeby wyrzucił do Atlantyku wszystkie rzeczy, które dałoby się połączyć z porwaniem.

– To znaczy maszynę, na której pisaliśmy list. I wszystko, na czym mogą być mikroślady: zabawki, ubranka, pościel, kocyki – tłumaczył Lucas Clintowi.

Żaden z nich nie ma pojęcia, jak dobrze to pasuje do mojego planu, cieszyła się Angie.

– Angie, pudło jest za duże – zaprotestował Clint. – Lucasowi będzie trudno je wyrzucić.

– Nie jest za duże – odfuknęła. – Włożyłam tu nawilżacz powietrza, jasne? W porządku?

– Szkoda, że nie możemy tu wsadzić łóżeczka.

– Możesz tu wrócić i je rozmontować, jak już wywieziemy dzieci. Jutro się go pozbędziemy.

Była przygotowana na wybuch Lucasa, kiedy dwie godziny później zobaczył pudło.

– Nie mogłaś znaleźć mniejszego? – warknął.

– Pewnie, że mogłam. Mogłam pójść do sklepu i powiedzieć, do czego mi potrzebne pudełko. Takie było w piwnicy, jasne? Nada się.

– Angie, wydaje mi się, że mamy w piwnicy mniejsze – wtrącił Clint.

– Już je zakleiliśmy! – krzyknęła ze złością. – Innego nie będzie.

Z niezmierną satysfakcją przyglądała się, jak Lucas taszczy wielkie, nieporęczne pudło do samochodu.

Lila Jackson, sprzedawczyni ze sklepu odzieżowego Abby na Siódmej Ulicy, stała się kimś w rodzaju bohaterki w oczach rodziny i przyjaciół. To ona sprzedała Margaret Frawley niebieskie aksamitne sukieneczki na dwa dni przed porwaniem.

Niska energiczna trzydziestoczterolatka porzuciła niedawno dobrze płatną pracę sekretarki na Manhattanie, wprowadziła się do mieszkającej samotnie od śmierci męża matki i przyjęła posadę w Abby.

– Zdałam sobie sprawę, że nie znoszę siedzieć za biurkiem – tłumaczyła zaskoczonym przyjaciołom. – Najszczęśliwsza byłam, pracując na pół etatu u Bloomingdale’a. Kocham ciuchy i uwielbiam je sprzedawać. Kiedyś otworzę własny sklep.

Zęby osiągnąć ten cel, zapisała się na kurs biznesu.

Kiedy wiadomość o porwaniu przedostała się do wiadomości publicznej, Lila od razu rozpoznała Margaret Frawley i sukienki bliźniaczek na zdjęciu z urodzin.

To przeurocza kobieta – mówiła z przejęciem powiększającej się grupce koleżanek z pracy, zafascynowanych tym, że Lila rozmawiała z matką porwanych dzieci ledwie parę dni przed tragedią. – Pani Frawley ma prawdziwą klasę. Jest miła w taki stonowany sposób. I potrafi rozpoznać eleganckie rzeczy dobrej jakości. Powiedziałam jej, że takie same sukieneczki kosztują u Bergdorfa po czterysta dolarów na przecenie, więc czterdzieści dwa dolary to naprawdę okazja. Mimo wszystko to było więcej, niż chciała wydać, pokazałam jej więc mnóstwo innych rzeczy, ale wciąż wracała do tych ubranek. „Mam przynajmniej nadzieję na ładne zdjęcie, zanim dziewczynki zachlapią czymś sukienki” – zażartowała, kiedy już w końcu się zdecydowała. Miło nam się gawędziło – wspominała Lila, próbując przywołać w pamięci każdy szczegół spotkania. – Powiedziałam pani Frawley, że przed nią jakaś inna kobieta też kupowała ubranka dla bliźniaczek. Nie mogła być jednak ich matką, bo nie wiedziała, jaki rozmiar noszą. Mówiła tylko, że to przeciętne trzylatki.

Szykując się w środę do pracy, Lila obejrzała południowe wiadomości. Potrząsnęła głową ze współczuciem, widząc jak Steve i Margaret pędzili przez trawnik do domu sąsiada, a kilka minut później do innego, kilka numerów dalej.

– Chociaż nikt z rodziny ani policja nie potwierdza tych informacji, Kobziarz, jak każe się nazywać jeden z porwaczy, prawdopodobnie przedstawił swoje żądania Frawleyom, korzystając z telefonów sąsiadów – mówił prezenter CBS.

Pokazali zbliżenie twarzy Margaret Frawley. Miała głębokie cienie pod oczami i wyglądała na zrozpaczoną.

– Robinson Geisler, dyrektor generalny C. F. G. &Y, jest nieosiągalny. Nie wiemy, czy przekazywanie pieniędzy trwa. Jeżeli tak, następne dwadzieścia cztery godziny będą decydujące. Mija szósty dzień od chwili, kiedy Kathy i Kelly zostały zabrane ze swojego domu, porwanie nastąpiło około godziny dwudziestej pierwszej w zeszły czwartek.

Musieli wziąć je w pizamkach, pomyślała Lila, sięgając po kluczyki do samochodu. Ta myśl dręczyła ją w drodze do pracy i później, kiedy wieszła płaszcz i poprawiała potargane włosy. Przypięła plaketkę z imieniem i poszła do księgowości.

– Chcę zerknąć na swoje transakcje ze środy, Jean – wyjaśniła księgowej.

Nie pamiętam nazwiska kobiety, która kupowała ubranka dla bliźniąt tuż przed przyjściem Margaret Frawley, ale mogę sprawdzić na rachunku, pomyślała. Kupiła dwie pary ogrodniczek, dwie bluzeczki z długim rękawem, bieliznę i skarpetki. Nie wzięła bucików, bo nie miała pojęcia, jakiego rozmiaru potrzebuje. No nie miała pojęcia, jakiego rozmiaru potrzebuje.

Po pięciu minutach przeglądania rachunków znalazła to, czego szukała. Paragon został podpisany przez panią Downes, posługującą się kartą Visa. Może powinnam poprosić Jean, żeby zdobyła jej adres zastanawiała się przez chwilę. Nie bądź głupia, powiedziała sobie w końcu i poszła do działu sprzedaży. Nie mogła się jednak skupić na pracy, dręczyły ją okropne przeczucia. W końcu poprosiła Jean o pomoc.

– Nie ma sprawy, Lila. Gdyby mieli jakieś opory, powiem, że zostawiła u nas paczkę.

– Dzięki, Jean. Według danych bankowych pani Downes mieszkała przy Orchard Avenue pod numerem setnym w Danbury.

Jeszcze mniej zdecydowana, jak powinna postąpić, Lila przypomniała sobie, że matka zaprosiła dziś na kolację Jima Gilberta, emerytowanego policjanta z Danbury. Spyta go o radę.

Kiedy dotarła do domu, kolacja już na nią czekała, a matka i Jim popijali drinki w salonie. Lila naląła sobie kieliszek wina i usiadła przy

kominku plecami do ognia.

– Jim, mama ci pewnie mówiła, że to ja sprzedałam te niebieskie aksamitne sukieneczki Margaret Frawley?

– Słyszałem. – Głęboki baryton Jima zdawał się nie pasować do szczupłej sylwetki. Przyjazne oblicze zachmurzyło się, kiedy mówił: – Zapamiętaj moje słowa, nie odzyskają tych dzieci, żywych ani martwych. Moim zdaniem dawno je wywieźli z kraju, a cała ta gadka o okupie to zmyłka.

– Jim, wiem, że to szaleństwo, ale kilka minut przed przyjściem Margaret Frawley obsługiwałam kobietę, która też kupowała dwa identyczne zestawy ubranek dla trzyletnich bliźniaczek. Nie miała pojęcia, jaki rozmiar noszą.

– No to co?

– To znaczy... Czy nie byłoby niesamowite, gdyby ta kobieta miała jakiś związek z porwaniem i kupowała ubranka dla bliźniaczek Frawleyów? – wyrzuciła z siebie Lila. – Dziewczynki miały na sobie tylko piżamki, gdy zostały zabrane z domu. Poza tym dzieci w tym wieku strasznie się brudzą. Nie mogą chodzić przez pięć dni w tym samym.

– Lila, ponosi cię wyobraźnia – powiedział pobłażliwie Jim Gilbert. – Wiesz, ile informacji tego typu dostaje policja i FBI?

– Ta kobieta nazywa się Downes i mieszka tu, w Danbury, przy Orchard – nalegała Lila. – Mam ochotę tam podjechać i zobaczyć się z nią. Mogłabym opowiedzieć historyjkę, że bluzeczki, które kupiła, miały fabryczną wadę. Chcę tylko to sprawdzić.

– Daj spokój, Lila, znam Clinta Downesa. Jest dozorcą, mieszka w domku na terenie klubu; Orchard numer setny to właśnie adres klubu. Czy ta kobieta była chuda i miała długie, jakby roztrzepane włosy?

– Tak.

– To dziewczyna Clinta, Angie. Może się podpisywać jako pani Downes, ale nią nie jest. Często pilnuje jakichś dzieci. Skreśl oboje z listy podejrzanych, Lila. Są za głupi na coś takiego.

Lucas czuł na sobie wzrok nowego mechanika, Charleya Foksa, kiedy wspinał się do samolotu z pękatym pudłem. Zachodzi w głowę, po kiego groma taszcze ze sobą coś takiego, za chwilę odgadnie, że chce się tego pozbyć, i to bardzo, myślał Lucas. Albo też pomyśli, że przewożę narkotyki. Tak czy inaczej, jeśli gliny przyjdą tu i pytają, czy widział ostatnio coś podejrzanego, opowie im o mnie.

Jednak musiał przyznać, że pozbycie się z domu wszystkich rzeczy, które wskazywały na obecność bliźniaczek, było dobrym pomysłem. Postawił pudło w kokpicie na siedzeniu drugiego pilota. Wieczorem, kiedy oddamy dzieciaki, rozbierzemy łóżeczko i też gdzieś wyrzucimy. Na materacu jest pewnie pełno mikrośladów.

Meldując start, Lucas pozwolił sobie na niewesoły uśmiech. Czytał gdzieś, że jednojajowe bliźniaki mają identyczne DNA. Więc mogliby nam udowodnić najwyżej, że mieliśmy jedną z dziewczynek. Rewelacja!

Wiatr wciąż wiał dość mocno. Nie był to najlepszy dzień na latanie, zwłaszcza małym samolotem, ale odrobina niebezpieczeństwa podziałała uspokajająco na Lucasa. Przynajmniej nie myślał o dzisiejszym wieczorze i pozbył się na chwilę wszechogarniającego niepokoju.

Zapomnij o forsie, powtarzał uparcie jego wewnętrzny głos. Powiedz Kobziarzowi, żeby zapłacił nam milion z tego, co już dostał. Podrzucieć dzieciaki gdzieś, gdzie można je łatwo znaleźć. W ten sposób nie będzie szans na wpadkę.

Ale Kobziarz się na to nie zgodzi, pomyślał gorzko Lucas, wzbijając maszynę w powietrze. Albo odbierzemy dziś kasę, albo zostaniemy bez grosza, z wyrokiem za porwanie.

To był krótki lot. Kiedy tylko Wohl znalazł się nad oceanem, wyrzucił paczkę. Patrzył, jak pudło spada do szarej wzburzonej wody i znika w falach, wzbijając kłęby piany. A teraz właściwe zadanie, pomyślał wracając.

Charleya Foksa nie było już, kiedy przyjechał. I bardzo dobrze. Nie będzie wiedział, czy przywiozłem paczkę z powrotem czy nie, pomyślał Lucas. Prawie piąta. Wiatr odrobinę zelżał, ale chmury wciąż wyglądały groźnie. Czy deszcz będzie nam przeszkadzał czy wręcz przeciwnie, zastanawiał się, idąc przez parking do samochodu. Siedział przez kilka minut, wciąż próbując sobie odpowiedzieć na to ważne pytanie. Czas

pokaże, zdecydował. Teraz musi zabrać limuzynę do myjni, żeby lśniła, kiedy pojedzie nią po Bailey'a. Zawsze to jakiś sposób, żeby pokazać federalnym, że jest ni mniej, ni więcej tylko zwyczajnym, dbającym o klienta szoferem. Na pewno będą pod domem Bailey'a. Poza tym potrzebował jakiegoś zajęcia. Zwariuje, jeśli będzie siedział beczynn timer w mieszkaniu. Podjąwszy decyzję, przekręcił kluczyk w stacyjce.

Dwie godziny później, świeżo umyty i ogolony, wystrojony w uniform szofera, wjechał wypucowaną limuzyną na podjazd Bailey'a.

– Pani Frawley, jesteśmy przekonani, że nie macie nic wspólnego ze zniknięciem waszych dzieci – przekonywał agent Carlson. Wynik drugiego testu na prawdomówność jest jeszcze mniej jednoznaczny niż wynik pierwszego. Może to być spowodowane waszym obecnym stanem emocjonalnym. Wbrew temu, co wiecie z książek i telewizji, wariografy nie są nieomyłne. Dlatego też wyniki tego typu testów nie mogą być użyte jako dowód w sądzie.

– Co pan próbuje mi powiedzieć? – spytała Margaret prawie obojętnie. Jakie to ma znaczenie, pomyślała. Ledwie rozumiała pytania. To tylko słowa. Steve nalegał, żeby zażyła przepisany przez lekarza środek uspakajający i zrobiła to godzinę temu. Nie podobało jej się poczucie nierealności, które wywołał lek. Nie mogła skupić się na tym, co mówili agenci FBI.

– W obu testach została pani zapytana, czy zna porywaczy – powtórzył cicho Walter Carlson. – W drugim teście, kiedy pani zaprzeczyła, urządzenie zarejestrowało to jako kłamstwo. – Uniósł dłoń, powstrzymując protest kobiety. – Posłuchaj, Margaret. Nie kłamiesz, wiemy o tym. Ale być może podświadomie kogoś podejrzewasz i to wpływa na wynik testów. Możesz nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

Zaraz zrobi się całkiem ciemno, pomyślała Margaret. Już siódma. Za godzinę Franklin Bailey będzie stał pod budynkiem Time Warner czekając, aż ktoś się z nim skontaktuje. Przekaze pieniądze. Być może jeszcze dziś odzyskam moje dziewczynki. – Zastanów się, Margaret – naciskał Steve. Usłyszała gwizd czajnika. Rena Chapman przyniosła im dziś zapiekanekę z makaronu, sera i szynki. Mamy takich dobrych sąsiadów, myślała. Przecież tak naprawdę ledwo ich znamy. Zorganizuję przyjęcie, kiedy bliźniaczki wrócą. Muszę podziękować tym miłym ludziom.

– Margaret, proszę cię żebyś jeszcze raz przejrzała akta swoich spraw – mówił dalej Carlson. – Zawężiliśmy krąg podejrzanych do czterech, którzy mieli do ciebie pretensje po ogłoszeniu wyroków. Margaret próbowała skupić się na nazwiskach byłych klientów. – Broniałam ich tak, jak potrafiłam. Dałam z siebie wszystko. Byli winni. Załatwiłam im korzystne ugody, ale nie chcieli się na nie zgodzić. Potem, kiedy poprzegrywali procesy i dostali wyższe wyroki, zaczęli mnie obwiniać. To

się przytrafia bardzo często obrońcom z urzędu.

– Donny Mars powiesił się w celi po wyroku – nalegał Carlson. – Jego matka krzyczała na pogrzebie: „Jeszcze się dowiesz, co to znaczy stracić dziecko”.

– To było cztery lata temu, przed urodzeniem bliźniaczek, a ona miała po prostu atak hysterii.

– Być może. Jednak nikt nie wie, gdzie się teraz znajduje. Ona i jej drugi syn. Może podejrzewasz ich podświadomie?

– Dostała hysterii – powtórzyła cierpliwie Margaret dziwiąc się, że jej głos brzmi tak rzeczowo. – Donny miał depresję dwubiegunową. Błagałam sędziego, żeby posłał go do szpitala. Wymagał stałej opieki lekarskiej. Jego brat przysłał mi kartkę z przeprosinami za to co powiedziała ich matka. Naprawdę wcale tak nie myślała. – Przymknęła na chwilę oczy. – To ta druga rzecz, którą próbowałam sobie przypomnieć – powiedziała niespodziewanie.

Steve i Carlson popatrzyli na nią ze zdziwieniem. Traci poczucie rzeczywistości, pomyślał Carlson. Środek uspokajający rozluźnił ją i teraz usypia. Mówiła coraz wolniej i ciszej. Musieli się pochylić, żeby usłyszeć następne słowa.

– Powinam zadzwonić do doktor Harris – szepnęła. – Kathy jest chora. Kiedy odzyskamy dziewczynki, chcę żeby to Sylvia Harris zajęła się Kathy.

– Czy doktor Harris jest pediatrą? – spytał Carlson, patrząc na Steve’a.

– Tak. Pracuje w New York-Presbyterian i specjalizuje się w specyfice zachowań bliźniąt. Dużo na ten temat napisała. Kiedy już wiedzieliśmy, że spodziewamy się bliźniaków, Margaret do niej zadzwoniła. Opiekuje się dziewczynkami od ich urodzenia.

– Jak tylko znajdziemy dzieci, wyślemy je na badania do najbliższego szpitala. Możemy się tam umówić z doktor Harris.

Rozmawiamy tak, jakbyśmy byli pewni, że je odzyskamy, pomyślał Steve. Ciekawe, czy nadal będą w piżamkach. Za oknem lało. Spojrzał na Carlsona. Deszcz znacznie utrudni śledzenie porywaczy.

Ale Walter Carlson wcale nie przejmował się pogodą, tylko tym, co właśnie usłyszał od Margaret. „To ta druga rzecz, którą próbowałam sobie przypomnieć”. Co jeszcze, Margaret, myślał, co jeszcze? Możesz mieć klucz do rozwiązania zagadki. Przypomnij sobie, zanim będzie za późno.

Podróż z Ridgefield na Manhattan trwała godzinę i piętnaście minut. Kwadrans po siódmej Franklin Bailey siedział skulony na tylnym siedzeniu limuzyny zaparkowanej na Central Park South, pół przecznicy od budynku Time Warner.

Na zewnątrz szalała prawdziwa ulewa. Po drodze zdenerwowany Bailey wyjaśniał Lucasowi, czemu należał na ten kurs.

– Agenci FBI każą mi wysiąść z samochodu. Według nich porywacze będą sądzić, iż wiezie mnie podstawiony policjant. Być może obserwowali mnie wcześniej i wiedzą, że jesteś moim stałym szoferem. W ten sposób damy im do zrozumienia, że zależy nam wyłącznie na bezpieczeństwie dzieci.

– Rozumiem, panie Bailey.

– Wiem, że w pobliżu budynku stoi trzech agentów, inni czekają w taksówkach i prywatnych samochodach, gotowi ruszyć w ślad za mną, kiedy otrzymam instrukcje – powiedział Bailey głosem drżącym z przejęcia.

Lucas zerknął w lusterko. Jest tak samo roztrzęsiony jak ja, pomyślał z goryczą. To wszystko to pułapka na mnie i na Clinta. Agenci przyczaili się do skoku. Założę się, że zapuszkowali już Angie.

– Masz przy sobie telefon komórkowy? – spytał po raz dziesiąty Bailey.

– Mam, proszę pana.

– Zadzwoń do ciebie, jak tylko oddam pieniądze. Będziesz czekał gdzieś tutaj?

– Tak jest. Podjadę po pana, gdziekolwiek pan zażąda.

– Będzie z nami wracał jeden z agentów. Chcą mnie od razu przesłuchać. Rozumiem, że to konieczne, ale wolę jechać własnym samochodem niż wozem policyjnym. – Spróbował się roześmiać. – To znaczy twoim własnym samochodem, Lucas. Nie moim.

– Jest pański, kiedy tylko pan go potrzebuje, panie Bailey. – Lucas wytarł spocone dłonie. Zaczynajmy, pomyślał. Dostyc tego czekania.

Za dwie ósma podjechał pod siedzibę Time Warner. Wskoczył z limuzyny, otworzył drzwi Baileyowi, a potem bagażnik. Posłał tęskne spojrzenie dwóm walizkom. Agent, który pakował pieniądze, wrzucił razem z nimi wózek bagażowy.

– Kiedy będziesz wysadzał pana Bailey'a, załaduj walizki na wózek – polecił. – Są za ciężkie, żeby mógł je nieść.

Lucas miał ochotę zabrać walizki i po prostu uciec. Zamiast tego postawił je na wózku i umocował. Bailey postawił kołnierzyk płaszcza. Wilgotne białe włosy opadły mu na czoło. Założył czapkę, wyjął z kieszeni telefon Carlsona i przyłożył do ucha.

– Lepiej już pójdę, panie Bailey – powiedział Lucas. – Powodzenia. Będę czekał na wiadomość.

– Dziękuję. Dziękuję ci, Lucas.

Wohl wszedł do limuzyny i rozejrzał się wokół ukradkiem. Bailey stał przy krawężniku. Na Columbus Circle utworzył się korek. Na każdym rogu ktoś bezskutecznie polował na taksówkę. Lucas powoli ruszył z powrotem w stronę Central Park South. Tak jak przewidywał, nie było gdzie zaparkować. Skręcił w prawo w Siódmą Aleję, potem znowu w prawo w Pięćdziesiątą Piątą Ulicę. Zaparkował koło hydrantu między Ósmą a Dziewiątą Aleją i czekał na telefon od Kobziarza.

Dzieci przespały niemal całe popołudnie. Kathy obudziła się zarumieniona i rozpalona. Nie powinnam była jej zostawiać w mokrym ubraniu, zgañiła się w myślach Angie, te ciuchy wciąż są wilgotne. Dopiero po wyjściu Clinta, o siedemnastej, przebrała dziewczynkę w ogrodniczki i bluzeczkę, których nie zapakowała do wyrzucenia.

– Ja też chcę się ubrać – zażyczyła sobie Kelly. Jednak widząc gniewny grymas na twarzy Angie, wróciła do oglądania kreskówek.

O siódmej Clint zadzwonił z informacją, że kupił nowy samochód w New Jersey. Innymi słowy: ukradł wóz i założył mu tablice rejestracyjne z New Jersey.

– Nic się nie martw, Angie, będziemy dziś świętować.

Pewnie, że będziemy, zgodziła się z nim w myślach Angie.

O ósmej położyła bliźniaczki z powrotem do łóżečka. Kathy wciąż była rozpalona i z trudem łapała oddech. Angie podała jej kolejną aspirynę. Dziewczynka leżała zwinięta w kłębek i ssała kciuk. W tym momencie Clint i Lucas namierzają tego gościa z pieniędzmi, myślała Angie. Nerwy miała napięte jak struny.

Kelly siedziała, obejmując siostrę ramieniem. Niebieska piżamka w misie, którą nosiła od wczoraj, była pognieciona i porozpinana przy szyi. Kathy miała na sobie granatowe ogrodniczki i bluzeczkę w biało-niebieską kratkę.

– *Dwa słodkie aniołki w błękitnych ubrankach, dwa słodkie aniołki w błękitnych ubrankach...* – zaczęła śpiewać Angie.

Kelly spojrzała na nią uważnie, słysząc ostatni wers refrenu:

– *Ale zły los je rozdzielił.*

Angie zgasiła światło, zamknęła drzwi sypialni i poszła do salonu. Idealny porządeczek, pomyślała ironicznie. Dawno tu tak nie wyglądało. Tylko nie powinna była wyrzucać tego nawilżacza do powietrza. To przez Lucasa.

Zerknęła na zegarek. Dziesięć po ósmej. Clint powiedział, że Kobziarz kazał mu czekać o ósmej w kradzionym aucie kilka przecznic od Columbus Circle. Nic więcej nie wiedzieli. Do tej pory cała akcja pewnie już ruszyła.

Angie przekonała Downesa, żeby zabrał broń, chociaż Kobziarz wyraźnie mu tego zakazał.

– Spójrz na to w ten sposób – mówiła mu. – Przypuśćmy, że zabierzecie gotówkę i ktoś będzie was ścigał. Spluwa się przyda. Kiedy cię przyprą do muru, strzelaj gliniarzowi w nogę albo w opony samochodu.

Schował pistolet do kieszeni. Oczywiście nie miał pozwolenia na broń.

Zaparzyła dzbanek kawy, znalazła w telewizji wiadomości i usadowiła się na kanapie z filiżanką w jednej ręce i papierosem w drugiej.

Dziennikarze spekulowali na temat przekazywania okupu.

– Dostaliśmy setki wiadomości na naszą stronę internetową od widzów, którzy modlą się, aby dwa słodkie aniołki bardzo niedługo znalazły się w ramionach swoich zrozpaczonych rodziców – mówił prezenter.

– Zgaduj jeszcze raz, koleś – zaśmiała się Angie.

Jedno z czasopism opisało ją niedawno jako „sześćdziesięcioletnią kobietę o mądrych wrażliwych piwnych oczach i burzy siwych loków, której niewielka nadwaga sprawia, że jej kolana oferują miękką i wygodną przystań maluchom”. Doktor Sylvia Harris była ordynatorem oddziału pediatrycznego w szpitalu New York-Presbyterian. Kiedy tylko informacja o porwaniu została podana do wiadomości publicznej, próbowała się skontaktować z Frawleyami, ale zdołała jedynie zostawić wiadomość. Zniechęcona zadzwoniła do sekretarki Steve’a, prosząc, by mu przekazano, że wszyscy jej znajomi modlą się o szczęśliwy powrót dzieci. Przez całe pięć dni od porwania ani na chwilę nie przestawała myśleć o dziewczynkach. Raz po raz przypominała sobie pierwszą rozmowę z Margaret Frawley jesienią trzy i pół roku temu. Margaret dzwoniła, żeby umówić się na wizytę.

– W jakim wieku jest dziecko? – spytała wtedy Sylvia.

– Mam termin na dwudziestego czwartego marca – odpowiedziała podekscytowana i szczęśliwa Margaret. – Właśnie się dowiedziałam, że to będą dwie dziewczynki. Czytałam kilka pani artykułów na temat bliźniąt. Dlatego chciałabym, żeby to właśnie pani opiekowała się nimi po urodzeniu.

Umówiły się na wstępną wizytę. Sylvia polubiła Frawleyów od pierwszego wejrzenia. Z wzajemnością. Zaprzyjaźnili się jeszcze przed przyjściem dzieci na świat. Pożyczyła im mnóstwo książek na temat specjalnej więzi łączącej bliźnięta. Kiedy tylko mogli, przychodzili też na jej wykłady. Fascynowały ich przypadki, które analizowała: dotyczące współodczuwania bólu i telepatycznych zdolności bliźniąt jednojajowych.

Bliźniaczki urodziły się śliczne i zdrowe. Frawleyowie byli wniebowzięci. I ja też, jako lekarz i jako przyjaciel, wspominała Sylvia. Miałam szansę studiować zachowanie bliźniąt jednojajowych od dnia ich narodzin – a dziewczynki potwierdzają wszystko, co zostało napisane na temat szczególnych więzi między bliźniętami. Przypomniała sobie dzień, w którym przybiegli do niej z chorą na bronchit Kathy. Steve czekał z Kelly w korytarzu. W momencie, kiedy Sylvia robiła Kathy zastrzyk w pokoju zabiegowym, jej siostra zaczęła wyć jak potępieniec. To tylko jedno z wielu podobnych zdarzeń. Margaret mówiła jej o wszystkim. Sylvia często wspominała jej i Steve’owi jak szczęśliwy byłby Josh,

gdyby dane mu było poznać dziewczynki. Josh był zmarłym mężem doktor Harris. Wczesna historia ich związku nieco przypominała losy Steve'a i Margaret. Frawleyowie poznali się na studiach prawniczych. Ona i Josh studiowali razem medycynę w Columbii. Tylko że Frawleyowie mieli bliźniaczki, a Sylvia i jej mąż nigdy nie zaznali szczęścia posiadania dzieci. Po stażach otworzyli wspólną praktykę pediatryczną. Potem Josh zaczął narzekać na ciągłe zmęczenie. Wykryto u niego końcową fazę złośliwego raka płuc. Miał tylko czterdzieści dwa lata. Jedynie głęboka wiara mogła pozwolić Sylvii pogodzić się z gorzką ironią losu.

– Tylko raz widziałam go zdenerwowanego podczas pracy. To było wtedy, kiedy wyczuł od matki pacjenta zapach dymu tytoniowego – opowiadała przyjaciółom. – Spytał ją wtedy ostro, czy pali w obecności dziecka. „Nie zdaje sobie pani sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie je pani naraża?! Musi pani przestać natychmiast!”, krzyczał.

Margaret mówiła w telewizji o swojej obawie, że Kathy może być chora. Potem porywacz udostępnił nagranie z głosami dziewczynek, na którym jedna z nich kasłała. Kathy ma bardzo słabą odporność, pomyślała Sylvia. Porywacze raczej nie zaprowadzą jej do lekarza. Chyba powinnam zadzwonić na posterunek w Ridgefield. Należałoby zorganizować konferencję prasową. Jako lekarka dziewczynek mogłabym udzielić porywaczom wskazówek, jak mają postępować z chorą Kathy.

Zadzwonił telefon. Odruchowo sięgnęła po słuchawkę, chociaż nie miała ochoty z nikim rozmawiać i wcześniej włączyła automatyczną sekretarkę. To była Margaret. Jej głos brzmiał upiornie obojętnie i monotonicznie.

– Sylvio, okup jest właśnie przekazywany i mamy nadzieję, że niedługo odzyskamy dziewczynki. Czy mogłabyś do nas przyjechać? Wiem, że proszę o wiele, ale nie wiadomo, w jakim będą stanie. Wiem tylko, że Kathy ma przeraźliwy kaszel.

– Już jadę – odpowiedziała Sylvia Harris. – Podaj mi wskazówki, jak dojechać do waszego domu.

Zadzwoił telefon. Franklin Bailey trzęsącymi się rękoma podniósł aparat do ucha.

– Franklin Bailey – odezwał się z trudem.

– Panie Bailey, pańska subordynacja jest godna podziwu. Moje gratulacje – powiedział rozmówca ochryplym szeptem. – Proszę natychmiast iść Ósmą Aleją w kierunku ulicy Pięćdziesiątej Siódmej. Skręci pan w prawo w Pięćdziesiątą Siódmą i uda się na zachód Dziewiątą Aleją. Zaczeka pan na północno-zachodnim rogu. Każdy pana krok jest obserwowany. Zadzwoię znów dokładnie za pięć minut.

Przebrany za bezdomnego agent Angus Sommers opierał się o mur architektonicznej ciekawostki znanej niegdyś jako Muzeum Huntington Hartford. Sfatygowany wózek przykryty folią i wypełniony starymi ubraniami oraz gazetami osłaniał go nieco przed potencjalnymi obserwatorami. Jego telefon, podobnie jak komórki innych agentów znajdujących się w pobliżu, był tak zaprogramowany, aby słyszeć rozmowę Franklina Baileya z Kobziarzem. Sommers śledził wzrokiem Baileya taszczącego wózek z walizkami na drugą stronę ulicy. Nawet z tej odległości widział, że kosztuje go to dużo wysiłku. Ponadto staruszek był już mocno przemoczony. Nie przestawało padać.

Agent obserwował okolice Columbus Circle spod zmrużonych powiek. Czy porywacze byli gdzieś w tłumie przechodniów? A może mają do czynienia z jedną tylko osobą, która przegoni Baileya po całym Nowym Jorku, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi?

Kiedy Franklin zniknął z pola widzenia, Sommers powoli wstał i podszedł ze swoim wózkiem do skrzyżowania. Spokojnie czekał na zielone światło. Kamery zamontowane na Time Warner i rotundzie wszystko nagrywały.

Przeciął Pięćdziesiątą Ósmą i skręcił w lewo. Młodszy agent, również przebrany za bezdomnego, przejął wózek. Sommers wsiał do jednego z samochodów FBI, a dwie minuty później ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy Burberry i pasujący do niego kapelusz wysiadł koło Holiday Inn na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, pół przecznicy od Dziewiątej Alei.

– Bert, mówi Kobziarz. Podaj swoje położenie.

– Zaparkowałem przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy między Ósmą a

Dziewiątą Aleją, obok hydrantu. Nie mogę tu długo zostać. Ostrzegam cię. Według tego, co mówił Bailey, w okolicy roi się od FBI.

– Nie spodziewałem się niczego innego. Pojedź w kierunku Dziesiątej Alei i skręć na wschód w Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę. Zaparkuj gdzieś na poboczu i czekaj na dalsze polecenia.

Chwilę później zadzwonił telefon Clinta, który czekał w kradzionym samochodzie na Zachodniej Sześćdziesiątej Pierwszej. Dostał od Kobziarza identyczne wskazówki.

Franklin Bailey stał na północno-zachodnim rogu Dziewiątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Był przemoczony do suchej nitki i z trudem łapał oddech z wysiłku, gdyż zmęczył się dźwiganiem ciężkich walizek. Mimo świadomości, że FBI obserwuje każdy jego ruch, był przerażony tą zabawą w kotka i myszkę z porywaczami. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że upuścił telefon, kiedy znów rozległ się sygnał. Odebrał, modląc się, aby aparat wciąż działał.

– Jestem na miejscu.

– Widzę. Teraz idź do Pięćdziesiątej Dziewiątej i Dziesiątej Alei. Wejdź do sklepu Duane Reade na północno-zachodnim rogu. Kup telefon na kartę i torby na śmieci. Zadzwonię za dziesięć minut.

Każę mu się pozbyć naszego, odgadł agent Sommers. Jeśli jest w stanie obserwować Bailey'a, to może być w jednej z tych kamienic. Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się taksówka; wysiadła z niej jakaś para. W okolicy krążyło co najmniej pół tuzina taksówek z agentami w roli kierowców i pasażerów. Plan zakładał, że „klienci” wysiądą z taksówki w pobliżu miejsca, gdzie będzie czekał Bailey. Mógłby wtedy wsiąść do podstawionego samochodu, nie wzbudzając podejrzeń porywaczy. Jednak teraz nie będzie można niepostrzeżenie śledzić Bailey'a. Kobziarz właśnie się o to postarał.

Musi przejść jeszcze cztery przecznice w tym deszczu, ciągnąc za sobą ciężkie walizy, martwił się Sommers obserwując, jak Bailey kieruje się na północ zgodnie z poleceniem Kobziarza. Mam tylko nadzieję, że nie zemdleje przed przekazaniem pieniędzy.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Sommers podbiegł do niej.

– Pojedziemy dookoła Columbus Circle – powiedział do agenta za kierownicą. – I zaparkujemy na Dziesiątej Alei w okolicy Sześćdziesiątej Ulicy.

Minęło dziesięć minut, zanim Franklin Bailey dotarł do sklepu Duane Reade. Kiedy wyszedł, trzymał w jednym ręku małą paczkę w drugim

telefon. Agenci nie słyszeli już, co mówił do niego Kobziarz. Wsiadł do jakiegoś samochodu i odjechał.

Mike Benzara, student z Centrum Fordham/Lincoln pracujący na pół etatu jako sprzedawca, znalazł telefon komórkowy porzucony przy kasie obok cukierków i gum do żucia. Całkiem fajny, pomyślał, podając go kasjerowi.

– Szkoda, że nie mogę go zatrzymać – zażartował.

– To już drugi dzisiaj – powiedział kasjer, wrzucając telefon do szuflady pod ladą. – Założę się, że należy do tego staruszka z walizami. Ledwie zdążył zapłacić za torby na śmieci i ten telefon, który kupił, a drugi zadzwonił mu w kieszeni. Poprosił mnie, żebym podyktował nowy numer temu, kto dzwonił. Mówił, że sam ma zbyt zaporowane okulary.

– Może ma kochankę i nie chce, żeby żona się czegoś domyśliła przy przeglądaniu billingów.

– Nie. Dzwonił facet. Prawdopodobnie jego bukmacher.

– Na zewnątrz czeka na ciebie sedan – poinformował Bailey Kobziarz. – Tabliczka z twoim nazwiskiem jest na przedniej szybie po stronie pasażera. Nie bój się wsiąść. To wynajęty samochód. Opłacony z góry i zarezerwowany na twoje nazwisko. Zdejmij walizki z wózka i poproś kierowcę, żeby je postawił obok ciebie na tylnym siedzeniu.

Szofer, Angel Rosario, zatrzymał się na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Dziesiątej Alei. Starszy mężczyzna z wózkiem bagażowym zaglądający w okna zaparkowanych samochodów to pewnie jego klient. Angel wyskoczył z samochodu.

– Pan Bailey?

– Tak. Tak.

Angel wyciągnął rękę po wózek.

– Otworzę bagażnik.

– Nie. Muszę coś wyjąć z walizek. Proszę je położyć na tylnym siedzeniu.

– Są mokre – zaprotestował Angel.

– Więc postaw je na podłodze – zniecierpliwiał się Franklin. – No już.

– Dobrze. Dobrze. Tylko niech pan mi tu nie padnie na zawał.

Przez dwadzieścia lat pracy w firmie szoferskiej Excel Angel Rosario spotkał wielu dziwaków, ale ten facet naprawdę go zaniepokoił. Wyglądał, jakby miał zaraz dostać ataku serca, a Angel nie zamierzał się do tego przyczyniać. Poza tym, jeśli będzie miły, dostanie lepszy napiwek, rozumował. Ubranie pasażera, chociaż przemoczone, wyglądało na drogie,

no i staruszek zachowywał się z klasą, nie tak jak ta poprzednia klientka, która wyklócała się o zniżkę za postoje. Jazgotała jak piła łańcuchowa.

Angel otworzył tylne drzwi, ale Bailey nie wszedł, dopóki walizki nie zostały załadowane. Powiniennem mu to położyć na kolanach, myślał Angel, składając wózek i rzucając go na przednie siedzenie.

– Muzeum Brooklyńskie, zgadza się, proszę pana?

– Takie pan dostał polecenie. – Było to zarówno pytanie, jak i odpowiedź.

– Tak. Zabierzemy stamtąd pańskiego przyjaciela, a potem pojedziemy do hotelu Pierre. Ostrzegam pana, że to trochę potrwa. Są korki, a w tym deszczu kiepsko się prowadzi.

– Rozumiem.

Kiedy ruszali, zadzwonił nowy telefon Bailey'a.

– Poznałeś już swojego kierowcę? – spytał Kobziarz.

– Tak. Jestem w samochodzie.

– Zaczynaj przekładać pieniądze z walizek do toreb na śmieci. Zawiąż torby krawatami: czerwonym, który masz na szyi, i niebieskim, który kazałem ci zabrać. Niedługo znów zadzwonię.

Była dwudziesta czterdzieści.

Telefon w stróżówce zadzwonił o dwudziestej pierwszej piętnaście. Angie omal nie wyskoczyła ze skóry, słysząc dźwięk dzwonka. Właśnie sprawdzała, co u dzieci. Pospiesznie przymknęła drzwi sypialni i pobiegła odebrać. Była pewna, że to nie Clint; on zawsze dzwonił na komórkę. Podniosła słuchawkę.

– Słucham?

– Angie, jestem obrażony, naprawdę mam żal. Mój kumpel Clint miał do mnie wczoraj zadzwonić w sprawie wypadu na piwko.

Tylko nie to, jęknęła w duchu Angie. To ten głupol Gus, a sądząc po odgłosach w tle, dzwoni z pubu Danbury. „Zawsze wiem, kiedy skończyć” – akurat, pomyślała, słuchając jego pijackiego bełkotu.

Ale musiała być ostrożna. Gus już kiedyś zjawił się bez zapowiedzi w poszukiwaniu towarzystwa.

– Cześć, Gus. – Próbowała nadać głosowi przyjazny ton. – Nie odezwał się? Mówiłam mu, żeby zadzwonił. Kiepsko się wczoraj czuł, wcześniej się położył.

Zdała sobie sprawę, że musiała nie domknąć w pośpiechu drzwi do sypialni, bo właśnie dobiegł stamtąd głośny rozpaczliwy płacz Kathy. Szybko zakryła ręką słuchawkę. Niestety za późno.

– Czy to ten dzieciak, którego pilnujesz? Słyszę, jak płacze.

– Tak, muszę do niego zajrzeć. Clint pojechał obejrzeć samochód, który chce sprzedać jakiś facet z Yonkers. Jutro na pewno się z tobą spotka.

– Przydałby się wam nowy wóz. To, czym teraz jeździcie, wygląda jak pułapka na szczury.

– Zgadza się. Gus, słyszysz, że dzieciak płacze. Jesteście umówieni z Clintem na jutrzejszy wieczór, zgoda?

Zanim zdążyła odłożyć słuchawkę, rozbudzona już Kelly zaczęła rozpaczliwie wołać matkę, wtórując Kathy.

Mam nadzieję, że Gus był już zbyt pijany, żeby się zorientować, ile wrzeszczących dzieciaków właśnie usłyszał, zaniepokoiła się Angie. Pewnie zaraz zadzwoni jeszcze raz; to w jego stylu. Bardzo chce z kimś porozmawiać, to pewne. Weszła do sypialni. Bliźniaczki stały w łóżeczku, przytrzymując się szczebelków. Krzyczały głośno i rozpaczliwie. Cóż, jedną z was mogę uciszyć, pomyślała. Wyjęła z szuflady skarpetkę i

przewiązała ją Kelly wokół buzi.

Angus Sommers nie spuszczał oka z samochodu, do którego wsiadł Franklin Bailey. Jechał tuż za nim wozem prowadzonym przez agenta Bena Taglione. Sedan, którym poruszał się teraz negocjator, miał z boku logo wypożyczalni Excel. Sommers zadzwonił tam natychmiast. Samochód numer 142 został wypożyczony na nazwisko Franklina. Zapłacono kartą American Express. Zamówiono kurs do Muzeum Brooklyńskiego. Miał tam czekać drugi pasażer. Miejscem docelowym był hotel Pierre na Sześćdziesiątej Pierwszej i Piątej. To zbyt proste, uznał Sommers i wszyscy jego koledzy. Mimo to kilkunastu agentów FBI znajdowało się już w drodze do muzeum, a kilku czekało pod hotelem.

Skąd Kobziarz zna numer karty kredytowej Bailey'a?, zastanawiał się Sommers. Zaczynał nabierać pewności, że porywacz jest kimś z bliskiego otoczenia Frawleyów. Ale nie to było teraz najważniejsze. Przede wszystkim muszą odzyskać dziewczynki. Potem zajmą się ściganiem sprawców porwania.

Za Baileyem podążało sześć samochodów. West Side Drive była niemal całkowicie zakorkowana. Strasznie długo to trwa, oby porywacze nie zaczęli się denerwować, martwił się Sommers. Zresztą nie on jeden. Bóg raczej wie, co tamci mogą zrobić dzieciom, jeśli uznają, że nie są traktowani poważnie.

Przyczyna zatoru na trasie wyjaśniła się. Przy zjeździe z autostrady do World Trade Center był wypadek. Kiedy wreszcie minęli rozbite pojazdy, mogli jechać znacznie szybciej. Sommers pochylił się do przodu. W tym deszczu łatwo było pomylić czarnego sedana z dziesiątkami innych podobnych aut. Nie wolno go zgubić.

Przepuścili trzy samochody, żeby nie jechać bezpośrednio za Baileyem. Opuścili już Manhattan i skręcili na północ. Przed ich oczyma ukazały się zamglone w strugach deszczu światła mostu Brooklyńskiego. Na South Street sedan gwałtownie skręcił w lewo i stracili go z pola widzenia. Taglione zaklął cicho i próbował zjechać na lewy pas. Nie mógł tego zrobić, nie ryzykując kolizji z jadącym obok subaru.

Sommers zacisnął dłonie w pięści. Zadzwonił jego telefon.

– Wciąż go mamy – powiedział agent Winters. – Znów kierują się na północ.

Była dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Sylvia Harris objęła szlochającą Margaret Frawley. Słowa tracą znaczenie w takich chwilach, pomyślała. Są kompletnie bezużyteczne. Ponad ramieniem Margaret napotkała spojrzenie Steve'a. Mężczyzna był blady i wyczerpany. Wyglądał jak bezradny chłopiec, jakby miał mniej niż trzydzieści jeden lat. Z całych sił próbował powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Muszą dziś wrócić – szeptała Margaret łamiącym się głosem. – Wrócą dzisiaj. Wiem, że wrócą!

– Potrzebujemy cię, Sylvio. – Steve mówił z wyraźnym wysiłkiem. Miał ściśnięte gardło. Głos łamał mu się pod wpływem emocji. – Nawet jeśli dziewczynki były dobrze traktowane, na pewno są zdenerwowane i przestraszone. A Kathy bardzo kaszle.

– Margaret mówiła mi o tym przez telefon – odpowiedziała cicho Sylvia.

Była bardzo zaniepokojona. Jako lekarz Kathy dobrze wiedziała, czym grozi małej pacjentce nieleczone przeziębienie. Tym bardziej że dziewczynka już raz przechodziła wyjątkowo niebezpieczne zapalenie płuc.

– Przejdźmy do salonu – zaproponował Steve. – Rozpalę w kominku. Centralne ogrzewanie nie zawsze się sprawdza w takich starych murach. Pomieszczenia są albo przegrzane, albo zbyt chłodne. Trudno nastawić odpowiednio termostat.

Steve za wszelką cenę starał się zagłuszyć strach. Zarówno własny, jak i Margaret. Oboje wiedzieli, że ich córeczce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Margaret nie przestawała o tym mówić od chwili odłożenia słuchawki po rozmowie z doktor Harris.

– Jeśli po przekazaniu okupu porywacze zostawią dziewczynki gdzieś na deszczu, Kathy może dostać zapalenia płuc!

Poprosiła Steve'a, aby przyniósł z pokoju dziewczynek dziennik, który prowadziła od dnia ich urodzenia.

– Powinnam zrobić wpis na ten tydzień – poinformowała Carlsona niemal obojętnie. – Po odzyskaniu dzieci pewnie będę tak szczęśliwa i poczuję tak wielką ulgę, że wyrzucę z pamięci to, co się dzieje teraz.

Dlatego chcę teraz wszystko opisać. To straszne uczucie. Strach...

Czekanie... – Potem dodała prawie ze śmiechem: – Moja babcia mówiła

zwykle, kiedy nie mogłam się doczekać urodzin albo Gwiazdki, że czekanie nie wydaje się długie, kiedy dobiega końca.

Steve podał jej dziennik w skórzanej oprawie. Margaret przeczytała na głos kilka fragmentów: jeden z pierwszych, o tym jak małe bliźniaczki w tych samych momentach zaciskały piąstki, nawet we śnie; z zeszłego roku, o tym, jak Kathy potknęła się i stłukła kolano o komodę w sypialni, a Kelly, która w tym czasie była w kuchni, chwyciła się za kolano bez wyraźnego powodu...

– To doktor Harris podsunęła mi pomysł z prowadzeniem dziennika – wyjaśniła Margaret.

Carlson zostawił ich w salonie. Sam przeszedł do jadalni, gdzie stał telefon z aparaturą namierzającą i podsłuchem. Coś mu podpowiadało, że Kobziarz może mimo wszystko zaryzykować bezpośredni kontakt z Frawleyami.

Była dwudziesta czterdzieści pięć. Od rozpoczęcia akcji przekazywania okupu minęły dwie godziny.

– Bert, za dwie minuty zadzwoni do ciebie Franklin Bailey. Będzie chciał, żebyś czekał przy Pięćdziesiątej Szóstej. Koło tego przejścia na Pięćdziesiątą Siódmą, na lewo od Szóstej Alei – powiedział Lucasowi Kobziarz. – Harry już tam będzie. Kiedy dotrzesz na miejsce, każę Baileyowi zostawić torby z pieniędzmi na chodniku przed sklepem Cohen Fashion Optical na Pięćdziesiątej Siódmej. Połóż je na stercie śmieci. Nasze torby będą zawiązane krawatami. Przebiegniecie z Harrym przez przejście, chwycicie torby i wróćcie. Włóżcie pieniądze do bagażnika samochodu Harry’ego. Harry odjedzie. Powinien się wyrobić, zanim agenci go namierzą.

– To znaczy, że mamy przebiec całą przecznicę z tymi torbami? To bez sensu – zaproponował Lucas.

– Owszem, z sensem. Nawet jeśli FBI udało się nie zgubić Bailey’a, będą wystarczająco daleko, żebyście zdążyli z Harrym zabrać torby. I żeby Harry zdążył odjechać. Ty zostaniesz na miejscu, a kiedy zjawi się Bailey z policją, zgodnie z prawdą powiesz im, że otrzymałeś polecenie od klienta, aby czekać tam na niego. Żaden agent nie odważy się zbliżyć do przejścia, bo mógłby zostać zauważony. Wejdiesz w rolę świadka. Zeznasz, że widziałeś, jak dwóch facetów wrzuca torby do samochodu zaparkowanego niedaleko ciebie. Podasz im jakiś nieprawdziwy opis wozu.

Połączenie zostało przerwane. Była dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt cztery.

Angelowi Rosario to kluczenie po mieście i ciągle zmienianie kierunków wydało się co najmniej podejrzane, a kiedy zauważył, jak jego pasażer przepakuje pieniądze, zagroził, że podjedzie pod najbliższy posterunek policji. Franklinowi nie pozostawało nic innego niż wtajemniczyć kierowcę w szczegóły przedsięwzięcia i błagać o pomoc.

– Wyznaczono nagrodę za pomoc w odnalezieniu dziewczynek.

Będzie pan miał prawo się o nią ubiegać – dodał.

– Sam mam dzieci – odparł szofer. – Pojadę tam, gdzie nam każą.

Gwałtownie skręcili w South Street, potem pojechali Pierwszą Aleją, skręcili w ulicę Pięćdziesiątą Piątą i zaparkowali w pobliżu Dziesiątej Alei. Kobziarz zadzwonił po raz kolejny po piętnastu minutach.

– Panie Bailey, to ostatni etap naszej współpracy. Proszę zadzwonić

do swojego szofera i powiedzieć mu, żeby czekał na pana na Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej, na przejściu łączącym Pięćdziesiątą Szóstą z Pięćdziesiątą Siódmą. To tylko ćwierć przecznicy na wschód od Szóstej Alei.

Po dziesięciu minutach Kobziarz znów zadzwonił.

– Dodzwonił się pan do szofera?

– Tak. Był w okolicy. Zaraz tam będzie.

– To deszczowy wieczór, panie Bailey. Martwię się o pana zdrowie.

Dlatego proszę jeszcze nie wysiadać z samochodu. Niech kierowca jedzie Pięćdziesiątą Siódmą, skręci w prawo i kieruje się na wschód. Zwolnijcie, kiedy miniecie Szóstą Aleję. Trzymajcie się krawężnika.

– Za szybko pan mówi – zaprotestował Bailey.

– Słuchaj uważnie, jeśli ci zależy, żeby Frawleyowie zobaczyli jeszcze swoje dzieci! Przed sklepem Cohen Fashion Optical jest góra śmieci czekających na zabranie. Otwórz drzwi sedana i wystaw torby z pieniędzmi na wierzch sterty. Upewnij się, że krawaty są dobrze widoczne. Potem natychmiast wróć do samochodu i każ kierowcy jechać dalej na wschód. Zadzwonię jeszcze.

Była dwudziesta druga zero sześć.

– Bert, mówi Kobziarz. Natychmiast przejdź na drugą stronę ulicy. Trzeba zabrać pieniądze.

Lucas zdjął czapkę szofera, włożył kurtkę z kapturem i ciemne okulary zakrywające pół twarzy. Wsiadł z samochodu i otworzył parasol. Clint już na niego czekał. Wciąż mocno padało. Przechodnie nie zwracali na nich najmniejszej uwagi.

Zasłaniając twarz parasolem, przyglądał się, jak Bailey niezdarnie wsiada do samochodu. Clint błyskawicznie chwycił torby i zawrócił. Lucas zaczekał, aż tamten kierowca odjedzie. Bał się, że zostanie rozpoznany. Potem pobiegł za Clintem i odebrał od niego jedną z toreb.

Po paru sekundach byli z powrotem na Pięćdziesiątej Szóstej. Clint nacisnął przycisk otwierający bagażnik w skradzionej toyocie. Nie działał. Bagażnik nie chciał się otworzyć. Przeklinając pod nosem, chwycił za klamkę. Drzwi też się zacięły. Mieli tylko kilka sekund. Lucas otworzył bagażnik limuzyny.

– Wrzuć je tutaj – warknął, zerkając nerwowo na boki, a potem lustrując ulicę. Przechodnie byli ledwo widoczni w strugach deszczu.

Siedział już za kierownicą w swojej czapce szofera, kiedy nadbiegli agenci. Mokra kurtka leżała zwinięta pod siedzeniem. Nerwy miał w

strzępach, ale panował nad sobą po mistrzowsku. Jakiś policjant zapukał w szybę.

– Czy coś się stało? – Lucas udał zaniepokojenie.

– Widział pan mężczyznę niosącego torby na śmieci? Przechodził tędy przed chwilą – pytał agent Sommers.

– Tak. Ich samochód stał tutaj. – Lucas wskazał miejsce parkingowe, które właśnie zwolnił Clint.

– Ich? To znaczy, że było dwóch?

– Tak, jeden tęgi i niski, drugi wysoki i szczupły. Nie widziałem ich twarzy.

Sommers był za daleko, żeby widzieć przejęcie okupu. Utknął w korku na Szóstej Alei. Zdażył tylko zobaczyć odjeżdżającego sedana. Pojechał za nim. Po chwili zorientował się, że popełnił błąd i zawrócił. Zatrzymany przechodzień powiedział, że widział jakiegoś tęgiego mężczyznę, który zabrał dwie torby na śmieci ze sterty pod sklepem i zaczął uciekać. Angus Sommers pobiegł w kierunku wskazanym przez świadka i natknął się na kierowcę Bailey'a.

– Proszę opisać samochód, który pan widział – polecił agent.

– Granatowy albo czarny czterodrzwiowy lexus. Najnowszy model.

– Ci dwaj mężczyźni do niego wsiedli?

– Tak, proszę pana.

Lucas zdołał odpowiedzieć na pytania spokojnym unizonym tonem, którego używał w kontaktach z klientami. Był równie zdenerwowany, co rozbawiony. Nikt nie zwrócił uwagi na drżenie jego rąk. Wokół zaroilo się od agentów FBI. Teraz pewnie każdy glina w Nowym Jorku szuka lexusa, pomyślał. Samochód, który ukraść Clint, to stara czarna toyota. Po kilku minutach nadjechał Bailey. Był niemal w stanie przedzawałowym. Agenci pomogli mu wsiąść do limuzyny. Dwóch pojechało razem z nim, pozostali ruszyli za Lucasem swoimi samochodami. Wracali do Ridgefield. Policjanci wypytywali Bailey'a o szczegóły instrukcji, jakie dostał od Kobziarza. Wohl odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał:

– Poprosiłem Lucasa, żeby czekał w pobliżu Columbus Circle. Jednak około dziesiątej Kobziarz zażyczył sobie, żeby zaparkował na Pięćdziesiątej Szóstej. To było ostatnie polecenie, jakie dostałem.

Kwadrans po dwunastej Lucas zatrzymał się pod domem Bailey'a. Jeden z agentów wprowadził Franklina do środka. Drugi dziękował Lucasowi za pomoc i współpracę. Wohl odjechał z pieniędzmi w bagażniku. Już we własnym garażu przełożył torby z limuzyny do

prywatnego auta. Potem pojechał do klubu, gdzie czekali na niego podekscytowany Clint i podejrzanie cicha Angie.

Okup został zapłacony, ale policji nie udało się zatrzymać porywaczy. Teraz pozostawało tylko czekać. Steve, Margaret i Sylvie Harris siedzieli w milczeniu, modląc się, by któryś z sąsiadów przyniósł wiadomość o telefonie od Kobziarza Nic takiego jednak nie następowało.

Gdzie je zostawia, rozpaczała Margaret. Może w jakimś pustostanie. Nie mogą przecież porzucić ich w miejscu publicznym. Za dużo świadków. Każdy zwraca uwagę na bliźniaczki, kiedy je gdzieś zabieram. Moje dwa słodkie aniołki. Aniołki w błękitnych ubrankach. Tak je nazwali dziennikarze.

Błękitne aksamitne sukieneczki...

A jeśli porywacze się nie odezwą? Mają już pieniądze. A jeśli po prostu uciekną?

Czekanie nie wydaje się długie, kiedy minie.

Błękitne aksamitne sukieneczki.

– Czuję się jak w skarbcu – zaśmiał się Clint. – Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że wiozłeś forszę i agentów FBI jednym samochodem!

Cała podłoga w salonie była usłana banknotami. Sprawdzili kilka. Nie były znaczone.

– Uwierz – odburknął Lucas. – Zaczynij pakować swoją połowę do jednej z tych toreb. Ja zabiorę swoją w drugiej.

Mimo że dostali pieniądze, Wohl wciąż się bał. Był pewien, że to nie koniec kłopotów. Ten idiota Clint nawet nie sprawdził, czy wszystko działa, zanim ukradł wóz. Gdyby mnie nie było na miejscu, złapaliby nas na gorącym uczynku, myślał Lucas. Teraz czekali na telefon od Kobziarza, który miał im powiedzieć, gdzie podzucić dzieciaki.

Oby Angie nie wpadła na genialny pomysł, żeby je zabrać po drodze na lody! Na pożegnanie. To całkiem w jej stylu. Pocieszał się tylko myślą, że nie znajdą otwartej lodziarni w środku nocy. Dostał nerwowych skurczów żołądka. Czemu Kobziarz nie dzwoni?

Wszyscy podskoczyli, słysząc przenikliwy dźwięk telefonu o trzeciej w nocy. Angie pobiegła odebrać.

– Mam nadzieję, że to nie ten obleśny Gus. Dzwonił Kobziarz.

– Daj mi Berta – zażądał.

– To on – szepnęła nerwowo Angie.

Lucas podszedł niespiesznie i odebrał od niej słuchawkę.

– Byłem ciekaw, kiedy wreszcie sobie o nas przypomnisz – powiedział z przekąsem.

– Nie mówisz jak ktoś, kto właśnie patrzy na milion dolarów. Posłuchaj uważnie. Pojedziecie pożyczonym samochodem na parking przy La Cantina, to przydrożna restauracja w Elmsford, na północ od Saw Mili River. Niedaleko parku V. E. Macy. Restauracja jest od wielu lat zamknięta.

– Wiem, gdzie to jest.

– To wiesz także, że parking jest na tyłach budynku, niewidoczny z ulicy. Harry i Mona z dziećmi pojadą za tobą furgonetką. Potem przeniesiecie bachory do pożyczonego auta i zamkniecie. Wasza trójka wróci do stróżówki furgonetką. O piątej rano zadzwonię jeszcze raz. Potem nigdy więcej o mnie nie usłyszycie.

Wyruszyli o trzeciej piętnaście. Lucas usiadł za kierownicą kradzionej

toyoty. Angie i Clint zanieśli bliźniaczki do furgonetki. Jeśli złapią gumę w tym gruchocie, jeśli zatrzyma nas drogówka, jeśli jakiś pijak wjedzie komuś z nas w tyłek... Wielość potencjalnych katastrof doprowadzała go do szaleństwa. Z przerażeniem zauważył, że w baku jest niewiele benzyny.

Tyle wystarczy, pocieszał się.

Wciąż padało, ale już nie tak mocno jak wcześniej. Może to dobry omen. Znał restaurację La Cantina. Wiele lat temu wstąpił tam na kolację po wyjątkowo lukratywnym włamaniu do pewnej rezydencji w Larchmont. Wśliznął się przez otwarte drzwi balkonowe, podczas gdy niczego nieświadoma rodzinka relaksowała się w najlepsze przy basenie. Poszedł prosto do głównej sypialni. Co za fart! Pani domu zostawiła sejf otwarty na oścież! Zgarnąłem biżuterię i pojechałem na trzy tygodnie do Vegas, wspominał Lucas. Większość kasy przegrał, ale dobrze się bawił.

Tym razem miał zamiar rozsądnie gospodarować pieniędzmi. Żadnego hazardu. Moje szczęście chyba się kończy, pomyślał. A nie chciał spędzić reszty życia w więziennej celi. Najważniejsze teraz to nie dopuścić, żeby Angie zwróciła na siebie uwagę kolejną wyprawą na zakupy.

Skreślił w drogę prowadzącą do Saw Mili River. Jeszcze dziesięć minut i dotrze na miejsce. Nie było zbyt dużego ruchu. Krew ścieła mu się w żyłach na widok radiowozu. Zerknął na prędkościomierz – jechał setką przy ograniczeniu do dziewięćdziesięciu. W porządku. Właściwy pas, wszystko zgodnie z przepisami. Clint trzymał się tak daleko z tyłu, że nie wzbudzał podejrzeń.

Radiowóz skręcił na najbliższym zjeździe. Lucas zwilżył wargi czubkiem języka. Tym razem się udało. Niecałe pięć minut, myślał. Cztery minuty. Trzy. Dwie. Dojechał na miejsce. Stary budynek restauracji osiadał na lewą stronę.

Droga wolna. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego pojazdu. Wyłączył światła i skręcił na parking. Zgasił silnik i czekał. Za chwilę usłyszy odgłos nadjeżdżającej furgonetki. Zbliżali się do końcowej fazy planu.

– Policzenie miliona dolarów trochę trwa – odezwał się Walter Carlson. Miał nadzieję, że pocieszająco.

– Dostali pieniądze tuż po dziesiątej – odparł Steve. – Czyli pięć godzin temu.

Margaret leżała skulona na kanapie z głową na jego kolanach. Nie otworzyła oczu. Od czasu do czasu ciężki rytmiczny oddech wskazywał, że zasnęła, ale niemal natychmiast z głębokim westchnieniem wracała do rzeczywistości.

Doktor Harris siedziała wyprostowana w fotelu z rękami na kolanach. Ani w jej sylwetce, ani na twarzy nie było widać śladu zmęczenia. Tak musi wyglądać, kiedy czuwa przy łóżku ciężko chorego pacjenta, przyszło na myśl Carlsonowi. Ostoja spokoju i pogody ducha. Dokładnie to, czego potrzeba w trudnych chwilach.

Starał się pocieszać Frawleyów, chociaż wiedział, że każda mijająca minuta zmniejsza nadzieję na odzyskanie dzieci. Kobziarz mówił, że zadzwoni z informacją o ich miejscu pobytu po północy. Steve ma rację, porywacze dostali pieniądze wiele godzin temu. Wszystko wskazuje na to, że dziewczynki są już martwe.

Franklin Bailey słyszał ich głosy we wtorek, myślał. To oznacza, że przedwczoraj jeszcze żyły. Mówiły, że widziały rodziców w telewizji. Jeżeli założymy, że ten człowiek jest wiarygodnym źródłem informacji.

W miarę upływu godzin przeczucie Carlsona było coraz silniejsze. Jego przeczucia sprawdziły się już niejednokrotnie w trakcie dwudziestoletniej służby. Tym razem intuicja podpowiadała mu, że powinien zainteresować się bliżej Lucasem Wohlem, usłużnym szoferem, który zaparkował przypadkiem w tak dogodnym punkcie obserwacyjnym.

Niewykluczone, że Bailey mówił prawdę i rzeczywiście dostał polecenie od Kobziarza, które przekazał Lucasowi. Jednak Carlsona dręczyło uporczywe podejrzenie, że ktoś wodzi ich za nos.

Angus Sommers, który kierował grupą nowojorską, jechał z Baileyem jednym samochodem i nie miał żadnych podejrzeń ani w stosunku do negocjatora, ani jego szofera. Mimo to, zdecydował Carlson, zadzwonię do Connora Ryana. Connor Ryan był głównodowodzącym w New Haven i bezpośrednim przełożonym Carlsona. Siedział teraz w biurze ze swoimi ludźmi, gotów do akcji, gdyby okazało się, że bliźniaczki porzucono w

północnej części Connecticut. Mógłby zacząć sprawdzać Lucasa natychmiast.

Margaret zaczęła powoli wstawać. Odgarnęła włosy z twarzy znużonym gestem. Sprawiała wrażenie, jakby podniesienie ręki wiązało się dla niej z nadludzkim wysiłkiem.

– Czy Kobziarz nie mówił, że będzie dzwonił koło północy? – spytała.

Nie było innej odpowiedzi poza prawdą.

– Tak mówił.

Clint wiedział, że La Cantina musi być gdzieś niedaleko, bał się, że mógłby ją przegapić. Zmrużonymi oczyma dokładnie obserwował pobocze po prawej stronie. Zwolnił, kiedy zauważył radiowóz. Nie chciał, żeby gliniarzom rzuciło się w oczy, że jedzie za Lucasem. Teraz nie widział przed sobą furgonetki.

Angie siedziała z tyłu. Tulila chorego dzieciaka. Śpiewała tę samą piosenkę od momentu, kiedy wsiedli do samochodu.

– *Dwa słodkie aniołki w błękitnych ubrankach* – powtarzała do znudzenia. – *Aaaale loooosjee roooozdzieeliiii!* – zawodziła.

To samochód Lucasa, tam, przed nami, zastanawiał się. Nie, nie jego.

– *Dwa słodkie aniołki w błękitnych ubrankach* – powtarzała niezmordowanie Angie.

– Angie mogłabyś, do cholery, przestać? – nie wytrzymał.

– Kathy lubi, jak jej śpiewam – odparła zimno.

Clint zerknął na nią nerwowo i podejrzliwie. Była dziś jakaś dziwna. W jednym z tych swoich niepokojących nastrojów. Jak weszli do sypialni po dzieciaki, zauważył, że jedna z dziewczynek spała ze skarpetką zawiązaną wokół buzi. Angie złapała go za rękę, kiedy chciał rozwiązać knebel.

– Przynajmniej nie będzie się darła w samochodzie.

Potem uparła się, żeby położyć Kelly na podłodze z tyłu i przykryć gazetą.

Wściekła się, kiedy zaprotestował. Uważał, że mała może się udusić.

– Nie udusi się. A jeśli zatrzyma nas drogowka? Chcesz, żeby policja zobaczyła dwie identyczne trzylatki?

Druga smarkula, ta, którą Angie trzymała na rękach, była niespokojna. Trochę pojękiwała. Dobrze, że wkrótce wróci do rodziców. Nie trzeba być lekarzem, żeby się zorientować, że ta mała jest bardzo chora.

Ten budynek to musi być restauracja, pomyślał Lucas, wyężając wzrok. Zjechał na prawy pas. Poczł pot skraplający się na całym ciele. Zawsze tak reagował w kulminacyjnym momencie roboty. Minał restaurację i skręcił w prawo na podjazd, a potem znów w prawo na parking za budynkiem. Lucas zaparkował zaraz przy restauracji, Clint zatrzymał się tuż za nim.

– *Były siostrami...* – Angie zaczęła śpiewać jeszcze głośniej.

Kathy wierciła się i płakała w jej ramionach. Z podłogi pod tylnym siedzeniem dobiegał zduszony jęk jej siostry, która również się obudziła i dołączyła do udręczonego protestu.

– Zamknij się! – błagał Clint. – Nie wiem, co Lucas z tobą zrobi, kiedy usłyszy ten hałas.

Nagle przestała śpiewać.

– Nie boję się go. Masz, potrzyj ją.

Szybko wcisnęła mu Kathy w ramiona i wysiadła z samochodu. Podbiegła do kradzionej toyoty i zapukała w szybę kierowcy. Lucas otworzył okno. Dziewczyna znikła do połowy w samochodzie. Sekundę później na opuszczonym parkingu rozległ się głośny huk.

Angie podbiegła z powrotem do furgonetki, otworzyła tylne drzwi i chwyciła Kelly.

Przerażony i zaskoczony Clint nie był w stanie się poruszyć ani wydobyć głosu. Tymczasem jego dziewczyna zostawiła Kelly na tylnym siedzeniu kradzionej toyoty i usiadła z przodu na siedzeniu pasażera. Po chwili wróciła z telefonem Lucasa i jego kluczami.

– Przyda nam się, kiedy zadzwoni Kobziarz powiedziała ciepłym radosnym głosem.

– Zabiłaś Lucasa! – wyjąkał odrętwiały Clint. Wciąż obejmował mocno Kathy. Dziewczynka zanosila się płaczem przerywanym atakami kaszlu.

– Zostawił list. Napisany na tej samej maszynie, co żądanie okupu. Píše, że nie chciał zabić Kathy, ale płakała tak bardzo, że musiał jej zatkać buzię. Wtedy przestała oddychać. Włożył zwłoki do kartonowego pudła, wsiadł w samolot i wyrzucił paczkę nad oceanem. Czyż to nie świetny pomysł? Musiałam to załatwić tak, żeby wyglądało na samobójstwo. Teraz zatrzymamy cały milion, a ja mam swoje dziecko. No, chodź. Spadamy stąd.

Owładnięty nagłą paniką Clint ruszył bardzo gwałtownie.

– Zwolnij, głupi gnojku – warknęła Angie. Radosny ton zniknął z jej głosu. – Odpreż się. Wieziesz swoją rodzinę do domu. Ma być przyjemnie.

Wjechali z powrotem na autostradę. Angie znów zaczęła śpiewać:

– *Były siostrami... Ale rozdzielił je zły los.*

W siedzibie C. F. G. &Y. na Park Avenue w gabinetach zarządu całą noc paliły się światła. Część dyrekcji trzymała wartę, pragnąc zebrać chwałę za wzruszający powrót bliźniaczek Frawley w ramiona rodziców. Miał to być moment tryumfu dla całej firmy.

Wszyscy wiedzieli, że Kobziarz obiecał zadzwonić koło północy, po otrzymaniu reszty pieniędzy. W miarę upływu godzin radosne oczekiwanie na głośną relację medialną i ogromną reklamę dla przedsiębiorstwa zaczęło przeradzać się w niepokój i zwątpienie. Wielu dziennikarzy uznało zapłacenie okupu porywaczom za współpracę z kryminalistami i zachętę dla naśladowców. W co drugim kanale emitowano „Okup” Glenna Forda. Dla Robinsona Geislera szczególnie wymowna i niepokojąca była scena, w której Harrison Ford rzuca wyzwanie porywaczom swojego syna. Przynosi pieniądze do studia telewizyjnego, dokładnie tyle, ile żądali przestępcy, i pokazuje je do kamery mówiąc, że przeznaczy każdego centa na ściganie kidnaperów. Film kończy się happy endem, chłopczyk wraca do domu cały i zdrowy. Czy ta historia też skończy się szczęśliwie? A jeśli nie, kto za to odpowie?

O piątej Geisler wziął prysznic, przebrał się i ogolił. Będą mnie filmowali z bliźniaczkami, myślał. Założyć muchę? Nie, to chyba przesada. Za to czerwony krawat będzie w sam raz. Optymistyczny motyw. Delikatny wyraz tryumfu. Po raz kolejny przeciwiczył na głos mowę okolicznościową, którą zamierzał wygłosić dla mediów:

– Niektórzy twierdzą, że przystanie na warunki porywaczy było błędem. Że zniżyliśmy się do ich poziomu. Pozwólcie mi coś wyjaśnić: priorytetem zawsze jest odzyskanie zakładnika, nie ja to wymyśliłem, to główna zasada operacyjna organów ścigania w takich przypadkach. Dopiero kiedy zakładnik jest bezpieczny, można użyć wszelkich środków, by zatrzymać sprawców. Ponadto stanowczo zaprzeczam pomówieniom, jakoby nasze postępowanie było przyzwoleniem i zachętą dla przestępców. Wręcz przeciwnie: niech będzie dla nich przestroga, ponieważ ludzie, którzy porwali Kathy i Kelly Frawley, nie zdołają wydać tych pieniędzy.

Niech Gregg Stanford to przebije, pomyślał z uśmiechem satysfakcji.

– Przede wszystkim musimy pozbyć się samochodu Lucasa – mówiła Angie rzeczowo. – Wyjmiemy jego część okupu z bagażnika, a potem zaparkujesz wóz przed jego mieszkaniem. Będę jechała tuż za tobą.

– Nie ujdzie nam to na sucho, Angie. Nie możemy ukrywać dzieciaka w nieskończoność.

– Owszem, możemy.

– Ktoś może powiązać nas z Lucasem. Zdejmą mu odciski, a wtedy odkryją, że prawdziwy Lucas Wohl nie żyje od dwudziestu lat, a prawdziwe nazwisko faceta brzmi Jimmy Nelson. I że siedział w więzieniu. W tej samej celi co ja!

– Clint Downes to nie jest twoje prawdziwe nazwisko i co z tego? Nikt o tym nie wie. Nigdy nie pokazywaliście się z Lucasem razem. Spotykaliście się tylko przy robocie. Ostatnio przyjeżdżał do nas kilka razy, ale zawsze w nocy.

– Był wczoraj, kiedy zabierał te wszystkie rzeczy.

– Nawet jeśli ktoś widział, jak jego wóz skręca na teren klubu, myślisz, że zwrócił uwagę na starego brązowego forda? W okolicy są setki identycznych. Co innego gdyby przyjechał limuzyną. Zawsze używaliście telefonów na kartę, kiedy się kontaktowaliście.

– Wydaje mi się...

– A mnie się wydaje, że zakosiliśmy milion dolców, ja mam dzieciaka, którego chciałam, a ten zarozumiały gnojek nie będzie nam już przeszkadzał, bo leży z przestrzeloną głową, więc się zamknij.

Pięć po piątej zaczął dzwonić telefon Lucasa. Ten, który dostał od Kobziarza. Właśnie zajechali pod stróżówkę. Clint patrzył na wyświetlacz.

– Co chcesz mu powiedzieć?

– Nie odbierzemy – odparła Angie, uśmiechając się przebiegle. – Niech myśli, że wciąż jesteśmy na autostradzie. Albo że gadamy z glinami. – Rzuciła mu kluczyki. – To jego. Pozbądź się auta.

O piątej dwadzieścia Clint zaparkował samochód Lucasa pod sklepem żelaznym. Z okna na drugim piętrze przez zasunięte żaluzje przenikała słaba poświata, widać Lucas zostawił sobie zapalone światło. Downes wysiadł z forda i wgramolił się z powrotem do furgonetki. Jego twarz cherubina była mokra od potu. Usiadł za kółkiem. Komórka, którą Lucas

dostał od Kobziarza, znów zadzwoniła.

– Musi być sztywny ze strachu – drwiła Angie. – Dobra, jedziemy do domu. Moje maleństwo znów się budzi.

– Mamusiu, mamusiu... – Kathy wierciła się i wyciągała rączkę.

– Szuka siostrzyczki – powiedziała Angie. – Czy to nie słodkie? Spróbowała spleść swoją własną dłoń z rączką Kathy, ale została odepchnięta.

– Kelly, chcę do Kelly – wychrypiąła dziewczynka. – Nie chcę Mony. Chcę Kelly.

Clint przekręcił kluczyk w stacyjce i spojrzał lękliwie na Angie. Kiepsko tolerowała odrzucenie, tak naprawdę w ogóle nie była go w stanie tolerować. Wiedział, że będzie miała dość dzieciaka przed upływem tygodnia. Co wtedy, niepokoił się. Znów wstąpił w nią diabeł. Widział ją już kiedyś w takim stanie. Musimy się stąd wydostać, myślał gorączkowo, z tego miasta, z Connecticut.

Próbował nie okazywać strachu. Ulica była pusta. Jechał z wyłączonymi światłami. Dopiero za bramą klubu odetchnął spokojniej.

– Wstaw samochód do garażu – przykazała Angie. – Na wypadek, gdyby ten pijaczek, Gus, wpadł na pomysł, żeby przejeżdżać tędy rano. Będzie myślał, że cię nie ma.

– Nigdy tędy nie przejeżdża – powiedział Clint, chociaż wiedział, że nie ma sensu z nią się spierać, kiedy jest w takim stanie.

– Dzwonił wczoraj wieczorem, może nie? Wyłazi ze skóry, żeby się spotkać ze swoim ukochanym kumplem.

Kathy znów zaczęła płakać.

– Kelly... Kelly...

Clint otworzył drzwi stróżówki przed Angie. Wniosła Kathy do środka, poszła prosto do sypialni i wrzuciła ją do łóżeczka.

– Zapomnij, maleńka – powiedziała, idąc do pokoju dziennego. Clint ciągle stał pod drzwiami.

– Mówiłam, żebyś wstawił samochód do garażu – ponagliła. Zanim miał szansę wykonać polecenie, zadzwoniła komórka.

Tym razem Angie odebrała.

– Halo, panie Kobziarzu – powiedziała. Potem słuchała przez chwilę. – Wiem, że Lucas nie odbierał telefonu. Na autostradzie był wypadek i roilo się od glin. Jest ustawa, która zabrania kierowcy rozmawiania przez komórkę podczas jazdy, wie pan. Wszystko się udało. Lucas miał przecucie, że federalni mogą chcieć z nim rozmawiać i dlatego nie wziął

telefonu. Tak. Tak. Poszło naprawdę gładko. Proszę kogoś zawiadomić, gdzie są nasze słodkie aniołki. Mam nadzieję, że to nasza ostatnia rozmowa. Powodzenia.

W czwartek za kwadrans szósta zadzwonił telefon w zakrystii kościoła Świętej Marii w Ridgefield.

– Jestem w rozpacz. Muszę rozmawiać z księdzem – powiedział ktoś bardzo zachrypnięty.

Sekretarka Rita Schless była pewna, że rozmówca celowo próbuje zniekształcić swój głos. Znowu czyjeś wygłupy, pomyślała. W zeszłym roku jakiś mądrała z klasy maturalnej zadzwonił i błagał o rozmowę z księdzem. Twierdził, że w jego domu zdarzyła się tragedia. Rita obudziła księdza Romneya o czwartej nad ranem. Kiedy duchowny odebrał, usłyszał w słuchawce śmiechy i głos nicponia, który powiedział:

– Umieramy, proszę księdza. Skończył nam się browar. Rita sądziła, że tym razem będzie podobnie.

– Jest pan ranny albo chory? – spytała chłodno.

– Natychmiast połącz mnie z księdzem. To sprawa życia i śmierci.

– Proszę chwileczkę poczekać – powiedziała. Ani trochę mu nie wierzę, myślała, ale nie mogę ryzykować. Niechętnie zadzwoniła do siedemdziesięcioletniego księdza Romneya, który polecił jej przełączać do siebie wszystkie nocne telefony.

– I tak cierpię na bezsenność, Rito – wyjaśnił dobrotliwie.

– Nie sądzę, aby ten facet mówił prawdę – tłumaczyła teraz proboszczowi. – Przysięgłabym, że próbuje zmieniać głos.

– Zaraz się dowiemy – odparł wielebny Romney. Skrzywił się, siadając na łóżku, i potarł prawe kolano. Zawsze go bolało przy poruszaniu. Sięgnął po okulary i usłyszał w słuchawce kliknięcie świadczące o tym, że Rita już przełącza rozmówcę.

– Ksiądz Romney. W czym mogę być pomocny?

– Słyszał ksiądz o porwanych bliźniaczkach?

– Oczywiście. Rodzina Frawleyów jest nowa w naszej parafii.

Codziennie odprawiamy mszę w intencji bezpiecznego powrotu dziewczynek. – Rita ma rację, pomyślał. Ten ktoś próbuje zmienić głos.

– Kathy i Kelly są bezpieczne. Znajdują się w zamkniętym samochodzie zaparkowanym na tyłach restauracji La Cantina po północnej stronie autostrady Saw Mili River niedaleko Elmsford.

Wielebnemu Romneyowi serce omal nie wyskoczyło z piersi.

– To ma być żart? – spytał ostro. – To nie żart, proszę księdza.

Nazywam się Kobziarz. Okup został zapłacony, wybrałem księdza jako posłańca, który przekaże radosną nowinę Frawleyom. Północna strona Saw Mili, za starą restauracją La Cantina niedaleko Elmsford.

Zrozumiano?

– Tak. Tak.

– A więc proponuję, aby czym prędzej zawiadomił ksiądz kogo trzeba. To paskudna noc. Dziewczynki czekają tam już od kilku godzin, a Kathy jest mocno przeziębiona.

Walter Carlson zasiadł o świcie przy telefonie w jadalni. Czekał. Był przygotowany na najgorsze. Bał się patrzeć w oczy zrozpaczonym rodzicom. Za pięć szósta zadzwonił Marty Martinson z posterunku.

– Walt, ksiądz Romney z parafii Świętej Marii otrzymał wiadomość od kogoś, kto podaje się za Kobziarza. Dziewczynki mają rzekomo znajdować się w zamkniętym samochodzie za starą restauracją na autostradzie Saw Mili River. Zawiadomiliśmy policję stanową. Będą tam za niecałych pięć minut.

Frawleyowie i doktor Harris przybiegli do jadalni, słysząc dzwonek telefonu. Carlson odwrócił się do nich. Desperacka nadzieja na twarzach całej trójki była jeszcze smutniejszym widokiem niż wcześniejsza rozpacz.

– Zaczekaj, Marty – rzucił do słuchawki. – Za parę minut będziemy wiedzieć, czy telefon do wielebnego Romneya to nie okrutny żart – oznajmił im cicho.

– Czy to był Kobziarz? – szepnęła Margaret.

– Powiedział, gdzie one są? – dopytywał się Steve. Carlson nie odpowiadał.

– Marty, policja stanowa ma do ciebie oddzwonić?

– Tak. Dam ci znać, jak tylko będziemy coś wiedzieć.

– Jeśli to nie żart, to nasi chłopcy muszą zrobić oględziny samochodu.

– Policjanci o tym wiedzą – odparł Martinson. – Są w kontakcie z twoim biurem w Westchester.

Carlson odłożył słuchawkę.

– Powiedz nam, co się dzieje – nalegał Steve. – Mamy prawo wiedzieć.

– Potwierdzimy za kilka minut, czy informacja, którą otrzymał wielebny Romney jest prawdziwa. Jeżeli tak, bliźniaczki znajdują się całe i zdrowe, w zamkniętym samochodzie tuż przy poboczu autostrady Saw Mili River w pobliżu Elmsford. Radiowozy są w drodze na miejsce.

– Kobziarz dotrzymał słowa – szlochała Margaret. – Moje maleństwa wracają do domu. Moje maleństwa wracają! – Zarzuciła Steve’owi ręce na szyję. – Steve, one wracają!

– Margaret, to może być błąd – hamowała ją doktor Harris, ale jej pozorny spokój zaczynał się wyczerpywać. Raz po raz zaciskała dłonie.

– Bóg by nas tak nie doświadczył – powiedziała Margaret z przejęciem. Steve, niezdolny wykrztusić słowa, ukrył twarz w jej włosach.

Piętnaście minut minęło bez żadnych wiadomości. Carlson był przekonany, że stało się coś strasznego. Gdyby wszystko było w porządku albo gdyby informacja okazała się fałszywa, już byśmy wiedzieli, myślał. Ktoś zadzwonił do drzwi. To nie mogło oznaczać nic dobrego. Jeśli bliźniaczki były w aucie na parkingu, przywiezienie ich z Elmsford zajęłoby co najmniej czterdzieści minut.

Sądził, że podobne myśli kłębiły się w głowach Steve’a, Margaret i Sylwii Harris, kiedy podążali za nim do holu. Carlson otworzył drzwi. Na ganku stali wielebny Romney i Marty Martinson. Ksiądz podszedł do Margaret i Steve’a i głosem drżącym ze wzruszenia, powiedział:

– Bóg oddał wam jedną z dziewczynek, Kelly jest bezpieczna. Ale Kathy zabrał do siebie.

Wiadomość, że jedna z dziewczynek nie żyje, wywołała niemal żałobę narodową. Dziennikarze zdołali zrobić Kelly kilka zdjęć, kiedy zszokowani rodzice wynosili ją ze szpitala w Elmsford, gdzie została poddana badaniom kontrolnym. Fotografie ukazywały okrutną metamorfozę, jaką przeszła dziewczynka. Z zadbanego szczęśliwego dziecka, którym była jeszcze przed tygodniem, przeistoczyła się w przerażoną wielkooką istotkę o posiniaczonej buzi. Na wszystkich zdjęciach jedną rączką obejmowała za szyję Margaret, ale drugą wyciągała przed siebie, przebierając paluszkami, jakby próbowała chwycić kogoś niewidzialnego za rękę.

Policjant, który pierwszy dotarł do La Cantina, tak opisywał zastaną sytuację:

– Samochód był zamknięty. Zobaczyłem mężczyznę skulonego na siedzeniu kierowcy, z głową na kierownicy. Była tylko jedna dziewczynka. Leżała zwinięta w kłębek na podłodze z tyłu. W samochodzie było zimno. Mała miała na sobie tylko piżamkę i cała się trzęsała. Potem zauważyłem, że jest zakneblowana. Bardzo mocno. Cud, że się nie udusiła. Kiedy rozwiązałem knebel, zaczęła skomleć jak ranny szczeniak. Zdjąłem kurtkę i okryłem nią dziewczynkę. Zaniósłem do radiowozu, żeby się ogrzała. Po chwili nadszedły inne radiowozy. Znaleźliśmy ten list samobójczy na przednim siedzeniu. Frawleyowie odmówili komentarzy. Ksiądz Romney przeczytał ich oświadczenie dla mediów:

– Margaret i Steve pragną wyrazić swoją nieustającą wdzięczność za wszystkie wyrazy współczucia, jakie otrzymują. Teraz jednak potrzebują prywatności i spokoju, aby zająć się Kelly, która bardzo tęskni za siostrą, pocieszyć ją, a także uporać się z własnym żalem po śmierci Kathy.

Walter Carlson również wystąpił przed kamerami: – Człowiek, znany pod nazwiskiem Lucas Wohl, nie żyje, lecz żyje jego wspólnik lub wspólnicy. Będziemy ich ścigać i nie spoczniemy, póki nie zostaną oddani w ręce sprawiedliwości.

Robinson Geisler nie dostał szansy wygłoszenia tryumfalnej mowy, którą przygotował. Zamiast niej, łamiącym się głosem, wyraził swój ogromny żal po śmierci jednej z bliźniaczek, ale dodał również iż wierzy, że pomoc jego firmy przyczyniła się do bezpiecznego powrotu drugiej

dziewczynki.

W oddzielnym wywiadzie, członek rady nadzorczej Gregg Stanford odciął się od stanowiska swojego szefa.

– Być może powiedziano wam, że decyzja o zapłaceniu okupu była jednomyślna – oświadczył. – Jednakże mniejszość, do której się zaliczam, wyraziła stanowczy sprzeciw w tej kwestii. Jestem przekonany, że gdyby żądanie okupu zostało od razu odrzucone, porywacze znaleźliby się w bardzo trudnej sytuacji. Gdyby skrzywdzili dzieci, pogorszyliby tylko znacznie swoje rozpaczliwe położenie. W Connecticut wciąż istnieje kara śmierci. Natomiast gdyby uwolnili Kathy i Kelly, mogliby liczyć na łagodniejszy wyrok w przypadku zatrzymania. Firma C. F. G. & Y. podjęła decyzję, która w moim przekonaniu była błędna pod każdym względem, moralnym i logicznym. Teraz jako członek zarządu pragnę zapewnić każdego, kto myśli, że nasza firma jeszcze kiedykolwiek będzie pertraktować z przestępcami – słuchajcie bardzo uważnie: „To się nigdy nie powtórzy”.

– Panie Kobziarzu, Lucas nie żyje. Może popełnił samobójstwo, może nie. Co panu do tego? Powinien pan być raczej zadowolony. On pana znał. My nie. A tak między nami; nagrywał wasze rozmowy telefoniczne. Znalazłam kasety w schowku jego forda. Pewnie zamierzał pana przycisnąć o więcej szmalu.

– Czy druga bliźniaczka nie żyje?

– Żyje. Śpi. Ściśle rzecz biorąc: w moich ramionach. Niech pan już nie dzwoni. Jeszcze się obudzi. – Angie odłożyła telefon i pocałowała Kathy w policzek.

– Ma swoje siedem milionów, więc niech się odczepi – powiedziała do Clinta.

Była jedenasta. Oglądali telewizję. Wszystkie stacje nadawały reportaże z zakończenia sprawy Frawleyów. Jedną z bliźniaczek, Kelly, znaleziono żywą, z ciasnym kneblem na buzi. Podejrzewano, że druga, Kathy, nie mogła oddychać, jeśli ją zakneblowano w ten sam sposób. Zostało potwierdzone, iż Lucas Wohl odbył lot z lotniska w Danbury swoim samolotem w środę po południu. Wniósł do samochodu duże, wyglądające na ciężkie pudło. Po niedługim czasie wrócił z pustymi rękoma.

– W tym kartonowym pudle według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowały się zwłoki małej Kathy Frawley – spekulowali dziennikarze. – W swoim samobójczym liście Lucas Wohl wspomina, że pochował Kathy w morzu.

– Co z nią zrobimy? – spytał Clint. Zaczynał odczuwać wyczerpanie po nieprzespanej nocy i szoku spowodowanym widokiem Angie strzelającej do Lucasa. Jego nieforemne ciało rozlewało się bezwładnie w fotelu. Oczy, zawsze zapadnięte pod fałdami tłuszczu, teraz były podkrążonymi na czerwono szparkami.

– Zabierzemy ją na Florydę, kupimy łódź i popłyniemy we trójkę na Karaiby. Tak właśnie zrobimy. Ale teraz muszę iść do apteki. Nie powinnam była pakować nawilżacza powietrza do tego pudła, które dałam Lucasowi. Muszę kupić nowy. Ona znów ma problemy z oddychaniem.

– Angie, ona jest chora. Potrzebuje leków, doktora. Jeśli nam tu umrze i nas złapią...

– Nie umrze i przestań się martwić, że ktoś nas powiąże z Lucasem –

przerwała mu. – Nie popełniliśmy żadnego błędu. Kiedy mnie nie będzie, chcę, żebyś zabrał Kathy do łazienki i puścił gorącą wodę. Tak, żeby wszystko zaparowało. Niedługo wrócę. Wyjąłeś część pieniędzy, tak jak ci mówiłam, mam nadzieję?

Clint wyniósł torby z pieniędzmi na strych. Zostawił na wierzchu pięćset dolarów w używanych dwudziestodolarówkach. Na bieżące wydatki.

– Angie, jeśli będziesz płacić plikiem dwudziesto – albo pięćdziesięciodolarówek, ludzie zaczną zadawać pytania.

– Każdy bankomat w tym kraju wyrzuca banknoty dwudziestodolarowe – zniecierpliwiała się. – Byłoby dziwne, gdybym płaciła inaczej.

Wcisnęła mu półprzytomną Kathy.

– Rób, jak ci mówię. Włącz ten prysznic. Niech będzie cały czas owinięta kocem. Jeśli zadzwoni telefon, nie odbieraj! Obiecałam twojemu koleśowi od kielicha, że dziś się z nim wieczorem spotkasz w barze. Możesz do niego później zadzwonić. Nie chcę, żeby się zaczął zastanawiać, co to za dzieciak, którego pilnuję.

Oczy Angie błyszczały gniewem, a Clint nie był taki głupi, żeby się z nią teraz kłócić. Twarz tego dzieciaka jest na pierwszych stronach wszystkich gazet w tym kraju, myślał. Mała nie jest podobna do mnie ani Angie bardziej niż ja do Elvisa Presleya. Każdy zwróci na nas uwagę, jak tylko gdzieś się z nią pokażemy. Gliny już na pewno wiedzą, że prawdziwe nazwisko Lucasa to Jimmy Nelson i że odsiadywał wyrok w Attice. Zaraz zaczną sprawdzać kumpli spod celi i trafią na nazwisko Ralphie Hudson, które zaprowadzi ich pod te drzwi. A wtedy, żegnaj na zawsze, Clincie Downes.

Byłem idiotą, że wróciłem do Angie po tym, jak odsiedziała swoje w wariatkowie, myślał, niosąc Kathy do łazienki. Odkręcił prysznic. Omal nie zabiła matki tego dzieciaka, którym się opiekowała. Powinienem był wiedzieć, że ta psycholka nie może mieć do czynienia z dziećmi.

Opuścił klapę sedesu i usiadł na niej. Niezdarnie odpiął guzik przy szyi Kathy. Wciąż miała na sobie tę samą bluzeczkę z długimi rękawkami. Obrócił małą w stronę kabiny prysznicowej, by dziewczynka lepiej wdychała parę kłębiącą się w małej łazience.

Dzieciak zaczął mamrotać coś bez sensu. Czy to ten język bliźniaków, o którym mówiła Angie, zastanawiał się Clint.

– Tylko ja cię słucham, mała – powiedział. – Więc jeśli masz

cokolwiek do powiedzenia, mów wyraźnie.

Sylvia Harris zauważyła, że Steve i Margaret odpychają od siebie rozpacz po śmierci Kathy. W jakimś sensie odkładają żal na później, poświęcając całą uwagę Kelly, która od wyjścia ze szpitala nie odezwała się ani słowem. Badania nie wykazały śladów molestowania. Jedynymi obrażeniami były siniaki na buzi oraz czarne i niebieskie ślady po uszczyptnięciach.

Kiedy Kelly zobaczyła rodziców wchodzących do sali szpitalnej, odwróciła się od nich do ściany.

– Jest zła – wyjaśniła łagodnie doktor Harris. – Ale za parę godzin nie będzie was odstępować na krok.

Wrócili do domu o jedenastej. Przecisnęli się pospiesznie przez tłum reporterów. Margaret zniosła dziewczynkę na górę do sypialni i przebrała ją w piżamkę z Kopciuszkiem, starając się nie myśleć o drugiej identycznej, spoczywającej na dnie szuflady. Doktor Harris podała Kelly łagodny środek uspokajający. Była zmartwiona odrętwieniem dziewczynki.

– Potrzebuje snu – szepnęła do Steve'a i Margaret.

Steve ułożył córkę w łóżeczku, położył jej na piersiach pluszowego misia, a drugiego identycznego położył na pustej poduszce obok. Kelly otworzyła oczy. Przygarnęła misia Kathy i tuliła oba, kołysząc się w przód i w tył. Siedzący na brzegu łóżka Steve i Margaret zaczęli płakać. Widok łez płynących po ich policzkach był straszny dla doktor Harris.

Zeszła na dół. Agent Carlson przygotowywał się do wyjścia. Był wyczerpany.

– Mam nadzieję, że teraz pan trochę odpocznie.

– Tak. Położę się spać na osiem godzin. Inaczej nie będzie ze mnie żadnego pożytku dla nikogo. Ale potem wracam do pracy nad tą sprawą i obiecuję pani, pani doktor, że nie spocznę, póki Kobziarz i spółka nie trafią za kratki.

– Mogę coś podpowiedzieć? I – Oczywiście.

– Oprócz śladów po kneblu jedynymi fizycznymi urazami na ciele Kelly są siniaki, prawdopodobnie od uszczyptnięć. Jak pan się zapewne domyśla, w mojej pracy czasem mam do czynienia z maltretowanymi dziećmi. Szczypanie to metoda kobiet, mężczyźni raczej nie używają tej formy przemocy.

– Zgadzam się z panią. Naoczny świadek widział, jak dwóch mężczyzn uciekało z walizkami. Przypuszczamy, że gdy mężczyźni pojechali po pieniądze, dziećmi opiekowała się właśnie kobieta.

– Czy Lucas Wohl to Kobziarz?

– Raczej wątpię, ale opieram się wyłącznie na intuicji. – Carlson nie dodał, że z raportu z sekcji zwłok wynika, iż kąt, pod którym kula weszła w głowę Lucasa, raczej wyklucza samobójstwo. Niewielu ludzi strzela do siebie z góry. Zazwyczaj samobójcy przykładają broń bezpośrednio do czoła, ewentualnie z boku głowy lub też wkładają lufę w usta.

– Doktor Harris, jak długo pani zostanie?

– Co najmniej kilka dni. Miałam jechać do Rhode Island wygłosić odczyt, ale odwołałam go. Po porwaniu, dramatycznym pobycie u przestępców i stracie siostry Kelly jest w bardzo złym stanie psychicznym. Myślę, że moja obecność może pomóc zarówno małej, jak i jej rodzicom.

– A krewni Frawleyów?

– Matka i ciotka Margaret przyjeżdżają w przyszłym tygodniu. Margaret chyba nie chciała, żeby przyjeżdżały wcześniej. Jej matka płacze tak, że prawie nie może nic powiedzieć. Matka Steve’a nie może podróżować, a ojciec nie chce jej zostawić bez opieki. Szczerze mówiąc uważam, że Kelly powinna spędzać jak najwięcej czasu tylko z rodzicami. Przeżywa teraz głęboką traumę. Carlson skinął głową.

– Ironia losu polega na tym, że Lucas Wohl prawdopodobnie rzeczywiście nie zamierzał zabić Kathy. Na piżamce Kelly został niewyraźny zapach maści rozgrzewającej. Kelly nie jest chora. Ten, kto zajmował się dziewczynkami, mógł próbować leczyć przeziębioną Kathy. Ale nie należy zakładać knebla na buzię dziecku, które ma zablokowany nos, i spodziewać się, że będzie mogło oddychać. Oczywiście sprawdziliśmy natychmiast, czy Lucas Wohl leciał samolotem w środę po południu. Wszystko się zgadza. Widziano, jak wniósł na pokład kartonowe pudło. Wrócił bez niego.

– Prowadził pan kiedyś podobną sprawę?

– Raz. Porywacz zakopał dziewczynkę żywcem. Miała dość powietrza, żeby przeżyć do momentu, kiedy dostaliśmy wskazówki i znaleźliśmy ją. Niestety, dostała ataku paniki, doszło do hiperwentylacji. Nie przeżyła. Drań gnije w więzieniu od dwudziestu lat i przeniesie się stamtąd dopiero na cmentarz, ale to nie pomaga rodzinie tej dziewczynki.

– Potrząsnął głową w geście bezsilności i frustracji. – Pani doktor, z tego, co zauważyłem, Kelly to bardzo bystra trzylatka.

– Tak.

– Będziemy chcieli z nią porozmawiać, może poprosimy o pomoc dziecięcego psychologa. A tymczasem, czy mogłaby pani notować każde jej słowo, kiedy zacznie mówić? Wszystko, co mogłoby mieć związek z jej ostatnimi doświadczeniami.

– Oczywiście. – Szczery żal na twarzy agenta poruszył Sylvię Harris. – Wiem, że Margaret i Steve wierzą, iż zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, by ratować dziewczynki.

– Ale to nie wystarczyło.

Oboje odwrócili się, słysząc tupot. Steve zbiegał po schodach.

– Kelly zaczęła mówić przez sen – powiedział. – Wymieniła dwa imiona: Mona i Harry.

– Czy znacie kogoś o takich imionach? – dopytywał się Carlson, zapominając o zmęczeniu.

– Nie. Na pewno nie. Myślicie, że mówiła o porywaczach?

– Tak, tak myślę. Powiedziała coś jeszcze?

Oczy Steve'a wypełniły się łzami.

– Zaczęła mówić wymyślonym językiem, którym porozumiewały się z Kathy. Próbuje z nią rozmawiać.

Ambitny i skomplikowany plan śledzenia limuzyny Franklina Bailey'a z bezpiecznej odległości nie powiódł się. Federalni zostali przechytrzeni, mimo że w całym mieście roiło się od poprzebieranych agentów. Angus Sommers, szef brygady nowojorskiej, zdał sobie teraz sprawę, że kiedy wracał do Connecticut z Baileyem, pieniądze mogły być ledwie parę metrów od niego, w bagażniku limuzyny.

Lucas Wohl powiedział nam, że dwóch facetów uciekło nowym lexusem, rozmyślał niewesoło. Teraz wiemy, że uciekł tylko jeden, samochodem albo pieszo. Lucas był tym drugim. Świeże ślady błota w zazwyczaj nieskazitelnie czystym bagażniku limuzyny wskazywały, że przechowywano tam jakieś mokre i brudne przedmioty. Na przykład torby na śmieci wypchane pieniędzmi, myślał z goryczą Angus. Czy to Lucas był Kobziarzem? Angus sądził, że nie. Gdyby tak było, wiedziałby, że Kathy nie żyje. W liście samobójczym Lucas Wohl napisał, że wyrzucił ciało do oceanu. Z samolotu. Skoro zamierzał popełnić samobójstwo, po co miałby zawracać sobie tym głowę? Albo okupem? To nie miało najmniejszego sensu.

Możliwe, że Kobziarz, kimkolwiek był, nie wiedział nic o śmierci Kathy, kiedy dzwonił do księdza Romneya. Według zeznań księdza polecono mu zanieść rodzicom bliźniaczek radosną nowinę, iż dziewczynki są całe i zdrowe. Czyżby był to makabryczny żart sadysty? A może Kobziarz nie został poinformowany o śmierci Kathy? Czy rzeczywiście wydawał polecenia Baileyowi, tak jak twierdził były burmistrz? O tym właśnie Angus debatował z Tonym Realto w drodze do domu negocjatora późnym czwartkowym popołudniem.

Realto był zdania, że ich pośrednik jest niewinny.

– Jego rodzina mieszka w Connecticut od pokoleń. Ma nieskazitelną opinię. Moim zdaniem to jedna z niewielu osób, które są poza wszelkimi podejrzeniami.

– Być może – odparł Sommers, naciskając dzwonek u drzwi. Gospodyni Bailey'a, Sophie, tęga sześćdziesięciolatka, obejrzała odznaki i wpuściła agentów do środka. Sprawiała wrażenie bardzo zmartwionej.

– Czy byliście panowie umówieni? – spytała z wahaniem.

– Nie – odparł Realto. – Ale musimy się z nim zobaczyć.

– Nie wiem, czy pan Franklin będzie w stanie panów przyjąć. Znów

ma straszne bóle w klatce piersiowej, odkąd się dowiedział o udziale Lucasa Wohla w porwaniu i o jego samobójstwie. Błagałam go, żeby poszedł do lekarza, ale wziął tylko środek uspokajający i położył się. Zasnął kilka minut temu.

– Zaczekamy – oznajmił stanowczo Realto. – Proszę powiedzieć panu Baileyowi, że koniecznie musimy z nim porozmawiać.

Gospodarz zszedł na dół do biblioteki dwadzieścia minut później. Angus Sommers był zszokowany zmianami w jego wyglądzie. Wczoraj wieczorem wydawał się skrajnie wyczerpany. Dziś jego twarz była trupioblada, a spojrzenie nieobecne.

Sophie podążyła za nim ze szklanką herbaty. Usiadł i ujął szklankę trzęsącymi się dłońmi. Dopiero wtedy zwrócił się do agentów:

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że Lucas mógł się dopuścić czegoś tak potwornego.

– A jednak, panie Bailey – sucho odpowiedział Realto. – Naturalnie to sprawia, że musimy od nowa przeanalizować niektóre fakty. Powiedział pan, że wtrącił się w sprawę Frawleyów i zaoferował być pośrednikiem między rodziną a porwaczami ze względu na ciepłe uczucia, jakie żywi pan do Margaret Frawley.

Bailey wyprostował się na krześle i odstawił herbatę.

– Agencje Realto, słowo „wtrącił”, którego pan użył, sugeruje, iż moje zachowanie było w jakiś sposób niewłaściwe. Nie sędzę, by miał pan prawo insynuować coś takiego.

Realto przyglądał mu się w milczeniu.

– Tak jak już mówiłem agentowi Carlsonowi, po raz pierwszy spotkałem Margaret Frawley na poczcie. Zauważyłem, że jedna z bliźniaczek, Kelly, zbliża się do drzwi, a jej matka jest zajęta przy okienku. Złapałem dziewczynkę, zanim zdążyła wybiec na ulicę. Margaret była bardzo wdzięczna. Potem widywaliśmy się w kościele. Ona i Steve należą do tej samej parafii, co ja. Kilkakrotnie rozmawialiśmy.

Dowiedziałem się, że nie mają w okolicy nikogo bliskiego. Ja byłem tu burmistrzem przez dwadzieścia lat i jestem dobrze znany lokalnej społeczności. Dziwnym zbiegiem okoliczności czytałem ostatnio po raz kolejny historię porwania Lindbergha i miałem świeżo w pamięci, że profesor uniwersytetu Fordham zaofiarował się pośredniczyć w negocjacjach i to z nim się w końcu skontaktowali przestępcy.

Zadzwoił telefon agenta Realto. Zerknął na wyświetlacz i wyszedł na korytarz. Kiedy wrócił, w jego zachowaniu wobec gospodarza zaszła

wyraźna zmiana.

– Panie Bailey – spytał. – Czy to prawda, że około dziesięciu lat temu padł pan ofiarą oszustwa finansowego?

– Tak, to prawda.

– Ile pan wtedy stracił?

– Siedem milionów dolarów.

– Jak brzmi nazwisko człowieka, który pana oszukał?

– Richard Mason, najbardziej śliski typek, jakiego miałem nieszczęście spotkać.

– Czy wiedział pan, że Mason jest przyrodnim bratem Steve’a Frawleya?

Bailey wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Nie, nie wiedziałem. Skąd miałem wiedzieć?

– Panie Bailey, Richard Mason opuścił dom swojej matki we wtorek wieczorem. Pracuje jako tragarz na lotnisku, ale w środę nie stawiał się w pracy. Nie wrócił również do domu. Nadal twierdzi pan, że nie ma z nim kontaktu?

– Dzieciak jest nie do poznania. Wygląda jak chłopczyk – powie działa radośnie Angie, podziwiając efekty swoich zabiegów fryzjerskich. Dziewczynka miała teraz krótkie, kasztanowobrazowe włosy, tego samego koloru, co Angie. Przedtem były jasne i sięgały do ramion.

Rzeczywiście, wygląda inaczej, przyznał w duchu Clint. Będzie można mówić ludziom, że to chłopak.

– Mam też dla niej śliczne nowe imię – dodała Angie. – Będziemy nazywać ją Stephen. Po ojcu, kapujesz? Podoba ci się twoje nowe imię, Stevie? Co?

– Angie, to głupota. Musimy się pakować i wynosić jak najdalej stąd.

– Nie, nie musimy. To najgorsze, co moglibyśmy teraz zrobić.

Najpierw powinieneś napisać do tego nowego kierownika klubu, że dostałeś posadę na Florydzie i składasz wypowiedzenie. Zaczną coś podejrzewać, jeśli tak po prostu znikniesz.

– Angie, ja wiem, jak kombinują federalni. Teraz próbują wykapować, z kim kontaktował się Lucas. Nasz numer może być w jego notatniku.

– Nie wciskaj mi tu kitu. Nigdy do ciebie nie dzwonił i tobie też nie pozwalał, nawet kiedy przygotowywaliście się do tych swoich „robótek”. Obaj mieliście wyłącznie telefony na karty.

– Angie, jeśli którekolwiek z nas zostawiło choć jeden odcisk palca w tym samochodzie, znajdą nasze nazwiska w bazie danych.

– Miałeś rękawiczki, jak kradłeś toyotę i kiedy odprowadzałeś samochód Lucasa pod jego mieszkanie. A nawet jeśli coś znajdą, nas już tu dawno nie będzie. Od dobrych piętnastu lat nazywasz się Clint Downes. Więc przestań, przestań, przestań!

Kathy, która już prawie zasypiała, zerwała się na równe nogi, słysząc podniesiony głos kobiety. Nastrój Angie zmienił się raptownie.

– Przysięgam, że ta mała coraz bardziej upodabnia się do mnie, Clint. I nie dusi się już tak bardzo. Inhalacje działają. Nawilżacz powietrza będzie chodził całą noc, na wszelki wypadek. Zjadła też trochę płatków, więc powinna nabrać sił.

– Angie, ona potrzebuje prawdziwych lekarstw.

– Zajmę się tym, jeśli będzie trzeba. – Angie nie widziała powodu, żeby mu tłumaczyć, że znalazła w łazience kilka kapsułek penicyliny i lekarstwo na kaszel. Zostały z zeszłego roku, kiedy Clint miał to paskudne

zapalenie oskrzeli. Zaczęła już podawać małej lekarstwo na kaszel. Jeśli to nie zadziała, myślała, otworzę i rozcięczę kapsułki. Penicylina jest dobra na wszystko.

– Po cholere powiedziałas Gusowi, że dziś się z nim spotkam? Jestem wypluty. Nie chce mi się wychodzić.

– Musisz iść, bo ten wrzód na tyłku koniecznie chce zanudzić kogoś na śmierć. Tylko tak się go pozbędziesz. Możesz mu nawet powiedzieć, że zmieniasz robotę. Tylko żebyś się nie schlał jak świnia i nie zaczął rozpaczać po swoim przyjacielu Lucasie.

Kathy odwróciła się i podreptała do sypialni. Angie poszła za nią. Patrzyła, jak mała wyciąga z łóżeczka kocyk, owija się nim i kładzie na podłodze.

– Słuchaj, dziecko, jeśli jesteś śpiąca, to kładź się do łóżeczka – zaproponowała Angie. Podniosła niestawiającą oporu dziewczynkę i zaczęła kołysać.

– Stevie kocha mamusię? Kocha?

Kathy zamknęła oczy i odwróciła główkę.

– Jestem dla ciebie taka miła, a ty mnie olewasz. Mam tego serdecznie dosyć. I nie waż mi się zaczynać tego swojego bełkotu.

Podskoczyła, słysząc niespodziewany dźwięk dzwonka do drzwi. Clint miał rację. Federalni dotarli do nas przez Lucasa, pomyślała sparalizowana strachem. Usłyszała ciężkie powolne kroki Clinta, a potem skrzywienie otwieranych drzwi.

– Cześć, stary. Pomyślałem, że wpadnę po ciebie. Nie będziesz musiał prowadzić. Przekaż Angie, że przysięgam nie pić dziś więcej niż dwa piwa – rozległ się donośny głos Gusa, hydraulika.

On coś podejrzewa, wściekała się Angie. Słyszał głosy dwójki płaczących dzieci i teraz węszy. Podjęła błyskawiczną decyzję; owinęła Kathy kocem tak, że było widać tylko jej krótkie brązowe włosy, po czym weszła do salonu.

– Cześć, Gus.

– Angie! Cześć. To ten dzieciak, którego pilnujesz?

– Tak, to jest Stevie. To jego słyszałeś wczoraj przez telefon. Rodzice Stephena pojechali na pogrzeb do Wisconsin. Jutro wracają. Ubóstwiam tego małego dżentelmena, ale chętnie bym się zdrzemnęła.

Pod kocem mocno przytrzymała główkę Kathy. Nie chciała, żeby dziewczynka odwróciła się, pokazując Gusowi twarz.

– Na razie, Angie – powiedział Clint, prowadząc Gusa do drzwi

wyjściowych.

Angie zobaczyła półciężarówkę Gusa zaparkowaną przed domem. Najwyraźniej wjechał przez tylną bramę, a to znaczyło, że zna kod i może tu wpadać, kiedy mu się żywnie spodoba.

– Cześć, miłego wieczoru – powiedziała, zamykając za nimi drzwi.

Patrzyła z okna na odjeżdżającą ciężarówkę. Pogładziła Kathy po włosach.

– Laleczko, ty, ja i nasze pieniądze zmywamy się stąd natychmiast. Tatuś Clint w tym jednym miał rację. Tutaj nie jest już bezpiecznie.

O siódmej ksiądz Romney zadzwonił do drzwi Frawleyów. Steve i Margaret otworzyli razem.

– Dziękujemy, że ksiądz zechciał przyjść – powiedziała Margaret.

– Cieszę się, że mnie o to poprosiłaś, Margaret.

Poszedł za nimi do salonu. Steve i Margaret usiedli na kanapie, blisko siebie. Ksiądz Romney zajął miejsce na najbliższym fotelu – Jak się czuje Kelly? – spytał.

– Doktor Harris dała jej środek uspokajający, więc przespała większość dnia – odparł Steve.

– Kiedy się budzi, próbuje rozmawiać z Kathy – powiedziała Margaret. – Nie może się pogodzić, że Kathy nie wróci już do domu. Ja też nie potrafię się z tym pogodzić.

– Nie ma większego nieszczęścia niż strata dziecka – westchnął wielebny Romney. – Nie ma znaczenia czy to noworodek, przedszkolak, młodzieniec, czy potomek, który sam jest już emerytem. Nie ma większego bólu.

– Mój problem – powiedziała wolno Margaret – polega na tym, że nie mogę uwierzyć w odejście Kathy. Nie jestem w stanie przyjąć tego do wiadomości. Nadal łudzę się myślą, że wejdzie tu za chwilę, o krok za Kelly. Kelly jest bardziej przebojowa z nich dwóch. Kathy jest odrobinę nieśmiała. – Popatrzyła na Steve'a, potem na księdza. – Kiedy miałam piętnaście lat, złamałam kostkę, jeżdżąc na łyżwach. To było paskudne złamanie, wymagało poważnej operacji. Pamiętam, że po wybudzeniu się z narkozy czułam tylko stłumiony ból i pomyślałam, że rekonwalescencja nie będzie taka straszna. Potem blokada przestała działać i zmieniłam zdanie. Teraz pewnie będzie podobnie. Na razie jeszcze działa blokada.

Ksiądz Romney czekał, przeczuwając, że Margaret chce go o coś poprosić. Wygląda tak młodo, tak bezbronne, myślał. Pewna siebie uśmiechnięta młoda mama, która opowiadała z dumą o rezygnacji z kariery prawniczej na rzecz pełniejszego przeżywania macierzyństwa, była teraz cieniem siebie samej. Z pięknych granatowych oczu wyzierała panika i rozpacz. Obok żony siedział Steve ze zmierzwionymi włosami i oczami zapuchniętymi ze zmęczenia. Potrząsał głową, jakby usiłując zaprzeczyć temu, co się stało.

– Wiem, że powinniśmy zamówić mszę – powiedziała Margaret. –

Moja mama i siostra przyjeżdżają w przyszłym tygodniu. Ojciec Steve'a wynajął pielęgniarkę dla jego mamy, więc sam też przyjedzie. Wielu, wielu przyjaciół napisało do nas, że pragnęliby tu być z nami. Ale zanim zamówimy mszę dla ludzi, chciałabym, żeby ksiądz odprawił w intencji Kathy bardzo kameralną mszę, na której będziemy tylko ja, Kelly, Steve i doktor Harris. Czy to możliwe?

– Oczywiście. Mogę ją odprawić jutro rano, przed albo po codziennej. To znaczy przed siódmą albo po dziewiątej.

– To się chyba nazywa Msza Aniołków, kiedy chodzi o takie maleństwo?

– To świecki termin, określający mszę w intencji niewinnego dziecka. Wszedł do mowy potocznej. Wybiorę odpowiednie cytaty.

– Kochanie, może po dziewiątej – zasugerował Steve. – Nie zaszkodzi, jeśli oboje weźmiemy dziś pigułki nasenne.

– Spać, ale nie śnić – powiedziała Margaret znużonym głosem.

Ksiądz Romney wstał i pobłogosławił oboje, kładąc dłonie na ich głowach.

– O dziesiątej w kościele – powiedział.

Patrząc na ich zmienione bólem twarze, przypomniał sobie słowa psalmu „De Profundis”:

Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, O Panie, słuchaj głosu mego!

Nakłoń swoich uszu

Ku głośnemu błaganiu mojemu!

Norman Bond nie był zaskoczony, kiedy agenci FBI zjawili się jego biurze w piątek rano. Wiedział, że zostali poinformowani, iż zrezygnował z kandydatur trzech świetnie wykwalifikowanych pracowników C. F. G. &Y. na korzyść Frawleya. Poza tym sposób działania przestępcy wskazywał na kogoś z zaawansowaną znajomością procedur finansowych, kto wiedział, że niektóre zagraniczne banki za opłatą przyjmują i przekazują pieniądze z nielegalnych źródeł.

Zanim wydał sekretarce polecenie, by wpuściła agentów, popędził do łazienki i przejrzał się w dużym lustrze wiszącym na drzwiach. Pierwsze pieniądze, które zarobił w C. F. G. &Y. dwadzieścia pięć lat temu, wydał na kosztowny zabieg laserowy. Pozbył się dzięki niemu blizn po trądziku. Zakończył w ten sposób koszmar młodości. Nie pozbył się jednak kompleksów. W swojej wyobraźni wciąż był pryszczatym nieudacznikiem w grubych rogowych okularach korygujących zez, chociaż teraz wadę wzroku wyrównywały soczewki kontaktowe, a jasnoblękitne oczy patrzyły prosto i przenikliwie. Cieszył się, że wciąż ma gęste i mocne włosy, ale nie był pewien, czy dobrze robi, nie farbując ich. Jak cała reszta rodziny ze strony matki przedwcześnie osiwił i w wieku czterdziestu ośmiu lat miał już włosy nawet nie popielate, ale śnieżnobiałe.

Stać go było teraz na klasyczne garnitury zamiast ciuchów z lumpeksu, które nosił w dzieciństwie, ale i tak wciąż musiał sprawdzać w lustrze, czy nie ma plam na kołnierzyku albo krawacie. Nigdy nie zapomniał pierwszego dnia pracy w firmie; na oficjalnym obiedzie w obecności szefa użył widelca sałatkowego do otwarcia ostrygi. Skorupiak wymknął się spod kontroli i wylądował na garniturze Bonda, rozbryzgując po drodze dressing. Tego samego wieczoru, wciąż płonąć ze wstydu, kupił poradnik savoir faire oraz kompletną zastawę stołową. Spędził wiele dni, ucząc się w samotności prawidłowo nakrywać do stołu i używać właściwych sztuczków do właściwych potraw.

Widok w lustrze przekonał go wreszcie, że wygląda odpowiednio: dość regularne rysy, dobra fryzura, śnieżnobiała koszula, błękitny krawat, żadnej biżuterii. Przypomniawszy sobie, jak rzucił swoją ślubną obrączkę na tory, pod koła nadjeżdżającego pociągu. Po tylu latach wciąż nie był pewien, czy zrobił to pod wpływem smutku czy złości. Teraz to już nie miało znaczenia.

Podszedł do biurka i poprosił sekretarkę przez interkom, żeby wpuściła przybyłych. Angusa Sommersa spotkał już w środę. Dziś towarzyszyła mu kobieta, szczupła trzydziestolatka, którą przedstawił jako agentkę Ruthanne Scaturro. Inni agenci grasowali po budynku, zadając wszystkim masę pytań.

Norman Bond przywitał gości skinieniem głowy. Wykonał grzecznościowy gest, jakby zamierzał wstać, ale szybko z powrotem opadł na fotel. Jego twarz była nieprzenikniona.

– Panie Bond – zaczął Sommers. – Wasz dyrektor finansowy, Gregg Stanford, złożył wczoraj dobitne oświadczenie dla prasy. Zgadza się pan z nim?

Bond podniósł jedną brew. Długo uczył się tej sztuczki.

– Jak pan zapewne wie, agencje Sommers, decyzja rady nadzorczej w sprawie zapłacenia okupu była jednomyślna. W przeciwieństwie do mego czcigodnego kolegi, poparłem ją z pełnym przekonaniem. To straszna tragedia, że jedno z dzieci nie przeżyło, ale być może dzięki naszej pomocy przeżyło drugie. Czy list samobójczy znaleziony w samochodzie nie świadczy o tym, że śmierć dziewczynki była przypadkowa?

– Tak. A zatem nie popiera pan stanowiska pana Stanforda?

– Nigdy nie popieram stanowiska Gregga Stanforda. Ujmę to w ten sposób: został dyrektorem finansowym tylko dlatego, że jego żona jest właścicielką dziesięciu procent akcji firmy. Wie, że nikt się z nim nie liczy. Nabrał żalostnego przekonania, że poprzez krytykowanie każdego poglądu naszego przewodniczącego, Roberta Geislera, zyska sobie sprzymierzeńców. Ma chrapkę na fotel prezesa. Powiem więcej, zrobiłby wszystko, aby go dostać. W sprawie okupu wykorzystał po prostu okazję, żeby powiedzieć: „a nie mówiłem?”.

– Pana nie interesuje fotel prezesa, panie Bond? – spytała agentka Scaturro.

– We właściwym czasie, mam nadzieję, moja kandydatura zostanie wzięta pod uwagę. Jednak dzisiaj, po nieprzyjemnych wydarzeniach zeszłego roku i ogromnej grzywnie, którą przyszło nam wtedy zapłacić, uważam, że będzie dużo lepiej, jeśli obecna rada nadzorcza zaprezentuje naszym udziałowcom jednolite poglądy. Moim zdaniem Gregg Stanford zaszkodził firmie, publicznie atakując pana Geislera.

– Zmieńmy teraz temat, panie Bond – zaproponował Angus Sommers.

– Dlaczego zatrudnił pan Steve’a Frawleya?

– Zdaje się, że rozmawialiśmy już o tym dwa dni temu, panie Sommers

– odparł Bond, umyślnie nadając głosowi ton zniecierpliwienia.

– Porozmawiajmy raz jeszcze. W firmie jest trzech, delikatnie mówiąc, rozczarowanych pracowników, którzy twierdzą, że nie miał pan ani potrzeby, ani prawa szukać poza C. F. G. &Y kandydata na stanowisko, które zaproponował pan Steve’owi Frawleyowi.

– Proszę pozwolić, że wyjaśnię, na czym polega polityka korporacyjna, panie Sommers. Trzech pracowników, o których pan wspomniał, tak naprawdę chce mojego stanowiska. To protegowani poprzedniego prezesa rady nadzorczej. Byli i są lojalni wobec niego. Dosyć dobrze znam się na ludziach i uważam, że Steve Frawley jest bardzo, bardzo bystry. Uzyskał dyplom MBA i tytuł magistra prawa, ma także inteligencję oraz osobowość. To wszystko, czego wymaga świat biznesu. Długo rozmawialiśmy o tej firmie, o naszych zeszłorocznych problemach, o przyszłości i spodobało mi się to, co usłyszałem. Sprawia wrażenie człowieka uczciwego i kierującego się etyką, a to rzadkość w dzisiejszych czasach. Ale najważniejsze, że wiem, iż będzie wobec mnie lojalny. – Norman Bond pochylił się do tyłu w fotelu, składając dłonie w piramidkę. – A teraz jeśli państwo pozwolą, mam za chwilę zebranie.

Ani Sommers, ani Scaturro nie mieli zamiaru wstawać.

– Jeszcze chwilkę, panie Bond – powiedział Sommers. – Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, nie wspominał pan, że przez jakiś czas mieszkał pan w Ridgefield.

– Mieszkałem w wielu miejscach, odkąd tu pracuję. W Ridgefield miałem dom dwadzieścia lat temu, kiedy byłem żonaty.

– Czy pańska żona nie urodziła bliźniaków? Dwóch chłopców, którzy zmarli zaraz po urodzeniu?

– Tak. – Oczy Bonda były bez wyrazu.

– Bardzo pan kochał żonę, prawda? Ale odeszła wkrótce po porodzie.

– Przeprowadziła się do Kalifornii. Chciała zacząć wszystko od nowa. Żaloba przekreśla tyle samo związków, ile umacnia, panie Sommers.

– Po tym, jak odeszła, przeżył pan coś w rodzaju załamania nerwowego. Zgadza się, panie Bond?

– Żaloba często powoduje depresję, agencie Sommers. Wiedziałem, że potrzebuję pomocy, więc jej poszukałem. Dziś grupy wsparcia nie są niczym niezwykłym. Dwadzieścia lat temu było inaczej.

– Czy utrzymywał pan kontakt z byłą żoną?

– Szybko wyszła powtórnie za mąż. Było lepiej dla nas obojga, aby definitywnie zamknąć ten rozdział.

– Ale, niestety, jej rozdział nie został zamknięty, prawda? Pańska była żona zaginęła kilka lat po powtórny zamążpójściu.

– Wiem.

– Czy był pan przesłuchiwany w związku z jej zniknięciem?

– Pytano mnie, czy wiadomo mi coś na temat jej miejsca pobytu. Tak samo jak jej rodziców, rodzeństwo i przyjaciół. Oczywiście nic nie wiedziałem. Dorzuciłem się nawet do puli pieniędzy przeznaczonych na nagrodę dla każdego, kto udzieliłby jakichkolwiek informacji, mogących pomóc w jej odnalezieniu.

– Ta nagroda nigdy nie została wypłacona.

– Zgadza się.

– Panie Bond, kiedy poznał pan Steve'a Frawleya, czy zobaczył pan w nim samego siebie sprzed lat? Młodego, bystrego, ambitnego mężczyznę z atrakcyjną, inteligentną żoną i pięknymi dziećmi.

– Panie Sommers, pana pytania są irracjonalne. Jeśli dobrze rozumiem, a myślę, że tak jest, insynuuje pan, że mogłem mieć coś wspólnego ze zniknięciem mojej nieżyjącej żony, a także z porwaniem bliźniaczek Frawleyów. Jak pan śmie obrażać mnie w ten sposób?! Proszę opuścić moje biuro.

– Pańska nieżyjąca żona, panie Bond? Skąd pan wie, że ona nie żyje?

– Zawsze wszystko planuję, słonko – mówiła Angie, bardziej do siebie niż do Kathy. Dziewczynka leżała na motelowym łóżku. – Lubię być przygotowana. Tym się różnię od Clinty.

Angie była z siebie bardzo zadowolona. Poprzedniej nocy, godzinę po wyjściu Clinty i Gusa do pubu, spakowała się, wrzuciła pieniądze do walizek, zabrała pośpiesznie trochę ubrań, komórki Clinty i Lucasa, taśmy z nagranyymi rozmowami Lucasa z Kobziarzem i prawo jazdy ukradzione kobiecie, której dziecka pilnowała w zeszłym roku. Po zastanowieniu napisała jeszcze krótki list: „Nie martw się. Zadzwoń rano. Poszłam pilnować dziecka”. Chwyciła Kathy na rękę i zaniósła do samochodu. Ruszyły w drogę furgonetką Clinty.

Jechały bez przerwy przez trzy i pół godziny, prosto do Hyannis na Cape Cod. Angie była tam wiele lat temu z facetem. Tak jej się wtedy to miasteczko spodobało, że została na cały sezon. Znalazła pracę na przystani.

– Zawsze miałam przygotowany plan ucieczki, na wypadek gdyby Clinty zapuszkowali – powiedziała ze śmiechem do Kathy. Dziewczynka zasnęła. Angie podeszła do niej i szarpnęła małą ze złością.

– Słuchaj, kiedy do ciebie mówię. Może się czegoś nauczysz. Kathy nie otworzyła oczu.

– Może dałam ci za dużo tego lekarstwa na kaszel – zaniepokoiła się Angie. – Clint robił się po nim senny. Ciebie mogło naprawdę zwalić z nóg.

Podeszła do stołu. W dzbanku zostało jeszcze trochę kawy. Była głodna. Przydałoby mi się porządne śniadanie, pomyślała, ale nie wyjdę przecież z półprzytomnym dzieciakiem. Nawet nie mam dla niej kurtki. Może po prostu zamknę ją w pokoju i pójdę sobie coś kupić. Potem skombinuję jakieś dziecięce ciuszki. Zostawię walizki pod łóżkiem, a na drzwiach powieszę kartkę NIE PRZESZKADZAC. Dam małej jeszcze trochę tego lekarstwa, żeby mieć pewność, że się nie obudzi.

Dobry nastrój Angie gdzieś się ulotnił. Zawsze się irytowała, kiedy była głodna. Zameldowały się w motelu kilka minut po północy. Ledwie wtedy widziała na oczy. Od razu się położyła i zasnęła. Przed świtem obudził ją płacz i kaszel Kathy.

Właściwie już potem nie zasnęłam, myślała Angie. Tylko zdrzemnęłam

się kilka razy. Dlatego jestem teraz półprzytomna. Całe szczęście, że mam to prawo jazdy, od tej chwili będę oficjalnie znana w okolicy jako Linda Hagen.

W zeszłym roku pilnowała dziecka pani Hagen. Któregoś dnia kobieta wróciła do domu bardzo zdenerwowana, bo myślała, że zostawiła portfel w restauracji. Następnym razem, kiedy Angie przyszła zająć się dzieckiem, musiała skorzystać z rodzinnego samochodu, żeby zawieźć malca na przyjęcie urodzinowe kolegi. Wtedy zauważyła portfel, który wpadł między siedzenia. Znalazła w nim dwieście dolarów gotówką i, co najważniejsze, prawo jazdy. Pani Hagen oczywiście unieważniła karty kredytowe, ale prawo jazdy się przydało.

Obie mamy taki sam owal twarzy i włosy, uznała Angie. Pani Hagen nosi zdjęciu nosi okulary. Jeśli mnie zatrzymają, założę przeciwsłoneczne. Trzeba by się przyjrzeć naprawdę bardzo dokładnie, żeby się zorientować, że to nie moje zdjęcie. W każdym razie zameldowałam się pod nazwiskiem Lindy Hagen. O ile federalni nie zaczną podejrzewać Clint'a i szukać jego furgonetki, wszystko powinno być na razie w porządku. Ponadto prawo jazdy wystarczy, żeby w razie czego wejść na pokład samolotu.

Nawet jeśli aresztują Clint'a, ten prawdopodobnie zezna, że Angie z Kathy są w drodze na Florydę. Tam właśnie mieli jechać. Wiedziała jednak, że musi czym prędzej pozbyć się furgonetki i kupić jakiś używany samochód.

Wtedy będę sobie mogła jechać, gdzie mi się tylko spodoba i nikt mnie nie znajdzie, myślała. Zostawię furgonetkę w jakimś rowie. Nie dotrą do niej bez tablic rejestracyjnych.

Co jakiś czas będę się kontaktować z Clintem. Kiedy już się upewnię, że wokół niego nie węszą, może mu powiem, gdzie jestem, żeby mógł do nas przyjechać. Albo i nie powiem. Na razie nie ma zielonego pojęcia i niech tak zostanie. Napisałam, że zadzwonię rano, więc chyba lepiej będzie, jeśli dotrzymam słowa. Wzięła jeden z telefonów na kartę i wybrała numer Clint'a. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Gdzie ty jesteś? – spytał ostro.

– Clint, kochanie, tak było najrozsądniej. Musiałam szybko wyjechać. Mam pieniądze, nie martw się. Sam pomyśl, co by było, gdyby federalni cię namierzyli i zastali mnie z dzieciakiem u ciebie w domu? A gdyby jeszcze znaleźli kasę? Posłuchaj, przede wszystkim pozbądź się łóżeczka. Powiedziałeś Gusowi, że składasz wymówienie w klubie?

– Tak. Tak. Powiedziałem, że zaproponowali mi pracę w Orlando.

– Dobrze. Złóż dzisiaj wypowiedzenie. Jeśli twój wścibski koleś znów wpadnie, powiedz mu, że matka dzieciaka, którym się opiekuję, kazała mi go zawieźć do Wisconsin. Powiedz, że dziadek małego umarł i ona musi tam zostać. Pomóc swojej matce. Powiedz, że umówiliśmy się na miejscu, spotykamy się na Florydzie.

– Nie drażnij mnie, Angie. Nie kombinuj.

– Nic nie kombinuję. Jeśli gliny zaczną cię sprawdzać, nic nie znajdą. Mówiłam Gusowi w środę wieczorem, że pojechałeś do Yonkers po nowy samochód. Powiedz mu, że sprzedałeś furgonetkę i idź wypożyczyć sobie jakiś samochód na teraz.

– Nie zostawiłaś mi ani grosza – odpowiedział z wyrzutem. Zabrałaś nawet te pięć stów, które zostawiłem na szafce.

– Mogą być trefne. Chciałam cię chronić. Korzystaj z kart kredytowych. To i tak nie ma znaczenia. Za jakieś dwa tygodnie znikniemy z powierzchni ziemi. Jestem głodna, muszę kończyć. Pa.

Angie zatrasnęła klapkę telefonu, podeszła do łóżka i popatrzyła na Kathy. Śpi czy tylko udaje, zastanawiała się. Robi się tak samo nieznośna jak ta druga, myślała. Nieważne, jak jestem miła, ona mnie ignoruje.

Lekarstwo na kaszel stało przy łóżku. Odkręciła buteleczkę i nałapała trochę syropu na łyżeczkę. Pochyliła się nad Kathy i siłą wlała płyn w zaciśnięte usta dziewczynki.

– Teraz połknij – rozkazała.

Przez sen, odruchowo, Kathy przełknęła większość syropu. Kilka kropli dostało się do tchawicy, dziewczynka rozkaszała się i zaczęła płakać. Angie popchnęła ją z powrotem na poduszki.

– Och, zamknij się, na litość boską – warknęła przez zaciśnięte zęby.

Kathy zamknęła oczy i odwróciła się nakrywając głowę kocem. Starła się powstrzymać łzy. Oczyma wyobraźni widziała Kelly siedzącą w kościele obok mamusi i tatusia. Nie odważyła się mówić głośno, poruszała tylko ustami, kiedy Angie przywiązywała ją do łóżka.

W kościele Świętej Marii w Ridgefield Margaret i Steve trzymali Kelly za ręce, klęcząc w pierwszej ławce. Obok nich klęczała doktor Sylvia Harris, z trudem powstrzymując łzy, kiedy słuchała słów modlitwy wygłaszanej przez księdza Romneya:

Panie Boże, przed którym ludzki smutek się nie ukryje, Ty, który znasz ciężar rozpacz, Jaką czujemy po stracie dziecka, Kiedy oplakujemy jego odejście z tego świata, Ukój nasze dusze wiedząc, Że Kathryn Ann żyje

teraz w Twoich kochających objęciach.

Kelly potrząsnęła ręką Margaret.

– Mamusiu – odezwała się czystym dźwięcznym głosem po raz pierwszy od powrotu. – Kathy bardzo się boi tej pani. Płacze za tobą. Chce, żebyście ją też zabrali do domu. I to już!

Agent specjalny Chris Smith, szef biura w Karolinie Północnej, wystąpił z prośbą o krótkie spotkanie do rodziców Steve'a Frawleya którzy mieszkali w Winston-Salem.

Ojciec Frawleya, Tom, emerytowany wielce zasłużony kapitan straży pożarnej, nie był zachwycony, – Dowiedzieliśmy się wczoraj, że jedna z naszych wnuczek nie żyje żona miała operację kolana trzy tygodnie temu i wciąż bardzo cierpi. Po co chcecie się z nami widzieć?

– Musimy porozmawiać o starszym synu pani Frawley, pana pasierbie, Richiem Masonie – wyjaśnił Smith.

– Och, na litość boską, mogłem się tego spodziewać. Proszę przyjść koło jedenastej.

Smithowi, pięćdziesięciodwuletniemu Afroamerykaninowi, towarzyszyła Carla Rogers, dwudziestosześcioletka, która niedawno dołączyła do zespołu. Oboje powitał widok małej wystawy zdjęć bliźniaczek na ścianie naprzeciwko drzwi wejściowych. Śliczne dziewczynki, pomyślał Smith. Jaka szkoda, że nie udało nam się odnaleźć obu. Na zaproszenie Frawleya podążyli za nim do przytulnego, połączonego z kuchnią salonu. Grace Frawley siedziała w ogromnym skórzanym fotelu. Nogi trzymała w górze, na otomanie. Smith podszedł do kobiety.

– Pani Frawley, bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, że straciła pani wnuczkę i jest świeżo po operacji. Obiecuję, że nie zabiorę pani dużo czasu. Nasze biuro w Connecticut przysłało nas tu, abyśmy zadali państwu kilka pytań na temat pani syna, Richie Masona.

– Siadajcie, proszę. – Tom Frawley wskazał im kanapę, a sam przysunął sobie fotel i usiadł obok żony. – W jakie kłopoty wpakował się tym razem Richie?

– Panie Frawley, nie powiedziałem, że Richie ma kłopoty. Nic mi o tym nie wiadomo. Chcieliśmy z nim porozmawiać, ale nie stawił się do pracy na lotnisku w Newark w środę wieczorem, a sąsiedzi twierdzili, że nie widzieli go od zeszłego tygodnia.

Grace Frawley miała podpuchnięte oczy. Wciąż ocierała łzy płócienną chusteczką, którą trzymała cały czas w ręku i próbowała powstrzymać drżenie ust.

– Powiedział nam, że wraca do pracy – odezwała się nerwowo. Trzy

tygodnie temu miałam operację, dlatego Richie przyjechał mnie odwiedzić w weekend. Czy mogło mu się coś stać? Może miał wypadek po drodze od nas, skoro nie zjawił się z powrotem w pracy.

– Grace, zjeżdż na ziemię – delikatnie zwrócił jej uwagę mąż. – Richie nie znosił tej pracy. Mówił, że jest o wiele za dobry, żeby nosić toboły. Nie zdziwiłbym się, gdyby pod wpływem chwili postanowił pojechać do Vegas albo coś w tym stylu. Nieraz już tak robił. Nic mu nie jest, kochanie. Masz dość zmartwień, o niego na pewno nie musisz się bać.

Tom Frawley starał się mówić łagodnie i pocieszająco, ale Chris Smith wyczuł w jego głosie nutkę irytacji i był pewien, że Carla Rogers też zwróciła na to uwagę. Z tego co wyczytał w aktach Richiego Masona, chłopak był wieczną udreką dla swojej matki. Nie skończył szkoły, jako nieletni miał wieczne kłopoty z policją, a potem spędził pięć lat w więzieniu za oszustwo, które kosztowało kilkunastu inwestorów, w tym Franklina Bailey, fortunę.

Grace Frawley wyglądała na przygnębioną i wyczerpaną wielkim bólem fizycznym i emocjonalnym. Miała około sześćdziesiątki, jak oceniał Smith, i wciąż była smukła i atrakcyjna, czemu nie przeszkadzały siwe włosy. Tom Frawley, potężnie zbudowany mężczyzna, prawdopodobnie był kilka lat starszy od żony.

– Pani Frawley, miała pani operację trzy tygodnie temu. Czemu Richie czekał tyle czasu, by panią odwiedzić?

– Przez dwa tygodnie byłam w klinice rehabilitacyjnej.

– Rozumiem. Kiedy Richie tu dotarł i kiedy odjechał? – pytał Smith.

– Przyjechał o trzeciej rano w zeszłą sobotę. Skończył pracę na lotnisku o trzeciej po południu i spodziewaliśmy się go przed północą – odpowiedział za żonę Tom Frawley. – Ale potem zadzwonił, że utknął w strasznym korku i powinniśmy iść spać, zostawiając dla niego otwarte drzwi. Mam lekki sen, więc słyszałem, jak wchodził. Wyjechał koło dziesiątej rano we wtorek, zaraz potem jak wszyscy razem obejrzelśmy w telewizji Steve’a i Margaret.

– Czy dużo telefonował lub odbierał dużo telefonów?

– Nie korzystał z naszego telefonu. Ale ma komórkę. Używał jej kilka razy. Nie wiem dokładnie ile.

– Czy Richie często was odwiedzał, pani Frawley? – spytała Carla Rogers.

– Wpadł zobaczyć się z nami, kiedy odwiedzaliśmy Steve’a, Margaret i dziewczynki zaraz po tym, jak się przeprowadzili do Ridgefield.

Przedtem nie widzieliśmy go prawie rok – odrzekła Grace Frawley znużonym, smutnym głosem. – Dzwonię do niego regularnie. Prawie nigdy nie odbiera, ale zostawiam mu wiadomości, tylko po to, by powiedzieć, że o nim myślimy i go kochamy. Wiem, że ciągle pakuje się w kłopoty, ale w głębi duszy to dobry chłopak. Kiedy jego ojciec umarł, miał tylko dwa latka. Trzy lata później wyszłam za Toma. Mój mąż zawsze traktował Richiego jak własne dziecko, był naprawdę dobrym ojczymem. Niestety mój starszy syn nigdy nie zdołał wyzwolić się spod wpływu złego towarzystwa, w jakie wpadł, będąc nastolatkiem.

– Jakie są jego relacje ze Steve'em?

– Nie najlepsze – przyznał Tom Frawley. – Zawsze był o niego zazdrosny. Richie mógł pójść na studia. Stopnie miewał różne, ale testy końcowe zawsze zdawał świetnie. Zaczął nawet studia na Uniwersytecie Nowojorskim. Jest zdolny, naprawdę zdolny, jednak zrezygnował po pierwszym roku i pojechał do Vegas. Tam poznał bandę hazardzistów i oszustów. Zapewne państwo wiedzą, że siedział w więzieniu za oszustwo.

– Czy imię i nazwisko Franklin Bailey coś panu mówi, panie Frawley?

– To człowiek, z którym kontaktowali się porywacze moich wnuczek. To on przekazał okup. Widzieliśmy go w telewizji.

– Był także jedną z ofiar oszustwa, zaplanowanego przez Richiego. Inwestycja, na którą go namówił, kosztowała Bailey'a siedem milionów dolarów.

– Czy on wie, że Richie jest przyrodnim bratem Steve'a? – zaniepokoił się Tom. Był zaskoczony i zmartwiony.

– Teraz już tak. Wiedzielibyście, gdyby Richie spotkał się z Baileyem, kiedy był w Ridgefield w zeszłym miesiącu?

– Nie wiedzielibyśmy tego.

– Panie Frawley, twierdzi pan, że Richie wyjechał koło dziesiątej we wtorek rano? – upewnił się Smith.

– Zgadza się. Około pół godziny po tym, jak Steve i Margaret wystąpili w telewizji.

– Richie zawsze utrzymywał, że nie wiedział, iż firma, w której inwestowanie namawiał, to oszustwo. Wierzy pan w to?

– Nie, nie wierzę – odparł Frawley. – Kiedy opowiadał nam o tej firmie, to brzmiało tak wspaniale, że sami chcieliśmy w nią zainwestować, ale nam nie pozwolił. Czy to coś panu mówi?

– Tom! – zaprotestowała Grace Frawley.

– Grace, Richie spłacił swój dług wobec społeczeństwa za to

oszustwo. Udawanie, że był niewinną ofiarą pomyłki sądowej, to hipokryzja. Jeżeli Richie przyzna się do swoich błędów, może też zdołać coś zrobić z resztą swojego życia.

– Mamy informacje, że zanim Franklin Bailey zorientował się, iż został oszukany, nawiązał prywatny kontakt z Richiem. Czy to możliwe, że Bailey uwierzył w jego niewinność i nadal się przyjaźnią? – spytał Smith.

– Do czego pan zmierza, panie Smith? – spytał cicho Frawley.

– Panie Frawley, pański pasierb jest niesłychanie zazdrosny o swojego brata. Zna się również na finansach, dlatego udało mu się wywieść w pole tylu ludzi i namówić ich na ową niesławną inwestycję. Ponadto Franklin Bailey, który również znalazł się na naszej liście podejrzanych, otrzymał pewien telefon dziesięć minut po dziesiątej rano we wtorek. Telefonowano z państwa domu.

Zmarszczki na pobrużdżonej twarzy Toma Frawleya pogłębiły się.

– Ja z pewnością nie kontaktowałem się z Franklinem Baileyem. Grace, ty też do niego nie dzwoniłaś, prawda? – zwrócił się do żony.

– Ależ tak – powiedziała Grace zdecydowanie. – Podali jego numer w telewizji. Zadzwoniłam, aby mu podziękować, że pomaga naszym dzieciom. Nie odebrał, włączyła się sekretarka. Nie zostawiłam wiadomości. – Spojrzała gniewnie na agenta Smitha. – Wiem, że pan i pańscy koledzy wykonujecie tylko swoją pracę, staracie się odnaleźć bestię, która porwała nasze wnuczki i zamordowała Kathy, ale proszę mnie teraz uważnie posłuchać. Nie obchodzi mnie, czy Richie pojawił się w pracy czy też nie. Zdaje się, że pan insynuuje, iż mojego syna łączy coś z Franklinem Baileyem i że ma to coś wspólnego z porwaniem. Cóż za niedorzeczny pomysł! Nie traćcie własnego i naszego czasu, podążając tym tropem. – Wstała, przytrzymując się fotela. – Moja wnuczka nie żyje. To prawie nie do zniesienia. Jeden z moich synów i synowa mają złamane serca. Drugi syn jest słaby i głupi, może i jest złodziejem, ale nie byłby zdolny do czegoś tak obrzydliwego jak porwanie własnych bratanców. Proszę z tym skończyć, panie Smith i proszę przekazać to swoim kolegom. Nie dość cierpimy, pańskim zdaniem?

W geście bezsilnej rozpaczki uniosła ręce i opadła z powrotem na fotel. Pochyliła się, dotykając twarzą kolan.

– Wynoście się! – Tom Frawley wskazał im drzwi. Był bardzo wzburzony. – Nie potrafiliście ocalić życia mojej wnuczce, więc teraz przynajmniej znajdźcie tych, którzy ją porwali. Błędzicie, próbując powiązać Richiego z tą sprawą. Nie traćcie czasu na takie bzdury.

Smith słuchał, jego twarz pozostała niewzruszona.

– Panie Frawley, jeśli Richie się odezwie, proszę mu z łaski swojej przekazać, że musimy się z nim skontaktować. Oto moja wizytówka. – Skinął głową w kierunku Grace i razem z agentką Rogers opuścili dom.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytał Smith swoją koleżankę, kiedy już wsiedli do samochodu.

– Ten telefon do Franklina Baileya... Myślę, że matka próbuje chronić Richiego.

– Ja też. Dotarł tu dopiero w sobotę rano. Teoretycznie nie wyklucza to jego udziału w porwaniu. Ponadto odwiedził Frawleyów w Ridgefield jakiś czas temu, więc znał rozkład domu. Istnieje prawdopodobieństwo, że pojechał do matki tylko po to, żeby zapewnić sobie alibi.

– Musiał nosić maskę przy dziewczynkach. Mogłyby go rozpoznać.

– Załóżmy, że jedna z nich właśnie go rozpoznała i z tego powodu nie wróciła do domu. Załóżmy też, że śmierć Lucasa Wohla nie nastąpiła wskutek samobójstwa.

Carla Rogers popatrzyła na Smitha.

– Nie wiedziałam, że funkcjonariusze w Nowym Jorku i Connecticut kombinują w ten sposób.

– Funkcjonariusze w Connecticut i Nowym Jorku kombinują, jak mogą, i sprawdzają każdą ewentualność. Na naszym dyżurze zginęła trzylatka. Kobziarz wciąż pozostaje na wolności i ma krew tego dziecka na rękach. Być może Richie Mason jest tylko zdolnym oszustem, jak twierdzą jego rodzice, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że matka go chroni.

Po swoim emocjonalnym wystąpieniu w kościele Kelly znów ucichła. Kiedy dotarli do domu, poszła na górę prosto do swojej sypialni i wróciła z dwoma pluszowymi misiami w ramionach.

W kuchni czekała już Rena Chapman, uczynna sąsiadka, która kolejny raz przygotowała dla nich posiłek.

– Przecież musicie coś jeść – oświadczyła stanowczo. Usiedli przy stole, który dla nich nakryła. – Nie mogę zostać, poza tym nie jestem już potrzebna. Lepiej, żebyście byli teraz sami.

Zapiekane tosty z szynką i kawa dobrze im wszystkim zrobiły. Margaret piła drugi kubek kawy, kiedy Kelly zsunęła się z jej kolan.

– Poczytasz mi książeczkę, mamusiu?

– Ja ci poczytam, kochanie – zaproponował Steve. – Przyniesz jakąś.

Margaret zaczęła, aż Kelly wyjdzie z kuchni i powiedziała:

– Kathy żyje. Kontaktuje się z Kelly.

Wiedziała, jak zareagują, mimo to musiała spróbować ich przekonać.

– Margaret, Kelly w ten sposób mówi wam o własnych doświadczeniach. Udaje, że rozmawia z Kathy. To ona bała się tej kobiety. To ona chciała wrócić do domu – wyjaśniła łagodnie doktor Harris.

– Naprawdę porozumiewała się z Kathy – upierała się Margaret. – Wiem, że tak było.

– Och, kochanie – zaprotestował Steve. – Nie rób sobie takiej krzywdy. Nie chwytaj się złudnych nadziei.

Margaret opłotła kubek dłońmi, próbując je ogrzać. Dokładnie tak samo czuła się w noc zniknięcia córeczek. Już nie rozpaczała. Ogarnęła ją rozpaczliwa chęć działania. Trzeba odnaleźć Kathy, nim będzie za późno. Wiedziała, że musi być ostrożna. Nikt jej nie uwierzy. Pomyślała, że oszalała z rozpacz i nafaszerują ją środkami uspokajającymi. Ta tabletkę nasenna wczoraj zwała ją z nóg na wiele godzin. To się nie może powtórzyć. Musi odzyskać Kathy, a żeby tego dokonać, powinna zachować trzeźwy umysł.

Kelly wróciła ze swoją ulubioną książeczką. Steve wziął córeczkę na rękę.

– Pójdziemy do mojego gabinetu i usiądziemy w tym wielkim fotelu, zgoda?

– Kathy też lubi tę książeczkę.

– Będziemy sobie wyobrażać, że ona też słucha. – Steve zdołał powiedzieć to normalnym głosem, ale oczy miał pełne łez.

– Och, tatusiu, to głupie. Kathy nie słyszy. Śpi teraz, jest całkiem sama, ta pani przywiązała ją do łóżka.

– Chciałaś powiedzieć, że ta pani ciebie przywiązywała do łóżka, tak, Kelly? – spytał szybko Steve.

– Nie, Mona kazała nam siedzieć w łóżeczku ze szczebelkami i nie pozwalała się wspinać. Kathy leży teraz w normalnym łóżku – upierała się Kelly. Poklepała Steve’a po policzku. – Czemu płaczesz, tatusiu?

– Margaret, im szybciej Kelly wróci do normalnego życia i zajęć, tym łatwiej przywyknie do nieobecności Kathy – powiedziała później doktor Harris, szykując się do wyjścia. – Wydaje mi się, że Steve ma rację. Pójście do przedszkola dobrze jej zrobi.

– Tylko Steve musi z nią być cały czas, nie spuszczać z oczu – zaniepokoiła się Margaret.

– Oczywiście. – Sylvia Harris objęła przyjaciółkę. – Muszę teraz jechać do szpitala, ale wrócę wieczorem, jeśli wciąż mnie potrzebujecie.

– Pamiętasz, jak Kathy miała zapalenie płuc i ta młoda pielęgniarka podała jej penicylinę? Gdyby nie ty, Bóg raczy wiedzieć, co by się stało. Więc jedź sprawdzić, jak się mają twoi mali pacjenci, a potem wracaj do nas. Potrzebujemy cię, Sylvio.

– Wtedy przekonaliśmy się ponad wszelką wątpliwość, że Kathy miała bardzo silną alergię na penicylinę – zgodziła się lekarka. – Margaret, opłakuj ją, postaraj się pogodzić z nieuniknionym i nie traktuj tego, co powtarza Kelly, jako powodu do nadziei. Uwierz mi, ona opisuje własne doświadczenia.

Nie próbuj jej przekonywać, ostrzegła się w myślach Margaret. Ona ci nie wierzy. Steve też ci nie wierzy. Muszę porozmawiać z agentem Carlsonem, zdecydowała. Natychmiast.

Sylvia Harris uścisnęła dłoń przyjaciółki i wyszła. Po raz pierwszy od tygodnia Margaret znalazła się w domu sama. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, po czym podeszła szybko do telefonu i wybrała numer Waltera Carlsona.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Margaret, mogę ci jakoś pomóc?

– Kathy żyje – wypaliła bez wstępów. Zanim zdążył zareagować, mówiła dalej: – Wiem, że mi nie uwierzysz, ale ona żyje. Kelly się z nią

kontaktuje. Godzinę temu Kathy spała przywiązana do łóżka. Kelly mi o tym powiedziała.

– Margaret...

– Nie próbuj mnie przekonywać ani uspokajać. Zaufaj mi. Macie tylko słowa martwego przestępcy. Nie znaleźliście żadnych innych dowodów wskazujących na jej śmierć. Nie macie ciała. Wiecie, że Lucas wsiadł do samolotu z dużym pudłem i zakładacie, że były w nim zwłoki Kathy. Przestańcie w to wierzyć i znajdźcie ją. Słyszysz? Znajdźcie!

Zanim zdążył odpowiedzieć, Margaret rzuciła słuchawką. Opadła na fotel, chowając twarz w dłoniach. Dręczyła ją myśl, że o czymś zapomniała. O czymś wyjątkowo istotnym. W jakiś sposób łączyło się to z ubrankami, które kupiła dziewczynkom na urodziny. Poszła na górę do pokoju bliźniaczek i wyjęła z szafy dwie małe aksamitne sukienki. Pogładziła miękki materiał.

W piątek wczesnym popołudniem Angus Sommers i Ruthanne Scaturro zadzwonili do drzwi domu przy Walnut Street 415 w Bronxville, w stanie Nowy Jork, gdzie mieszkała Amy Lindcroft, pierwsza żona Gregga Stanforda. W porównaniu z resztą ogromnych eleganckich rezydencji w okolicy ta była skromna. Zwyczajny biały dom z zielonymi okiennicami, które połyskiwały w słońcu niespodziewanie pogodnego popołudnia.

Angus Sommers wychował się w podobnym. Po drugiej stronie rzeki Hudson, w Closter, w New Jersey. Znów poczuł znajomy żal, że nie kupił tamtego domu, kiedy rodzice wyprowadzali się na Florydę. W ciągu minionych dziesięciu lat wartość nieruchomości podwoiła się. Teraz działka jest warta więcej niż sam budynek, pomyślał Sommers. Usłyszeli kroki po drugiej stronie drzwi.

Angus wiedział z doświadczenia, że nawet ludzie, którzy nie mają nic na sumieniu, reagują czasem nerwowo na wizytę FBI. Amy Lindcroft sama zadzwoniła do nich z prośbą o spotkanie. Chciała porozmawiać o swoim byłym mężu. Powitała ich uprzejmym uśmiechem, zerknęła na odznaki i zaprosiła do środka. Odrobinię pulchna czterdziestokilkulatka o przenikliwych brązowych oczach i przyprószonych siwizną kręconych włosach miała na sobie fartuch malarski i dżinsy.

Agenci podążyli za nią do salonu gustownie urządzonego w stylu kolonialnym. Na ścianie wisiała ogromna, przepiękna akwarela przedstawiająca wybrzeża rzeki Hudson. Sommers podszedł do płótna, aby bliżej się mu przyjrzeć. Obraz był podpisany nazwiskiem Amy Lindcroft.

– To piękne – powiedział szczerze.

Zarabiam na życie malowaniem. Lepiej, żebym była w tym niezła – odpowiedziała Amy rzeczowo. – Proszę siadać. Nie będę państwa długo zatrzymywać, jednak myślę, że to, co mam do powiedzenia, jest ważne Pani Lindcroft, czy nie mylę się, przypuszczając, że chce nam pani przekazać coś, co może mieć związek z porwaniem bliźniaczek Frawley? – odezwała się agentka Scaturro.

– Może mieć związek – podkreśliła Lindcroft. – Wiem, że to wygada, jakbym chciała się zemścić na byłym mężu, i niewykluczone, że do pewnego stopnia tak jest, ale Gregg skrzywdził wielu ludzi... Jeśli to, co

teraz powiem, będzie dla niego niesprawiedliwe, to trudno. Na studiach miałam współlokatorkę, Tinę Olsen, córkę potentata w branży farmaceutycznej. Zawsze była wszędzie zapraszana. Teraz wiem, że Gregg ożenił się ze mną tylko po to, żeby się dostać do świata Tiny. Wspaniale mu się udało. Gregg jest inteligentny i potrafi być czarujący. Na początku, kiedy się pobraliśmy, pracował w małej firmie inwestycyjnej. Tak długo podlizywał się Olsenowi, aż w końcu dostał od niego propozycję pracy. Postarał się, aby zostać prawą ręką szefa. Nim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, on i Tina oznajmili, że są w sobie zakochani. Po dziesięciu latach małżeństwa w końcu zaszłam w ciążę. Poroniłam z powodu stresu. Musiałam poddać się histeroktomii, żeby zatrzymać krwotok.

To coś więcej niż zemsta, pomyślał Angus Sommers, obserwując smutną twarz Amy Lindcroft.

– A potem ożenił się z Tiną Olsen – uzupełniła współczująco Scaturro.

– Tak. Po sześciu latach małżeństwa Tina odkryła, że ją zdradzał, i wniosła pozew o rozwód. Nie muszę dodawać, że jej ojciec zwolnił Gregga z pracy. Proszę zrozumieć, Gregg jest niezdolny do monogamii.

– Co pani próbuje nam powiedzieć? – spytał Angus Sommers.

– Około sześciu i pół roku temu, kiedy Gregg ponownie się ożenił, Tina zadzwoniła do mnie z prośbą o wybaczenie. Nie spodziewała się, że będę chciała z nią rozmawiać, ale mimo to postanowiła zatelefonować. Nie chodziło tylko o zdrady Gregga; jej ojciec odkrył, że zięć defraudował pieniądze. Pan Olsen uzupełnił braki z własnej kieszeni, żeby zatuszować sprawę i uniknąć skandalu. Tina powiedziała, jeśli to może być pocieszeniem dla którejś z nas, że tym razem trafiła kosa na kamień. Jego nowa żona, Millicent Alwin Parker Huff jest stanowcza i konkretna. Tina słyszała, że zmusiła Gregga do podpisania intercyzy. Jeśli małżeństwo rozpadnie się przed upływem siedmiu lat, Gregg dostanie figę, zero, nie otrzyma ani centa. – W uśmiechu Amy Lindcroft nie było tryumfu. – Tina dzwoniła wczoraj, po obejrzeniu wywiadu z Greggiem. Twierdzi, że on rozpaczliwie próbuje zrobić wrażenie na Millicent. Intercyza wygasa za kilka tygodni, a ukochana małżonka spędza czas w Europie, z dala od niego. Ostatni mąż, którego zwolniła z obowiązków, nie miał pojęcia, że jego czas minął, póki nie spróbował się dostać do mieszkania na Piątej Alei i dozorca go o tym nie poinformował.

– Więc Gregg obawia się, że to samo może spotkać i jego, a będzie wtedy potrzebował pieniędzy. Dlatego porwał bliźniaczki? Czy to nie

wydaje się pani odrobinę naciągane?

– Jest jeszcze coś.

Emocjonalna reakcja na zeznania nie była zachowaniem profesjonalnym, jednak ostatnia informacja, jaką przekazała im ze złośliwą satysfakcją Amy, wywołała na twarzach obojga agentów wyraz niedowierzania, którego nie zdołali ukryć.

Margaret siedziała na brzegu łóżka w pokoju bliźniaczek. Wciąż trzymała w dłoniach błękitne sukienki. Zaledwie tydzień temu ubierała w nie dziewczynki. Steve wrócił tego dnia wcześniej z pracy. Po przyjęciu urodzinowym jechali na służbową kolację. Córeczki były bardzo podekscytowane. Podczas gdy Margaret ubierała jedną, Steve trzymał drugą na kolanach, żeby nie rozniosła pokoju.

Chichotały i gaworzyły po swojemu, przypominała sobie Margaret. Chwilami miała wrażenie, że siostry czytały sobie nawzajem w myślach. Dlatego wiedziała, że Kathy żyje. Naprawdę porozumiewała się z Kelly.

Na myśl, że jej córeczka leży gdzieś przerażona i związana, Margaret chciała krzyknąć ze strachu i wściekłości. Gdzie mam jej szukać, rozpacziała. Od czego zacząć? O co mi chodzi z tymi sukienkami? Muszę sobie przypomnieć. To ma z nimi coś wspólnego. Poglądziła delikatnie miękki materiał. Chociaż sukienki były przecenione, i tak kosztowały o wiele za dużo. Oglądałam inne, ale wciąż wracałam do tych, wspominała. Sprzedawczyni powiedziała, że u Bergdorfa kosztują dużo więcej. Potem dodała, że to zabawne, że akurat wtedy przyszłam, bo właśnie skończyła obsługiwać inną kobietę, która też robiła zakupy dla bliźniaczek.

Margaret podskoczyła. Właśnie to próbowałam sobie przypomnieć! Ten sklep! Sprzedawczyni! Powiedziała, że chwilę wcześniej obsługiwała kobietę, która też wybierała ubranka dla bliźniąt. W dodatku również trzyletnich. Dziwne: nie wiedziała, jaki rozmiar kupić.

Margaret gwałtownie wstała. Sukieneczki spadły na podłogę. Rozpoznam tę sprzedawczynię, pomyślała. To prawdopodobnie tylko niewiarygodny zbieg okoliczności, że ktoś kupował ubranka dla trzyletnich bliźniaczek w tym samym sklepie co ja, na kilka dni przed porwaniem. Z drugiej strony, jeśli porwanie było zaplanowane, to przecież oczywiste: kidnaperzy mogli pomyśleć o tym, że dziewczynki o tej porze będą w piżamkach i będą potrzebowały ubrań na zmianę. Muszę porozmawiać ze sprzedawczynią.

Zeszła na dół. Steve właśnie wrócił z Kelly z zajęć przedszkolnych.

– Wszyscy przyjaciele naszej córeczki byli zachwyceni, że ją widzą – zawołał ze sztucznym entuzjazmem. – Prawda, malutka?

Kathy bez słowa puściła jego rękę i zaczęła zdejmować kurteczkę. Szeptwała coś pod nosem.

Margaret spojrzała porozumiewawczo na męża.

- Rozmawia z Kathy.
- Próbuje rozmawiać z Kathy – poprawił ją.
- Steve, daj mi kluczyki do samochodu. – Margaret wyciągnęła rękę.
- Margaret...
- Wiem, co robię, Steve. Zostań z Kelly. Nie zostawiaj jej samej nawet na sekundę. I proszę cię, notuj wszystko, co powie.
- Gdzie jedziesz?
- Niedaleko. Tylko do sklepu przy Siódmej Ulicy. Tam, gdzie kupiłam dziewczynkom sukienki na przyjęcie. Muszę porozmawiać z kobietą, która mnie obsługiwała.
- Czemu po prostu do niej nie zadzwonisz? Margaret odetchnęła głęboko.
- Steve, proszę cię, daj mi te kluczyki. Wszystko w porządku. Wrócę niedługo.
- Na rogu wciąż stoi wóz transmisyjny. Reporterzy pojedą za tobą.
- Nie będą mieli okazji. Zgubię ich. Daj kluczyki. Nagle Kelly podbiegła do Steve'a i objęła go za nogę.
- Przepraszam! – zawodziła. – Przepraszam! Steve podniósł ją i zaczął kołysać.
- Kelly, już dobrze. Już dobrze.

Dziewczynka trzymała się za ramię. Margaret podciągnęła rękaw jej bluzeczki. Na skórze Kelly zaczął się pojawiać czerwony ślad. Tuż nad siniakiem, który miała wcześniej.

Margaret poczuła, że zaschło jej w ustach.

- Ta kobieta właśnie uszczypnęła Kathy – szepnęła. – Jestem tego pewna. O Boże, Steve, ty naprawdę nic nie rozumiesz? Daj mi te kluczyki!

Niechętnie spełnił jej żądanie. Natychmiast wybiegła i piętnaście minut później parkowała pod sklepem.

Wewnątrz było kilka klientek. Margaret przeszła między półkami, wypatrując znajomej ekspedientki, ale nigdzie jej nie widziała. Spytała o nią kasjerkę, a ta odesłała ją do szefowej.

- A, chodzi pani o Lilę Jackson – zorientowała się kierowniczka na podstawie rysopisu, który podała Margaret. – Ma dziś wolne, pojechała z matką do Nowego Jorku, do teatru i na kolację. Ale nasze inne sprzedawczynie z przyjemnością pani pomogą w każdym...
- Czy Lila ma telefon komórkowy? – przerwała jej Margaret.
- Ma, ale naprawdę nie mogę pani podać numeru. – Kierowniczka,

sześćdziesięcioletnia kobieta o przyprószonych siwizną blond włosach, nagle stała się bardziej oficjalna. Mniej serdeczna. – Jeżeli przychodzi pani z reklamacją, proszę rozmawiać bezpośrednio – ze mną. Nazywam się Joan Howell.

– Nie chodzi o reklamację. Chodzi o klientkę, którą Lila obsługiwała w zeszłym tygodniu. Chcę o niej porozmawiać. Kupowała ubranka dla bliźniaczek, ale nie знаła rozmiaru...

Pani Howell potrząsnęła głową.

– Nie mogę pani podać numeru Liii – powiedziała stanowczo. – Będzie jutro o dziesiątej rano. Może pani przyjść wtedy. – Uśmiechnęła się zdawkowo i odwróciła.

Margaret chwyciła Joan za ramię, nie pozwalając jej odejść.

– Pani nie rozumie – nalegała podniesionym głosem. – Moja córeczka zaginęła. Ona żyje. Muszę ją znaleźć. Muszę do niej dotrzeć, nim będzie za późno.

Ich rozmowa zwróciła uwagę wszystkich w sklepie. Nie histeryzuj, ostrzegala się w myślach Margaret. Wezmą cię za wariatkę.

– Przepraszam – wyjąkała, puszczając rękaw kobiety. – O której zaczyna jutro pracę Lila?

– O dziesiątej. – Na twarzy Joan Howell malowało się współczucie. – Pani nazywa się Frawley, prawda? Lila mówiła mi, że kupowała pani sukienki dla córeczek w naszym sklepie. Tak mi przykro z powodu Kathy. Przepraszam, że pani nie rozpoznałam. Podam pani numer telefonu Liii, ale mogła go nie wziąć ze sobą do teatru albo wyłączyć. Proszę przejść ze mną do biura.

Margaret słyszała szepty. Klienci wokół rozmawiali o niej.

– To Margaret Frawley. To ta, której bliźniaczki...

W przyptywie żalu, który zaskoczył ją gwałtownością, wybiegła ze sklepu. Wsiadła do samochodu i ruszyła. Nie wiedziała, dokąd jedzie. Potem przypomniała sobie, że jechała trasą 1-95 na północ aż do miasteczka Providence w Rhode Island. Minęła drogowskaz na Cape Cod. Zatrzymała się na stacji benzynowej i dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak daleko od domu się znalazła. Zawróciła i pojechała do Danbury, na lotnisko. Nie wiedziała po co. Po prostu musiała to zrobić.

Nióś jej ciało w pudle, myślała. To była jej trumienka. Wsadził ją do samolotu i zabrał nad ocean, a potem otworzył drzwi albo okno i wyrzucił. Wrzucił moją śliczną małą dziewczynkę do oceanu. Z bardzo wysoka. Czy pudło się otworzyło? Czy Kathy wypadła z niego prosto do wody?

Woda jest teraz taka zimna. Nie myśl o tym, nie myśl, powtarzała sobie. Pomyśl o tym, jak lubiła nurkować. Muszę poprosić Steve'a, żeby wynajął łódź. Kupię kwiaty. Pożegnam się z nią. Spróbuję pozwolić jej odejść.

Może...

Światło latarki wdarło się przez przednią szybę samochodu, przerywając jej rozważania. Margaret uniosła głowę.

– Pani Frawley? – Głos policjanta był łagodny.

– Tak.

– Chcielibyśmy pomóc pani wrócić do domu. Pani mąż okropnie się martwi.

– Chyba zabłądziłam.

– Proszę pani, jest jedenasta w nocy. Wyszła pani ze sklepu o czwartej po południu.

– Naprawdę? Myślę, że to dlatego, że straciłam nadzieję.

– Tak, proszę pani. Teraz niech pani pozwoli, że odwiozę ją do domu.

– W piątek, późnym popołudniem agenci Angus Sommers i Ruthanne Scaturro udali się prosto z domu Amy Lindcroft na Park Avenue do biura C. F. G. &Y. Zażądali natychmiastowego spotkania z Greggiem Stanfordem. Po półgodzinnym oczekiwaniu zostali wreszcie wpuszczeni do urządzonego z przepychem gabinetu.

– Zamiast typowego biurka, Stanford miał zabytkowy sekretarzyk. Sommers, który sam był trochę snobem, jeśli chodzi o meble, ocenił, że antyk pochodzi z pierwszej połowy osiemnastego wieku i z pewnością wart był fortunę. Osiemnastowieczny kredens, którego Stanford używał jako biblioteczki, połyskiwał w promieniach słońca wpadającego przez okno z widokiem na aleję. Zamiast typowego „fotela prezesa” Gregg zdecydował się na bogato rzeźbiony i pięknie haftowany staroświecki tron. Dla kontrastu, po drugiej stronie biurka stały zwykłe krzesła. Sommers uznał, że to żalosna próba onieśmielenia gości poprzez podkreślenie ich niższego statusu. Na ścianie po prawej stronie biurka wisiał duży portret pięknej kobiety w sukni wieczorowej. Sommers był pewien, że poważna wyniosła dama na obrazie to obecna żona Stanforda, Millicent.

Ciekawe, czy pan i władca zabrania podwładnym patrzeć sobie w oczy, zastanawiał się Sommers. Co za błazen. I czy sam tak odpicował sobie gabinet, czy też pomogła mu żona? Zasiadała w radach kilku muzeów, prawdopodobnie znała się na historii sztuki.

Stanford nie silił się na uprzejmość. Nie przywitał ich, siedział nieporuszony z rękoma złożonymi przed sobą na biurku, póki agenci nie usiedli. Bez zaproszenia.

– Poczyniliście jakieś postępy w śledztwie? – spytał obcesowo.

– Owszem – odpowiedział bez wahania Sommers. – Jesteśmy o krok od zatrzymania przestępcy. To wszystko, co mogę zdradzić.

Stanford zacisnął szczęki. Czyżby nerwy, pomyślał Angus. Mam nadzieję.

– Panie Stanford, właśnie otrzymaliśmy informację, którą musimy z panem przedyskutować.

– Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co by to mogło być. Jasno wyraziłem swoje stanowisko w sprawie okupu. Nie mam nic więcej wspólnego z tą sprawą.

– Nieprawda – zaprzeczył Sommers powoli i z satysfakcją. – A Lucas Wohl? Musiał pan przeżyć szok, dowiedziawszy się, że był jednym z porywaczy.

– O czym pan mówi?

– Musiał pan widzieć jego zdjęcia w prasie i telewizji.

– Widziałem, oczywiście.

– Zatem rozpoznał pan byłego więźnia, który pracował u pana przez kilka lat jako szofer.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– A ja myślę, że pan wie, panie Stanford. Pana druga żona, Tina Olsen, bardzo aktywnie działała w pewnej organizacji dobroczynnej pomagającej znaleźć zatrudnienie byłym więźniom. Dzięki niej poznał pan Jimmy'ego Nelsona, znanego później jako Lucas Wohl. Tina Olsen miała już swojego stałego osobistego szofera, ale pan często korzystał z usług Jimmy'ego, czy też, jak pan woli, Lucasa. Wczoraj Tina Olsen zadzwoniła do pana pierwszej żony, Amy Lindcroft. Twierdzi, że Lucas był pana kierowcą jeszcze długo po waszym rozwodzie. Czy to prawda, panie Stanford?

Stanford wpatrywał się na przemian w oboje agentów.

– Jeśli jest coś gorszego niż mściwa baba, to tylko dwie – odparł wreszcie. – W trakcie małżeństwa z Tiną korzystałem z usług firm szoferskich. Całkiem szczerze powiem, że nigdy nie nawiązałem ani też nie miałem ochoty nawiązać jakiegokolwiek kontaktu z żadnym z szoferów, którzy w nich pracowali. Skoro mówicie, że jeden z tych ludzi dopuścił się porwania, przyjmuję to do wiadomości, choć oczywiście jestem głęboko zaskoczony. Pomysł, że miałbym go rozpoznać na zdjęciu w gazecie, jest niedorzeczny.

– Zatem nie zaprzecza pan, że go znał? – spytał Sommers.

– Możecie wskazać jakąkolwiek osobę i powiedzieć, że u mnie pracowała. Nie będę w stanie zaprzeczyć ani potwierdzić. A teraz proszę wyjść.

– Przeglądamy notatki Lucasa; sięgają kilka lat wstecz – oświadczył Angus, wstając. – Myślę, że woził pana znacznie częściej, niż pan twierdzi, co skłania mnie do rozważań na temat innych spraw, które pan ukrywa. Dowiemy się wszystkiego, panie Stanford. Mogę to panu obiecać.

– Dobra, ustalmy coś – powiedziała Angie do małej Kathy. Był sobotni poranek, minęła dziewiąta. – Całą noc nie zmrużyłam oka przez twoje ryki i rzeżenie. Mam tego dość. Nie mogę gnić w tym pokoju cały dzień i nie mogę cię zakneblować, bo mi się tu udusisz, więc biorę cię ze sobą. Wczoraj kupiłam ci trochę ubrań, ale buty nie pasują. Są za małe. Wrócimy więc do Searsa i wymienię je na większe. Ty w tym czasie będziesz leżeć na podłodze furgonetki i trzymać buzię na kłódkę, jasne?

– Kathy pokiwała głową. Angie ubrała ją w bawełnianą bluzkę z kołnierzykiem, sztruksowe ogrodniczki i kurteczkę z kapturem. Ciemne krótkie włosy dziewczynki przylegały do czoła i policzków, wciąż wilgotne po prysznicu. Znów była senna. Przed chwilą przełknęła kolejną łyżeczkę lekarstwa na kaszel. Bardzo chciała porozmawiać z Kelly, ale bała się Angie. Wczoraj bardzo mocno ją uszczypała za porozumiewanie się z siostrą.

– Mamusiu, tatusiu – szeptała w myślach. – Chcę do domu. Chcę do domu.

– Wiedziała, że musi postarać się nie płakać, bo płacz rozwściecza Angie. Nie chciała tego robić, ale kiedy przez sen szukała Kelly, a jej nie było i kiedy przypominała sobie, że nie śpi we własnym łóżeczku i mamusia nie przyjdzie... Po prostu nie mogła powstrzymać łez.

Buciki, które kupiła Angie, były za małe. Uwierały w palce i nie chodziło się w nich tak, jak w tenisówkach z różowymi sznurówkami albo półbucikach. Może jeśli będzie bardzo grzeczna, spróbuje nie płakać, postara się nie kaszleć i nie będzie rozmawiać z Kelly, mamusia przyjdzie i zabierze ją do domu. A prawdziwe imię Mony to Angie. Tak ją czasem nazywa Harry. On też nie ma na imię Harry, tylko Clint. Tak go czasem nazywa Angie.

Chcę do domu, pomyślała, czując napływające znów do oczu łzy.

– Tylko nie zaczynaj mi tu beczeć – ostrzegła Angie, otwierając drzwi i wyciągając Kathy za rączkę z mieszkania na parking. Bardzo padało, Angie odstawiła walizę i naciągnęła dziewczynce kaptur na głowę. – Jesteś już wystarczająco chora.

Angie zapakowała walizkę do bagażnika. Potem położyła Kathy na poduszce pod tylnym siedzeniem i przykryła kocem.

– Jeszcze i to. Muszę ci kupić fotelik – westchnęła. – Chryste, więcej z

tobą kłopotów niż jesteś warta.

Zatrzasnęła tylne drzwiczki, usiadła za kierownicą i włączyła silnik.

– Z drugiej strony zawsze chciałam mieć dzieciaka – mówiła bardziej do siebie niż do Kathy. – To przez to wpakowałam się wcześniej w kłopoty. Myślę, że tamten chłopaczek naprawdę mnie lubił i chciał ze mną zostać. Prawie ześwirowałam, kiedy matka go zabrała. Miał na imię Billy. Był słodki i potrafiłam go rozśmieszyć, nie tak jak ciebie. Boże, wciąż tylko ryczysz.

Kathy czuła, że Angie już jej nie lubi. Zwinęła się w kłębek na podłodze i zaczęła ssać kciuk. Robiła tak, kiedy była niemowlakiem, ale potem przestała. Teraz znów nie mogła się powstrzymać – wtedy było jej łatwiej nie płakać.

– Na wypadek gdyby cię to interesowało, lalczko, jesteś na Cape Cod. Ta ulica prowadzi do doków, łodzie przepływają tamtędy do Martha's Vineyard i Nantucket. Kiedyś byłam w Martha's Vineyard, zabrał mnie tam jeden facet. Nawet go lubiłam, ale się rozstaliśmy. Rany, chciałabym, żeby mnie tu teraz zobaczył z milionem dolców w bagażniku. To by było coś.

Kathy poczuła, że skręcają.

– To główna ulica Hyannis – oznajmiła Angie. – Jeszcze nie ma wielkiego tłoku, ale zrobi się za parę tygodni. Wtedy my już będzie my na Hawajach. Tam jest pewnie dużo bezpieczniej niż na Florydzie.

Angie zaczęła śpiewać piosenkę o Cape Cod. Nie znała dobrze słów, więc mruzczała, a potem zaczęła jakby wrzeszczeć.

– *W starym Cape Cod...* – zawodziła w kółko. Samochód się zatrzymał, a Angie zaśpiewała po raz kolejny: – *Tu, w starym Cape Cod.* Kurczę, ja to potrafię śpiewać – pochwaliła się. Odwróciła się i spojrzała na Kathy złośliwie. – Dobra, jesteśmy na miejscu. Pamiętaj, nie waż się podnosić, zrozumiałaś? Przykryję ci głowę kocem. Nikt cię nie zobaczy, nawet jeśli zajrzy do środka. Wiesz, co ci zrobię, jeśli się poruszysz choćby o centymetr? No.

Oczy Kathy wypełniły się łzami, skinęła głową.

– Dobra. Rozumiemy się. Zaraz wrócę, a potem pójdziemy do McDonalda albo do Burger Kinga. Razem. Mamusia i Stevie.

Kathy znikła pod kocem, nic jej już nie obchodziło. Ciepło i ciemność to wszystko, czego teraz potrzebowała. Była śpiąca. Chciała zasnąć. Tylko że koc był włochaty i drapał w nos. Zaraz znów zacznie kaszleć. Powstrzymywała się z całych sił, póki Angie nie wysiadła z samochodu i

nie zamknęła za sobą drzwi.

Potem pozwoliła sobie na płacz i powiedziała do Kelly:

– Nie chcę być w starym Cape Cod. Nie chcę być w starym Cape Cod.
Chcę do domu.

– Oto i on – szepnął agent Sean Walsh do swojego partnera Damona Philburna, wskazując mężczyznę w sportowej bluzie z kapturem, który wysiadł z samochodu. Byli w Clifton, w New Jersey, pod domem Richarda Masona. Szybko wyskoczyli z wozu i znaleźli się po obu stronach mężczyzny, zanim ten zdążył przekręcić klucz w zamku. Nie wyglądał na zaskoczonego ich widokiem.

– Wchodźcie – powiedział. – Ale tracicie czas. Nie mam nic wspólnego z porwaniem dzieci mojego brata. Znając wasze metody pracy, podejrzewam że zamontowaliście pluskwę w telefonie matki.

Podśłuchiowaliście, jak do mnie dzwoniła po waszej wizycie.

– Żaden z agentów nie widział potrzeby, by mu odpowiadać. Mason włączył światło w korytarzu i przeszedł do salonu, który kojarzył się Walshowi z pokojem motelowym: kanapa w brązowawy wzorek, dwa fotele w paski, dwie ławy z lampkami do kompletu, stół do kawy, beżowa wykładzina. Ten człowiek mieszkał tu od dziesięciu miesięcy, ale nic w pomieszczeniu o tym nie świadczyło. Nigdzie nie było rodzinnych zdjęć ani osobistych drobiazgów. Żadnych książek czy czasopism na regałach. Mason usiadł na jednym z foteli, założył nogę na nogę i sięgnął po papierosy. Zapalił jednego, zerknął na ławę obok fotela. Wyglądał na poirytowanego.

– Wyrzuciłem wszystkie popielniczki, żeby ułatwić sobie rzucenie palenia. – Wzruszył ramionami, wstał i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z salaterką i ponownie usadowił się w fotelu.

Próbuje nam pokazać, jaki jest spokojny, uznał Walsh. Możemy w to zagrać. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Philburnem. Wiedział, że myślą o tym samym. Agenci nie przerywali milczenia.

– Słuchajcie, w ciągu ostatnich kilku dni spędziłem dużo czasu za kierownicą i potrzebuję odpoczynku. Czego chcecie? – spytał Mason ostrym tonem.

– Kiedy wrócił pan do nałogu, panie Mason? – spytał Walsh.

– Tydzień temu, kiedy się dowiedziałem o porwaniu córeczek mojego brata.

– A nie wtedy, kiedy postanowił pan razem z Franklinem Baileyem, że je uprowadzicie? – spytał podchwytliwie agent Philburn.

– Zwariowaliście?! Dzieci mojego brata?

Głęboki rumieniec wykwitł na twarzy i szyi Masona. Patrzył ze złością na Philburna. Obserwujący go z boku Walsh pomyślał, że jest bardzo podobny do młodszego brata, ale jedynie z wyglądu. Sean co prawda znał Steve'a wyłącznie z telewizyjnych relacji, niemniej szanował go za zachowanie zimnej krwi pomimo ogromnego stresu. Tymczasem jego brat był pospolitym oszustem. Próbuje z nami pogrywać, myślał Walsh. Udaje oburzonego wujka.

– Od ośmiu lat nie kontaktowałem się z Franklinem Baileyem – powiedział Mason. – A zważywszy na okoliczności, bardzo wątpię, by miał ochotę ze mną rozmawiać.

– To jednak dziwne, że całkowicie obcy człowiek wystąpił z propozycją, że będzie pośrednikiem między rodzicami a porwaczami – zauważył Walsh.

– Gdybym miał zgadywać, na podstawie tego, co pamiętam na temat Bailey'a, powiedziałbym, że zrobił to dla rozgłosu. Kiedy go znałem, był burmistrzem. Żartował sobie wtedy, że poszedłby nawet na otwarcie koperty, gdyby miała być przy tym prasa. Wyborcy złamali mu serce, nie wybierając go na drugą kadencję. Wiem, że nie mógł się doczekać mojego procesu, aby wystąpić na podium dla świadków. Był bardzo za wiedziony, kiedy się przyznałem. Nie miałbym żadnych szans przy tych kłamcach, których prokuratura zamierzała powołać na świadków.

– Odwiedził pan brata i bratową w Ridgefield kilka miesięcy temu, zaraz po tym jak się przeprowadzili – powiedział Walsh. – Nie wstąpił pan do Franklina Bailey'a przez wzgląd na dawne czasy?

– To idiotyczne pytanie – odparł Mason spokojnie. – Wyrzuciłby mnie za drzwi.

– Nigdy nie był pan blisko z bratem, prawda? – pytał Philburn.

– Wielu braci nie jest ze sobą blisko. Tym bardziej przyrodnich.

– Poznał pan żonę Steve'a, Margaret, wcześniej niż on. Na ślubie znajomych. Zaprosił ją pan potem na randkę, ale dostał kosza. A później poznała Steve'a... Czy to pana nie zezłościło?

– Zawsze miałem powodzenie u atrakcyjnych dziewczyn. Mam na koncie dwa rozwody z pięknymi, inteligentnymi kobietami. Nigdy nie oglądam się za siebie.

– Niemal udało się panu bezkarnie dokonać oszustwa, które przyniosłoby milionowe zyski. Kiedy Steve dostał posadę, otwierającą mu prostą drogę do wielkiej kariery, czy nie pomyślał pan, że znów okazał się lepszy?

– Nie zastanawiałem się nad tym. I tak, jak już mówiłem, nigdy nikogo nie oszukałem.

– Panie Mason, praca bagażowego jest dosyć wyczerpująca. Zamierza pan się tym zajmować do końca życia?

– To tymczasowe zajęcie – odparł cierpliwie Mason.

– Nie boi się pan go stracić? Od tygodnia nie pokazał się pan na lotnisku.

– Dzwoniłem tam. Powiedziałem, że źle się czuję i biorę tydzień wolnego.

– Dziwne. Nic nam o tym nie powiedziano – skomentował Philburn.

– Widać ktoś musiał nie przekazać wiadomości. Naprawdę dzwoniłem.

– Gdzie pan był?

– W Vegas. Poczuję, że los mi sprzyja.

– Nie chciał pan być przy bracie w tych ciężkich dla niego chwilach?

– Nie byłby zadowolony. Wstydzi się mnie. Możecie sobie to wyobrazić? Brat, były więzień skazany za oszustwo, kręci się po domu, kiedy wokół pełno dziennikarzy? Sami mówicie, że może zająć wysoko w C. F. G. &Y. Mogę się założyć, że nie chwalił się mną w pracy.

– Ma pan rozległą wiedzę na temat przelewów wiązanych i banków, które je akceptują, prawda?

Mason wstał.

– Wynoście się. Aresztujcie mnie albo się wynoście. Żaden z agentów się nie poruszył.

– W zeszły weekend odwiedził pan matkę w Karolinie. Dokładnie wtedy, kiedy porwano dzieci pańskiego brata. To dlatego, że chciał pan sobie zapewnić alibi? Czy też był to niezwykle zbieg okoliczności?

– Proszę wyjść. Walsh wyciągnął notes.

– Gdzie się pan zatrzymał w Vegas, panie Mason? I kto może potwierdzić, że pan tam był?

– Nie odpowiem więcej na żadne pytanie, dopóki nie skontaktuję się z adwokatem. Znam was. Próbujecie zastawić na mnie pułapkę.

Walsh i Philburn wstali.

– Wrócimy – powiedział Walsh obojętnie. Wyszli z mieszkania, ale zatrzymali się jeszcze przy samochodzie Masona.

Walsh wyjął latarkę i skierował strumień światła na deskę rozdzielczą.

– Osiemdziesiąt jeden tysięcy pięćset kilometrów – oznajmił. Philburn zapisał liczbę.

- Obserwuje nas – skomentował.
- Chcę, żeby widział, co robimy.
- Ile było na liczniku wcześniej?
- Grace Frawley dzwoniła do syna po naszym wyjściu. Przypominała mu, że niedługo przekroczy osiemdziesiąt tysięcy i musi pojechać na przegląd, żeby mu nie wygasło ubezpieczenie. Frawley senior bardzo tego pilnuje.
- Teraz jest o jakieś tysiąc kilometrów więcej. To odległość stąd do Winston-Salem. Na pewno nie był w Vegas. Jak myślisz, gdzie pojechał?
- Moim zdaniem niańczył dzieci gdzieś w okolicach stanu Nowy Jork
- odparł Philburn.

Lila Jackson nie mogła się doczekać pójścia do pracy. Opowiedziała to, jak świetnie bawiły się z matką w teatrze poprzedniego dnia.

– Poszliśmy na „Nasze miasto” Thorntona Wildera – pochwaliła siostrzyczce. – Przedstawienie było więcej niż wspaniałe. Było cudowne! Ta scena finałowa, kiedy George rzuca się na mogiłę. Nie masz pojęcia. Strasznie się popłakałam. Kiedy miałam dwanaście lat, wystawialiśmy to w szkole. Grałam pierwszą martwą kobietę. Miałam całą linijkę tekstu. Do dziś ją pamiętam...

Kiedy Lila wpadała w entuzjazm, nic nie mogło powstrzymać potoku jej słów. Joan Howell cierpliwie czekała, aż koleżanka zrobi pauzę na oddech, aby wtrącić:

– My też mieliśmy tutaj wczoraj trochę wrażeń. Margaret Frawley, matka tych porwanych bliźniaczek tu była. Szukała ciebie.

– Mnie? Po co? – spytała zaskoczona Lila.

– Nie wiem. Prosiła o twój numer komórkowy, a kiedy jej odmówiłam, powiedziała coś o tym, że jej córeczka żyje i musi ją znaleźć. Biedaczka pewnie przeżywa załamanie nerwowe. To oczywiście naturalne po stracie dziecka. Złapała mnie za rękaw i przez chwilę byłam pewna, że mam do czynienia z wariatką. Potem ją rozpoznałam i próbowałam z nią porozmawiać, ale zaczęła płakać i wybiegła. Dziś rano słyszałam w wiadomościach, że powstało zamieszanie z powodu jej zniknięcia, policja znalazła ją wczoraj wieczorem o jedenastej. Siedziała w samochodzie zaparkowanym niedaleko lotniska w Danbury. Mówili, że sprawiała wrażenie zdezorientowanej i oszołomionej.

Lila całkiem zapomniała o przedstawieniu.

– Wiem, czemu chciała ze mną rozmawiać – powiedziała cicho.

Tego samego wieczoru, kiedy pani Frawley robiła u nas zakupy, była tu pewna kobieta. Kompletowała garderobę dla trzyletnich bliźniaczek. Nie miała pojęcia, jaki rozmiar noszą. Wspomniałam o tym pani Frawley, bo uważałam, że to dość niezwykle. Nawet...

Zawahała się. Joan Howell była straszną służbistką. Z pewnością nie pochwaliby mieszać się w sprawy klientów. Szczególnie jeśli wiązało się to z koniecznością zdobycia ich adresu domowego.

– Jeżeli rozmowa ze mną mogłaby pomóc pani Frawley, chętnie się z nią spotkam – zakończyła.

– Nie zostawiła numeru. Moim zdaniem powinnaś sobie odpuścić. – Joan Howell zerknęła znacząco na zegarek. Było pięć po dziesiątej. Czas zająć się swoimi obowiązkami.

Lila pamiętała nazwisko tamtej klientki. Downes. Podpisała się tak na rachunku, ale Jim Gilbert twierdził, że kobieta ma na imię Angie i nie jest żoną Downesa, który pracuje jako dozorca w Danbury Country Club. Mieszkają razem w domku na terenie klubu. Czując na sobie wzrok Joan Howell, zwróciła się do klientki obładowanej sporą ilością ubrań.

– Odwiesić? – spytała.

Klientka skinęła głową z wdzięcznością i Lila wzięła od niej wieszaki z ubraniami. Odnosząc rzeczy na miejsce, rozmyślała, że nie zaszkodziłoby wspomnieć o tym incydencie policji. Prosilili o jakiegokolwiek informacje. Ale Jim Gilbert sprawił, że poczuła się jak idiotka, usprawiedliwiała się w myślach. Powiedział, że policja dostaje tysiące podobnych wskazówek, które jedynie zaciemniają obraz sprawy. Posłuchała go, w końcu jest emerytowanym policjantem. Klientka znalazła kolejne rzeczy, które chciała przymierzyć.

– Tam jest wolna przebieralnia – poinformowała Lila.

Policja może mnie zlekceważyć tak samo jak Jim. Mam lepszy pomysł. Klub jest tylko dziesięć minut stąd. Pojadę tam w przerwie obiadowej i zadzwonię do drzwi. Powiem, że właśnie odkryliśmy, iż koszulki, które kupili, pochodzą z wadliwej partii i przyjechałam je wymienić. Jeżeli zauważę cokolwiek podejrzanego, wtedy zadzwonię na policję.

O pierwszej Lila zdjęła z wieszaków dwie bluzeczki i poszła z nimi do kasy.

– Kate, zapakuj je, proszę – powiedziała. – Podliczysz mnie, kiedy wrócę. Spieszę się.

Zdała sobie sprawę, że jej pośpiech jest irracjonalny. A jednak z jakiegoś powodu bardzo zależało jej na czasie.

Znowu zaczęło padać, ale nie zawracała sobie głowy parasolką. Nie jestem z cukru, pomyślała, biegnąc przez parking do samochodu.

Dwanaście minut później stała już pod bramą Danbury Country Club. Zaskoczył ją widok kłódki na bramie wjazdowej. Musi być jakieś inne wejście, myślała. Pojechała wolno wzdłuż ogrodzenia, minęła kolejną zamkniętą bramę, w końcu dotarła do piaszczystej drogi zagrodzonej szlabanem. Obok była skrzynka, należało wstukać jakiś kod, żeby wjechać. W oddali, po prawej stronie za budynkiem klubu, dostrzegła

niewielki domek. To może być mieszkanie dozorczy, o którym wspominał Jim Gilbert.

Padło coraz mocniej. Skoro już tu jestem, zdecydowała, to doprowadzę plan do końca. Dobrze, że przynajmniej mam płaszcz przeciwdeszczowy. Wsiadła z samochodu, przeszła pod szlabanem i pod osłoną drzew pobiegła w stronę domku. Torbę z koszulkami zwinęła i schowała pod płaszcz. Minęła pusty otwarty garaż. Może nikogo tu nie ma, pomyślała. Co wtedy zrobię? Po chwili jednak dostrzegła światło w środku. Weszła po schodkach na ganek i nacisnęła dzwonek.

W piątek wieczorem Clint znowu poszedł z Gusem na piwo. Wrócił późno. W sobotę spał do południa. Obudził się skacowany i zły. Gus był pewien, że kiedy dzwonił w czwartek wieczorem i rozmawiał z Angie, usłyszał w tle płacz dwójki dzieci. Wspomnił o tym Clintowi.

Downes próbował obrócić całą sprawę w żart. Powiedział Gusowi, że musiał być pijany w sztok, skoro przyszło mu do głowy, że w tej klitce jest dwoje dzieciaków. „Nie mam nic przeciwko temu, aby Angie zarabiała na życie niańczeniem cudzych bachorów, ale gdyby przyszła z dwójką, wykopałbym ją za drzwi” – oświadczył. Sądził, że kumpel to kupił, ale tak do końca nie był pewny. To straszny plotkarz. Bóg raczy wiedzieć, ilu osobom o tym wspomnił. No i jeszcze opowiadał Clintowi, że widział Angie w aptece, kiedy kupowała lekarstwa dla dzieci. Na pewno powiedział to nie tylko jemu.

Trzeba wynająć samochód i pozbyć się łóżeczka, postanowił, parząc kawę. Rozłożył je już, ale musiał jeszcze gdzieś wywieźć. Może do jakiegoś lasu. Po co Angie zatrzymała tego dzieciaka? Dlaczego zabiła Lucasa? Mogliśmy oddać obie smarkule, podzielić się forszą z Lucasem i mieć wszystko gdzieś. Teraz cały kraj jest na ścieżce wojennej, bo ludzie myślą, że dzieciak nie żyje. Angie szybko będzie miała dość tej małej i wtedy gdzieś ją porzuci. Wiem, że tak robi. Mam tylko nadzieję, że nie... Clint bał się dokończyć myśl. Wciąż miał przed oczyma obraz Angie strzelającej do Lucasa. Przeżył wtedy prawdziwy szok. Kto wie, do czego jeszcze może być zdolna ta kobieta.

Siedział zgarbiony nad kuchennym stołem, nieuczesany, z dwudniowym zarostem, ubrany w znoszone dżinsy i grubą bluzę. Drugi kubek kawy stał nieruszony naprzeciwko niego. Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Gliny! Był pewien, że to gliny. Pot zaczął się z niego lać strumieniami. Nie, to może być Gus, pomyślał z desperacką nadzieją. Poszedł otworzyć. Jeśli to gliny, to i tak nie odejdą. Widzieli światło w

domu. Był boso, jego ciężkie stopy bezgłośnie stąpały po zniszczonym chodniku. Chwyił za klamkę i uchylił drzwi.

Lila gwałtownie wciągnęła powietrze. Spodziewała się, że otworzy kobieta, którą widziała w sklepie. Tymczasem stała twarzą w twarz z grubym, niechlujnym facetem, który przyglądał jej się podejrzliwie.

Clint spodziewał się najgorszego. Może to tajniaczka. Pewnie przyszła tu węszyć, myślał. Nie okazuj zdenerwowania, przestrzegł się w myślach. Gdyby nie miał nic na sumieniu, uśmiechnąłby się teraz i spytał „w czym mogę pomóc”. Zmusił się do grymasu, który nieco przypominał uprzejmy uśmiech. Taką miał przynajmniej nadzieję.

– Dzień dobry.

Chyba jest chory, pomyślała Lila. Bardzo się poci.

– Czy zastałam panią Downes? To znaczy, Angie?

– Nie. Wyjechała. Zajmuje się dzieckiem. Jestem Clint. Mogę jej coś przekazać?

To pewnie zabrzmiało głupio, pomyślała Lila, ale co tam.

– Nazywam się Lila Jackson, pracuję w sklepie Abby na Siódmej.

Kierowniczką przysłała mnie do Angie. Mam tylko kilka minut, czekają na mnie w pracy. Mogę na chwilę wejść?

Dopóki będzie myślał, że ktoś wie, gdzie jestem, wszystko powinno być w porządku, przekonywała samą siebie. Nie chciała odchodzić, nie upewniwszy się, że Angie naprawdę nie ma w domu.

– Pewnie, proszę wejść. – Clint odsunął się na bok, przepuszczając ją.

Zajrzała ukradkiem do dużego pokoju. Nikogo tam nie zobaczyła. To samo w jadalni i kuchni. Drzwi do sypialni też były otwarte. Najwyraźniej Clint Downes jest w domu sam, a jeśli mieli tu wcześniej jakieś dzieci, teraz nie zostało po nich śladu. Odpięła płaszcz i wydobyla torbę z bluzeczkami. Podążyła do niego.

– Pani Downes, Angie, kupowała u nas w zeszłym tygodniu ubranka dla dzieci. Dostaliśmy informację od producenta, że cała kolekcja, z której pochodzą te bluzeczki, ma wady fabryczne. Przyszłam, żeby je państwu wymienić.

– To bardzo miłe z pani strony – powiedział wolno Clint. Powinien jakoś wyjaśnić, po co jej były te ciuszki, myślał gorączkowo. Angie musiała użyć jego karty kredytowej. Potrafi być niewyobrażalnie głupia. – Moja dziewczyna co jakiś czas pracuje jako opiekunka. Teraz też pojechała do Wisconsin do pewnej rodziny, której pomaga przy dzieciach. Wraca za parę tygodni. Kupiła te ubrania, bo matka zadzwoniła, że

zapomniała walizki.

– Te dzieci, których pilnuje Angie, to bliźniaczki, prawda? Pytam, bo noszą ten sam rozmiar.

– Z tego co mówiła Angie, między dziećmi jest niecały rok różnicy. Ale są jednakowego wzrostu. Matka jednakowo je ubiera i nazywa bliźniaczkami, chociaż tak naprawdę nimi nie są. Może pani zostawić te bluzki. Wysyłam paczkę do Angie, włożę je razem z jej rzeczami.

Lila nie wiedziała, jak odmówić. To ślepy zaulek, pomyślała. Facet wygląda nieszkodliwie. Ludzie często żartobliwie nazywają swoje dzieci bliźniakami, jeśli jest między nimi niewielka różnica wieku. Spotkała się z tym. Podała Clintowi reklamówkę.

– Pójdę już. Proszę przeprosić Angie i jej pracodawczynię.

– Jasne, z przyjemnością. Nie ma problemu.

Zadzwoił telefon.

– No cóż, w takim razie do widzenia – pożegnał się Clint i poszedł odebrać.

– Cześć – powiedział do słuchawki, nie spuszczać wzroku z Liii, która stała z ręką na klamce.

– Czemu nie odbierałeś telefonu? Dzwonię i dzwonię – warknął Kobziarz.

Na użytek kobiety Clint odpowiedział swobodnie.

– Nie dziś, Gus. Mam ochotę posiedzieć w domu.

Lila Jackson celowo opóźniała wyjście w nadziei, że zdoła podsłuchać coś istotnego. Ale nie było takiej możliwości, a poza tym chyba nie było też powodu. Jim Gilbert wspominał, że Angie często pilnuje dzieci. Nic w tym dziwnego, że któraś z matek poprosiła ją o kupienie dodatkowych ubranek. Tylko niepotrzebnie zmokła i straciła pieniądze na te bluzeczki, myślała biegnąc z powrotem do samochodu.

– Kto jest u ciebie? – dopytywał się Kobziarz.

– Angie zwinęła manatki, bo nie czuła się tu bezpiecznie. Zabrała moją komórkę. Dlatego nie mogłeś się dodzwonić. Kupiła dzieciakom ubranka, za które zapłaciła moją kartą kredytową. Była tu właśnie jakaś kobieta ze sklepu. Chciała wymienić wadliwe bluzki. Nie wiem, czy coś podejrzewa. Muszę się zdecydować, co dalej. Nawet nie wiem, gdzie jest Angie – dokończył Clint podniesionym tonem.

Kobziarz gwałtownie wciągnął powietrze. Też był zdenerwowany.

– Uspokój się, Clint. Myślisz, że Angie jeszcze zadzwoni?

– Tak. Ufa mi. I chyba wie, że jestem jej potrzebny.

- Ale ty jej nie potrzebujesz. Jak zareaguje, jeśli powiesz, że były tu gliny i o nią pytały?
- Spanikuje.
- Powiedz jej to i zaaranżuj spotkanie. I pamiętaj: może cię potraktować tak samo, jak Lucasa.
- Niech ci się nie zdaje, że o tym nie pomyślałem.
- Przy okazji pomyśl też o tym, że jeśli dzieciak przeżyje, będzie mógł cię zidentyfikować.

– Każdy ma jakąś granicę wytrzymałości, Margaret – powiedziała delikatnie Sylvia Harris.

– Było wczesne sobotnie popołudnie. Sylvia i Kelly właśnie obudziły Margaret. Usiadła na łóżku, tuląc córeczkę.

– Co wyście mi dali? Kompletnie zważyło mnie z nóg. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Spałam dwanaście godzin.

– A zdajesz sobie sprawę, ile snu straciłaś w ostatnim tygodniu? – Doktor Harris mówiła lekkim tonem, ale spojrzenie miała zatroskane. Jest taka chuda, martwiła się, i tak przeraźliwie blada. – Niechętnie cię obudziłam, nawet teraz, ale Steve mnie o to poprosił. Właśnie jedzie do domu. Agent Carlson też zamierza wpaść.

– FBI próbuje ustalić, co takiego chodziło mi po głowie wczoraj wieczorem. Pewnie myślą, że zwariowałam. Zadzwoiłam wczoraj do Carlsona zaraz po twoim wyjściu. Wykrzyczałam mu, że Kathy żyje i trzeba ją znaleźć. – Margaret mocniej przytuliła Kelly. – Potem pojechałam do sklepu, w którym kupiłam dziewczynkom urodzinowe sukienki, i praktycznie zaatakowałam kierowniczkę. Straciłam panowanie nad sobą.

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, gdzie pojechałaś po wyjściu ze sklepu? Wczoraj wieczorem nic nie pamiętałaś.

– Mam w głowie czarną dziurę aż do momentu, kiedy zobaczyłam drogowskaz na Cape Cod. Wtedy dopiero jakby się ocknęłam i wiedziałam, że muszę zawrócić. Mam straszne poczucie winy. Biedny Steve miał dosyć stresów, a tu jeszcze ja...

Doktor Harris dowiedziała się o zniknięciu Margaret wczoraj koło ósmej, po powrocie ze szpitala. Steve był zrozpaczony.

– Sylvio, nie mam pojęcia, co się stało. – W jego głosie pobrzmiwała panika. – Zaraz po tym, jak przyproceedziłem Kelly z przedszkola, mała krzyknęła nagle, zdejmując kurteczkę, i chwyciła się za ramię w tym samym miejscu, gdzie wcześniej miała siniaka. Musiała uderzyć się o stół w holu. Ale Margaret po prostu oszalała! Była przekonana, że ktoś krzywdzi Kathy i Kelly reaguje w ten sposób na jej ból. Wyrwała mi kluczyki od samochodu. Mówiła, że musi porozmawiać z kimś ze sklepu, w którym kupiła sukienki urodzinowe. Nie wracała, a ja nie mogłem sobie przypomnieć nazwy tego sklepu, w końcu zadzwoniłem na policję. Ona

nie zrobi sobie krzywdy, praw da Sylvio? Myślisz, że coś jej się stało?

Dopiero po trzech godzinach niezdolnej niepewności policja przekazała im wiadomość, że znaleziono Margaret na lotnisku w Danbury. Kiedy wreszcie dotarła do domu, nie umiała powiedzieć, gdzie była ani co robiła. Doktor Harris podała jej silny środek uspokajający. Nie mogła złagodzić żalu, ale mogła jej pomóc na chwilę od niego uciec. Odpocząć od bólu.

Margaret pogładziła policzek Kelly.

– Hej, ktoś jest naprawdę cichutki – powiedziała czule. – Jak się miewamy, Kel?

Córeczka spojrzała na nią poważnie, ale nie odpowiedziała.

– Nasza mała dziewczynka od samego rana jest bardzo milcząca – zauważyła doktor Harris. – Spałam wczoraj z tobą, prawda Kelly?

Mała milcząco skinęła głową.

– Dobrze spała? – chciała wiedzieć Margaret.

– Była odrobinę niespokojna. Trochę płakała i kaszłała przez sen. Dlatego zostałam przy niej na noc.

Margaret przygryzła wargi. Próbowwała nadać głosowi opanowany ton.

– Prawdopodobnie ma objawy przeziębienia swojej siostry. – Pocałowała małą w czubek głowy. – Zajmiemy się tym, prawda, pani doktor?

– Zajmiemy się niewątpliwie, ale zapewniam cię, że jej płuca są całkowicie czyste.

Właściwie, dodała Sylvia w myślach, nie ma żadnego fizycznego powodu tego kaszlu. Mała nie jest przeziębiona.

– Margaret, pozwolimy ci teraz wziąć prysznic i ubrać się. Zejdziemy na dół i poczytamy. Kelly wybierze książeczkę.

Doktor Harris wstała. Kelly popatrzyła z wahaniem na matkę.

– Myślę, że to wspaniały pomysł – powiedziała stanowczo Margaret.

Kelly w milczeniu zsunęła się z łóżka i wzięła lekarke za rękę. Zeszły na dół do gabinetu. Dziewczynka wybrała książeczkę i wdrapała się Sylvii na kolana. Kobieta po raz kolejny przyjrzała się siniakowi na ramieniu dziecka. Był ciemnopurpurowy i bardzo podobny do tego, który miała wcześniej. Wygląda, jakby ktoś ją mocno uszczyptał, pomyślała. Narzuciła małej koc na ramiona. W pokoju panował chłód.

– To nie jest ślad od uderzenia o stół, Kelly – powiedziała na głos. A może jednak, zastanawiała się. Może to Margaret ma rację i Kelly rzeczywiście odczuwa cierpienie Kathy? Musiała zadać to pytanie. Nie

dawało jej spokoju.

– Kelly, czy czasami czujesz to samo co Kathy?

Dziewczynka spojrzała na nią i potrząsnęła główką. Była przestraszona.

– Ciiiiii – szepnęła. Przyjęła pozycję embrionalną, włożyła kciuk do buzi i zakryła się całą kocykiem.

Agent specjalny Connor Ryan zwołał zebranie w biurze w New Haven na jedenastą rano w sobotę. Zaprosił Carlsona, Realto oraz kapitana policji z Connecticut Jeda Gunthera. Wszyscy zasiedli teraz przy stole konferencyjnym, by podsumować dotychczasowe wyniki śledztwa. Każdy z nich odczuwał ponurą determinację doprowadzenia sprawy do końca.

– Nie można całkowicie wykluczyć, że Wohl popełnił samobójstwo – zaczął Ryan jako przewodniczący zebrania. – Jest to fizycznie możliwe, aczkolwiek raczej niespotykane. Zazwyczaj samobójca wkłada lufę do ust albo przystawia z boku głowy i naciska spust. Spójrzcie na to. – Podał im zdjęcia z autopsji Lucasa Wohla.

– Kąt, pod jakim kula przebiła czaszkę, wskazuje na to, że strzał padł z góry.

– Mamy jeszcze list samobójczy, to kolejna zagadka – ciągnął beznamyślnie. – Jest na nim kilka odcisków palców Wohla, jednak powinno być znacznie więcej. Musiał przecież włożyć papier do maszyny, a potem go wyciągnąć. Chyba że zrobił to w rękawiczkach. – Podał list Carlsonowi. – Spróbujmy zrekonstruować sytuację – kontynuował. – Wiemy, że w porwanie było zaangażowanych co najmniej dwoje ludzi. Tamtej nocy opiekunka poszła w stronę sypialni dziewczynek, bo usłyszała płacz. Ktoś ją zaatakował od tyłu w holu na górze. Bardzo prawdopodobne, że w tym samym czasie drugi ze sprawców był w pokoju bliźniaczek. Wiemy, że okup odebrało dwóch mężczyzn.

– Czy twoim zdaniem jeden z nich to Kobziarz? – spytał Gunther.

– Myślę, że Kobziarz to ktoś trzeci, kto kierował akcją i nie brał bezpośredniego udziału w porwaniu. Ale to jedynie moje przypuszczenia.

– Ja też uważam, że możemy mieć do czynienia z jeszcze jedną osobą – Wtrącił Walter. – Z kobietą. Po powrocie do domu Kelly wymówiła przez sen dwa imiona: Mona i Harry. Frawleyowie twierdzą z całym przekonaniem, że nie znają żadnych takich osób. Tak więc Harry może być tym drugim facetem, a Mona kobietą, która opiekowała się dziewczynkami.

– Zatem zgadzamy się co do tego, że szukamy co najmniej dwóch, a najprawdopodobniej trzech osób. Poza Lucasem Wohlem brał w tym udział facet o imieniu Harry i kobieta o imieniu Mona. I żadne z nich raczej nie jest Kobziarzem, więc on byłby czwarty – podsumował Ryan.

Pozostali skinęli głowami. To miało sens.

– Przejdźmy do podejrzanych. Moim zdaniem, jest ich czterech. Brat Steve’a Frawleya, Richard Mason, bardzo o niego zazdrosny. Może podkochać się w Margaret, zna Franklina Baileya i kłamie, że był w Vegas. Franklin Bailey: z oczywistych względów. Norman Bond, facet z C. F. G. &Y, który zatrudnił Steve’a; mieszkał w Ridgefield, jego życie ma wiele wspólnego z życiem Frawleya, miał kilka załamań nerwowych, wspominał o swojej zaginionej żonie jako o „zmarłej”.

Ryan zacisnął usta.

– Na koniec przechodzimy do Gregga Stanforda. Bardzo stanowczo protestował przeciwko zapłaceniu przez firmę okupu, prawdopodobnie ma kłopoty osobiste w związku z bogatą żoną, a Lucas Wohl był kiedyś jego szoferem. Kiedy skończymy sprawdzać tych facetów, będziemy wiedzieć nawet, jakie było ich pierwsze słowo i w jakim wieku je wypowiedzieli. Jestem o tym przekonany. Ale to wcale nie znaczy, że się nie mylimy. Mogą być w to zaangażowani całkiem inni ludzie. Żaden z nich.

– Ten ktoś musiał znać rozkład domu Frawleyów – odezwał się Gunther. – Przeglądamy archiwa agencji nieruchomości, może trafimy na jakieś powiązania. Rozmawiałem też z policjantem, który pierwszy dotarł do Kelly. Podsunął nam kilka interesujących spostrzeżeń. Kelly miała na sobie piżamę, tę samą co podczas porwania, ale była dość czysta. Żadne trzyletnie dziecko nie mogłoby nosić tego samego ubrania przez trzy dni i nie wyglądać, jakby chodziło w nim pół roku. To znaczy, że ktoś przebrał dziecko po porwaniu albo uprał i wysuszył piżamę tuż przed porzuceniem małej na parkingu. Wyczuwam w tym wszystkim obecność kobiety.

– Ja też – zgodził się Carlson. – Kolejne pytanie brzmi: czy to Lucas zaniósł Kelly do samochodu? W takim razie widziałyby, jak popełnił samobójstwo. Gdzie w tym czasie byli pozostali porywacze? Możliwe, że nic nie wiedzieli o samobójczych zamiarach Lucasa i jechali za nim na parking, żeby zostawić Kelly, a być może obie dziewczynki w samochodzie, zabrać współlnika i odjechać. Pamiętajmy, że kiedy Kobziarz dzwonił do księdza Romneya, powiedział, że obie są bezpieczne. Nie miał żadnego powodu, by kłamać. Moim zdaniem wiadomość o śmierci Kathy była dla niego zaskoczeniem. Nie zrozumcie mnie źle, uważam, że ta dziewczynka rzeczywiście nie żyje. Prawdopodobnie zginęła dokładnie w taki sposób, jak opisano to w liście. To był wypadek. Potem Lucas pozbył się ciała, wyrzucając je z samolotu do wody. Rozmawiałem z mechanikiem na lotnisku, który zauważył, jak

tamten wnosił na pokład pudło, rozmawiałem też z gościem od katering, który godzinę później widział, jak Wohl wysiada bez niczego. Wszyscy wiemy, że przestępcy uprowadzający ofiary dla okupu, rzadko je zabijają, zwłaszcza jeśli to dzieci. Oto możliwy według mnie scenariusz: Lucas zabił Kathy przypadkowo i całkowicie załamał się psychicznie. Pozostali zaczęli się niepokoić. Myślę, że pojechali za nim na ten parking i jedno z nich go zabiło. Bali się, że po pijanemu może się komuś wygadać. Spróbujemy porozmawiać z Kelly i zorientować się, co wie. W szpitalu nie odezwała się ani słowem, a od powrotu do domu też jest wyjątkowo milcząca. Ale w czwartek w nocy wymieniła dwa imiona: Mona i Harry. Może uda nam się ją nakłonić, by powiedziała coś więcej. Trzeba poprosić rodziców o zgodę na sprowadzenie psychiatry dziecięcego, który przesłucha dziewczynkę.

– A co z Margaret Frawley? – spytał Ryan. – Tony, rozmawiałeś dziś z jej mężem?

– Rozmawiałem z nim wczoraj, po tym jak policja przywiozła Margaret do domu. Powiedział mi, że jego żona doznała silnego szoku. Zażyła bardzo mocny środek nasenny, który zalecił jej lekarz. Najwyraźniej nie pamiętała, gdzie była po wizycie w sklepie ani nawet samej wizyty.

– Jaki miała powód, żeby tam jechać?

– Rozmawiałem rano z kierowniczką sklepu. Margaret była, delikatnie mówiąc, poruszona, kiedy przyjechała tam wczoraj. Chciała rozmawiać z pracownicą, która sprzedawała jej sukienki, a potem, jak kierowniczka zgodziła się podać jej numer telefonu ekspedientki, rozplakała się i uciekła. Bóg jeden wie, co jej chodziło po głowie. Ale Frawley mówi, że upierała się, jakoby siniak na ramieniu Kelly został spowodowany czymś, co przydarzyło się Kathy, że Kelly doświadcza bólu Kathy.

– Chyba nie wierzysz w te bzdury, Tony? – Ryan najwyraźniej był bardzo sceptyczny.

– Nie, oczywiście, że nie wierzę. Ani przez sekundę nie pomyślałem, że Kelly może się porozumiewać telepatycznie z Kathy, ale chciałbym, żeby zaczęła się komunikować z nami, im szybciej, tym lepiej.

– Norman Bond mieszkał na czterdziestym piętrze ekskluzywnego wieżowca na Manhattanie. Rozległy widok na East River urozmaicał mu samotne życie. Często wstawał wcześniej, aby obejrzeć wschód słońca. Nocą uwielbiał oglądać światła nad rzeką.

Sobotni poranek był pogodny, ale promienny wschód słońca nie poprawił nastroju Normana. Parę godzin spędził na kanapie w salonie, rozważając swoje możliwości.

Nie ma ich wiele, ocenił. Co się stało, to się nie odstanie.

– Pierwsze słowo do dziennika... Drugie słowo do śmietnika... – wyrecytował.

Jakoś tak się chyba mówiło, kiedy chodził do podstawówki.

Jak mogłem być tak głupi, wyrzucał sobie. Jak mogłem tak się przejęzyczyć nazwać Theresę moją zmarłą żoną?

Agenci FBI uczepili się tego jak głodne wilki. Sprawa zniknięcia Theresy przycichła dawno temu. Teraz znów się zacznie. Przecież po siedmiu latach osobę zaginioną uznaje się za zmarłą. Nie było więc nic niezwykłego ani podejrzanego w tym, że mówił o niej w ten sposób. Theresę widziano po raz ostatni siedemnaście lat temu.

Co z obrączkami? Mógł bezpiecznie nosić tę, którą Theresa zostawiła mu na szafce. Ale czy równie bezpiecznie może nosić obrączkę, którą dostała od drugiego męża? Zdjął łańcuszek z szyi, wziął obie do ręki i przyjrzał się im uważnie. „Miłość jest wieczna” wyryto wewnątrz każdej. Ta, którą tamten jej dał, jest cała wysadzana diamentami, pomyślał zawistnie Norman. Ja jej dałem zwykłą, srebrną. Tylko na taką było mnie wtedy stać.

– Moja zmarła żona – powiedział na głos.

Teraz, po tych wszystkich latach, za sprawą porwania dwóch małych dziewczynek znów znalazł się w kręgu zainteresowania FBI.

Moja zmarła żona!

Najchętniej zrezygnowałby natychmiast z pracy w C. F. G. &Y i wyjechał za granicę, ale byłby to zbyt ryzykowny i gwałtowny krok. Sprzeczny z planami, o których wcześniej opowiadał. Natychmiast wzbudziłby podejrzenia.

Dopiero w południe zorientował się, że przesiedział pół dnia w bieliźnie. Theresa by tego nie pochwalila.

– Ludzie na poziomie nie chodzą w samej bieliźnie, Norman – mawiała z niesmakiem. – Po prostu nie. Włóż szlafrok albo się ubierz.

Bliźniaki urodziły się za wcześnie. Nie przeżyły. Theresa płakała przez tydzień bez przerwy. A potem nagle powiedziała „może dobrze się stało”, zostawiła go i przeprowadziła się do Kalifornii. Złożyła pozew o rozwód. Niecały rok później ponownie wyszła za męża. Norman podsłuchał, jak koledzy w C. F. G. &Y. podśmiewali się z tego.

– Ten drugi jest z zupełnie innej ligi niż biedny Bond – mówili. Nadal go to bolało.

Po ślubie powiedział Theresie, że zamierza zostać dyrektorem finansowym C. F. G&Y. Przekonał się, że nie ma na to najmniejszych szans, ale też nie miał już tak dużych ambicji. Nie potrzebował ani takiej odpowiedzialności, ani takich pieniędzy. Nie potrafię zrezygnować z noszenia tych obrączek, pomyślał, z powrotem zapinając łańcuszek. One dają mi siłę. Przypominają o tym, że jestem kimś więcej niż niepewnym siebie pracoholikiem, za jakiego wszyscy mnie uważają. Norman uśmiechnął się na wspomnienie przerażonej twarzy Theresy tamtej nocy, kiedy odwróciła się i zobaczyła go na tylnym siedzeniu swojego samochodu.

– Są za duże – powiedziała Angie, wkładając Kathy nowe buciki.

– Ale nie zamierzam się tym przejmować.

Zaparkowała pod McDonaldem, niedaleko centrum handlowego.

– Pamiętaj, żeby trzymać buzię na kłódkę, a jeśli ktoś cię spyta, jak masz na imię, powiedz, że Stevie. Rozumiesz? Powtórz.

– Stevie.

– Zrozumiałaś. No to chodź.

W tych butach nogi bolały Kathy inaczej niż w poprzednich. Trudno się w nich chodziło, bo stopy się ślizgały, a pięty ocierały. A Angie ciągnęła ją za sobą tak szybko... Jednak nie odważyła się nic powiedzieć. Jeden bucik spadł. Angie zatrzymała się, żeby kupić gazetę. Potem weszły do McDonalda i stanęły w kolejce. Kiedy podano jedzenie, usiadły przy stoliku pod oknem, skąd było widać furgonetkę.

– Nigdy wcześniej tak nie pilnowałam tego gruchota. Ale z tym towarem w bagażniku... Przy moim szczęściu ktoś mógłby właśnie dziś go ukraść.

Kathy nie miała ochoty na kanapkę i sok pomarańczowy, które kupiła dla niej Angie. Nie chciała jej rozzłościć, więc spróbowała trochę zjeść.

– Teraz chyba wrócimy do motelu, a potem poszukamy jakiegoś miejsca, gdzie można kupić używany samochód. Problem w tym, że mam tylko banknoty dwudziesto – i pięćdziesięciodolarowe. Jeśli nimi zapłacę, wzbudzimy podejrzenia.

Angie otworzyła gazetę i powiedziała pod nosem coś, czego dziewczynka nie zrozumiała. Założyła Kathy kaptur na głowę. Bardzo się zdenerwowała.

– Boże święty, twoja twarz jest wszędzie. Gdyby nie włosy, każdy głupek by cię rozpoznał. Idziemy.

Kathy nie chciała, żeby Angie znowu się na nią złościła. Zsunęła się z krzesła i posłusznie wzięła ją za rękę.

– Gdzie twój drugi bucik, chłopczyku? – spytała kelnerka, która sprzątała sąsiedni stół.

– Drugi bucik? – spytała Angie, spojrzała w dół i zobaczyła, że Kathy rzeczywiście ma tylko jeden. – O, kurczę, znowu rozwiązałeś buty w samochodzie?

– Nie – szepnęła Kathy. – Spadł. Są za duże.

– Rzeczywiście, ten, który masz, wygląda na za duży – zauważyła kobieta. – Jak ci na imię, chłopczyku?

Kathy bardzo się starała przypomnieć sobie, co jej kazała odpowiadać Angie. Nie potrafiła.

– Powiedz, jak masz na imię – nalegała kobieta.

– Kathy – szepnęła, ale poczuła jak Angie mocno ściska jej rękę i nagle przypomniała sobie imię, którego miała teraz używać. – Stevie. Nazywam się Stevie.

– Och, na pewno masz wymyśloną przyjaciółkę o imieniu Kathy – powiedziała kobieta. – Moja wnuczka też ma wymyślonego przyjaciela – Tak – odparła pośpiesznie Angie. – Cóż, musimy już iść.

Kathy obejrzała się za siebie. Kobieta podniosła gazetę ze stolika, który sprzątała. Dziewczynka zobaczyła swoje zdjęcie na pierwszej stronie, swoje i Kelly. Nie zdołała się powstrzymać, zaczęła mówić do siostry. Angie ścisnęła jej ramię bardzo, bardzo mocno.

– Chodź – warknęła, szarpiąc ją gwałtownie.

Drugi bucik wciąż leżał w tym samym miejscu. Angie podniosła go i otworzyła drzwi furgonetki.

– Właż – powiedziała ze złością. Kathy wdrapała się do środka i nie czekając na polecenie, położyła się na poduszce i sięgnęła po koc.

– Gdzie jest fotelik dla dziecka? – odezwał się ktoś niespodziewanie. Kathy spojrzała w górę i zobaczyła policjanta.

– Właśnie idziemy do sklepu, żeby kupić nowy – powiedziała Angie. – Nie zamknęłam furgonetki na noc. Zatrzymaliśmy się w motelu. Ktoś go ukradł.

– Gdzie się pani zatrzymała?

– W Soundview.

– Zgłosiła pani kradzież?

– Nie. To był stary fotelik. Nie warto.

– Chcemy wiedzieć o każdym przypadku kradzieży w Hyannis. Mogę zobaczyć pani prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

– Jasne. Proszę. – Angie wyjęła dokumenty z portfela.

– Pani Hagen, do kogo należy furgonetka?

– Do mojego chłopaka.

– Rozumiem. Cóż, dam pani spokój. Proszę tylko zaraz pójść do sklepu i kupić fotelik. Nie pozwolę pani odjechać bez niego.

– Dziękuję panu. Już idę. Chodź, Stevie.

Angie wzięła Kathy na ręce, starając się ukryć jej twarz za swoim

ramieniem. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu i pobiegła z powrotem do centrum handlowego.

– Ten gliniarz nas obserwuje – syknęła. – Nie wiem, czy powinnam była mu pokazywać prawo jazdy Lindy Hagen. Dziwnie na mnie popatrzył, ale z drugiej strony zameldowałam się w motelu jako Linda Hagen. Chryste, co za bajzel.

Postawiła Kathy, kiedy tylko weszły do sklepu.

– Czekaj, założę ci ten drugi but. Wsadzę do niego chusteczkę.

Musisz chodzić sama, nie będę cię nosić po całym Cape Cod.

Znajdźmy teraz jakiś sklep z fotelikami samochodowymi.

Kathy zdawało się, że idą całą wieczność. W końcu jednak znalazły to, czego szukały i Angie kupiła fotelik.

– Słuchaj no, rozpakuj mi go. Będę go niosła pod pachą – denerwowała się na sprzedawcę.

– Włączy się alarm. Mogę otworzyć pudło, ale fotelik musi w nim zostać, dopóki nie wyjdzie pani ze sklepu.

Angie była wściekła. Kathy bała się przyznać, że mimo chusteczki w środku, but znowu jej spadł. W drodze powrotnej do samochodu ktoś znów je zaczepił.

– Pani synek zgubił bucik. Angie wzięła dziewczynkę na rękę.

– Głupia ekspedientka wybrała jej zły rozmiar – tłumaczyła. To znaczy jemu. Kupię mu następną parę.

Bardzo szybko odeszła jak najdalej od kobiety, która je zagadnęła. Zatrzymała się na moment. Jedną ręką trzymała Kathy, w drugiej taszczyła fotelik samochodowy.

– O, Boże, ten gliniarz wciąż się tu kręci. Nie waż się odpowiadać, jeśli do ciebie zagada.

Dotarły do samochodu; Angie posadziła Kathy na przednim siedzeniu i próbowała zamocować z tyłu fotelik.

– Lepiej, żebyś zrobiła to jak należy. Skończyła i posadziła Kathy na jej nowym miejscu – Odwróć głowę – syknęła. – Natychmiast. Nie patrz na niego. Dziewczynka tak się wystraszyła, że zaczęła płakać.

– Zamknij się! – szepnęła Angie. – Zamknij się. Ten gliniarz na nas patrzy.

Zatrzasnęła tylne drzwi i usiadła za kierownicą. Wreszcie odjechały. W drodze powrotnej do motelu zaczęła wrzeszczeć na Kathy:

– Wygadałaś, jak masz na imię! Paplałaś w tym swoim bliźnia czym bełkocie. Kazałam ci milczeć! Kazałam ci siedzieć cicho! Mogłaś narobić

strasznych problemów. Ani słowa więcej. Słyszysz? Następnym razem, kiedy otworzysz buźkę, dostaniesz lanie.

Kathy zacisnęła powieki i zakryła uszy. Kelly próbowała się z nią skontaktować, ale nie mogła jej już odpowiedzieć. Angie ją zbije, jeśli spróbuje.

Kiedy weszły do pokoju, Angie rzuciła dziewczynkę na łóżko i powiedziała:

– Nie ruszaj się i nie odzywaj. Masz tu trochę syropu na kaszel. Połknij też aspirynę. Znowu dostałaś gorączki.

Kathy wypła syrop, połknęła tabletkę i zamknęła oczy.

Powstrzymywała się od kaszlu.

Kilka minut później, zasypiając, słyszała jak Angie rozmawia przez telefon.

– Clint – mówiła. – To ja, kochanie. Słuchaj, trochę się boję. Ludzie zwracają uwagę na dzieciaka, kiedy z nim wychodzę. Twarz tej gówniary jest we wszystkich gazetach. Chyba miałeś rację, powinnam była ją oddać razem z tą drugą. Co z nią teraz zrobić? Muszę się jej jakoś pozbyć. Tylko jak?

Ktoś zadzwonił do drzwi.

– Clint, oddzwonię do ciebie – wyszeptała wystraszona Angie. Ktoś jest pod drzwiami. Chryste, może to ten gliniarz.

Kathy ukryła buzię w poduszce na dźwięk rzuconej słuchawki. Do domu, myślała zasypiając. Ja chcę do domu.

W sobotę rano Gregg Stanford poszedł do swojego klubu na partyjkę squasha, a później wrócił do posiadłości w Greenwich, głównej rezydencji swojej żony. Bardzo się niepokoił. Wziął prysznic, przebrał się i poleciał, by mu podano obiad do gabinetu. To był jego ulubiony pokój w całym domu: ściany pokryte boazerią i zabytkowymi gobelinami, kosztowne perskie dywany, stylowe meble i niesamowity widok na Long Island Sound.

Ale nawet doskonale przyrządzony łosoś i butelka najwykwintniejszego wina nie pomogły mu się odprężyć. Szalał z niepokojem. W przyszłą środę będzie siódma rocznica jego ślubu z Millicent. W intercyzie przedmałżeńskiej figurował zapis, że jeśli przed upływem siedmiu lat małżeństwa dojdzie do rozwodu lub separacji, Gregg nie dostanie ani grosza. Jeżeli małżeństwo przetrwa dłużej niż siedem lat, nieodwołalnie będzie miał prawo do dwudziestu milionów dolarów, nawet jeśli rozwiedliby się zaraz po tej dacie.

Pierwszy mąż Millicent zmarł. Jej drugi związek przetrwał zaledwie kilka lat. Trzeci mąż dostał papiery rozwodowe parę dni przed siódmą rocznicą. Zostały jeszcze cztery doby, rozmyślał Gregg. Aż się spocił na samą myśl o tym, mimo że siedział w luksusowym klimatyzowanym pokoju. Nie miał wątpliwości co do tego, że Millicent bawi się z nim w kotka i myszkę. Od trzech tygodni podróżowała po Europie, odwiedzając przyjaciół. We wtorek dzwoniła z Monako. Pochwaliła jego decyzję w sprawie okupu.

– To cud, że dwadzieścioro dzieci innych pracowników nie zostało porwanych do tej pory – oświadczyła. – Wykazałeś się rozsądkiem.

A kiedy wychodzimy gdzieś razem, wydaje się dobrze bawić w moim towarzystwie, pomyślał, starając się pocieszyć.

– Zważywszy na twoje pochodzenie, to cud, że zdołałeś nabrać tyle ogłady – powiedziała mu pewnego razu.

Nauczył się kwitować jej złośliwości pobłażliwym uśmiechem. Bardzo bogaci ludzie są inni – nauczył się tego w trakcie małżeństwa z Millicent. Ojciec Tiny też był bogaty, ale on doszedł do wszystkiego własną pracą. Żył na wysokim poziomie, lecz jego dobrobyt był niczym w porównaniu z ogromnym majątkiem Millicent. Bogactwo jej rodziny sięgało czasów kolonialnych. Wywodziło się jeszcze z Anglii. I jak to często zarozumiale

podkreślała, w przeciwieństwie do hord zubożałej arystokracji, jej rodzina z pokolenia na pokolenie zawsze była bogata. Bardzo, bardzo bogata.

Stanforda przerażała myśl, że Millicent w jakiś sposób dowiedziała się o którymś z jego romansów. Byłem dyskretny, myślał, ale jeśli ona coś wie, to już po mnie. Wlewał w siebie już trzeci kieliszek wina, kiedy zadzwoniła Millicent. i – Gregg, nie byłam wobec ciebie uczciwa.

Zaschło mu w ustach.

– Nie wiem, o czym mówisz, kochanie – powiedział, próbując udąć rozbawienie.

– Będę szczerą. Podejrzewałam, że mnie zdradzasz, a tego nie mogłabym tolerować. Ale zostałeś oczyszczony z zarzutów, więc... – zaśmiała się. – Może uczcimy naszą siódmą rocznicę, kiedy wrócę? I wzniesiemy toast za kolejnych siedem lat.

Tym razem Gregg Stanford nie musiał udawać emocji.

– Och, kochanie!

– Wracam w poniedziałek. Ja... Naprawdę dosyć mi na tobie zależy, Gregg. Do zobaczenia.

Wolno odłożył słuchawkę. Tak jak podejrzewał, kazała go śledzić. Na szczęście instynkt ostrzegł go w porę. Od kilku miesięcy nie widywał się z innymi kobietami. Teraz nic nie stanie na przeszkodzie; będą świętować siódmą rocznicę. To ukoronowanie wszystkiego, na co pracował przez całe życie. Wielu ludzi spekulowało, czy Millicent z nim zostanie, wiedział o tym. „New York Post” zamieścił nawet na szóstej stronie artykuł zatytułowany: „Zgadnijcie, kto wstrzymuje oddech?”. Miał mocną pozycję w firmie, był głównym kandydatem na stanowisko dyrektora generalnego. Ale tylko dzięki małżeństwu z Millicent.

Gregg rozejrzał się po pokoju. Patrzył na drogą boazerię, gobeliny, perski dywan i piękne meble.

– Zrobię wszystko, żeby tego nie stracić – obiecał sobie.

W czasie minionego tygodnia, który zdawał się nie mieć końca, agenci Tony Realto i Walter Carlson stali się bardzo bliscy Margaret. Niemal jak przyjaciele. Oczywiście nie zapomniała, że przebywają w jej domu służbowo, jednak dostrzegała również ich osobiste zaangażowanie w prowadzone śledztwo. To dodawało jej otuchy. Wiedziała, że bardzo przeżywają śmierć Kathy.

To niedorzeczne, jak strasznie się wstydzę swojego wczorajszego zachowania, myślała, kuląc się na samo wspomnienie sceny, którą zrobiła w sklepie. Czy rzeczywiście przemawiała przede mną jedynie rozpacz?

Carlson i Realto przedstawili Margaret swojego kolegę, kapitana Jeda Gunthera. Jest mniej więcej w naszym wieku, zauważyła. Musi być dobry w tym, co robi, skoro został już kapitanem. Wiedziała, że ludzie z policji stanowej i policji w Ridgefield pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, chodząc od drzwi do drzwi i przesłuchując sąsiadów. W noc porwania oraz następnego dnia psy tropiące przeszukiwały całe miasto. Razem ze Steve'em i doktor Harris zaprowadziła detektywów do jadalni – naszego centrum dowodzenia, pomyślała. Wiele razy w ciągu minionego tygodnia siedzieli przy tym stole, modląc się o telefon.

Kelly przyniosła ulubione zabawki obu dziewczynek: dwie identyczne lalki i dwa misie. Położyła je na kocyku i zajęła się nakrywaniem stolika na przyjęcie „na niby”. Uwielbiały z Kathy urządzać podwieczorki dla lalek i pluszaków. Wymieniła nad stołem porozumiewawcze spojrzenie z doktor Harris. Myślały o tym samym. Sylvia zawsze pytała, jak się udało przyjęcie, kiedy dziewczynki przychodziły na badania.

– Jak się czujesz, Margaret? – spytał współczująco agent Carlson.

– Chyba dobrze. Na pewno słyszałeś, że byłam w sklepie, gdzie kupiłam dziewczynkom sukienki na urodziny, bo chciałam porozmawiać z ekspedientką, która mnie wtedy obsługiwała.

– Z tego co wiem, nie było jej – wtrącił się agent. – Proszę powiedzieć, w jakim celu chciała się pani spotkać z tą kobietą.

– Tylko w jednym: tamtego dnia wspomniała, że chwilę przede mną była u nich kobieta, która też kupowała ubranka dla bliźniaczek.

Sprzedawczyni wydało się dziwne, że tamta klientka nie знаła rozmiaru dziewczynek. Przyszła mi do głowy szalona myśl, że może ktoś robił zakupy, planując uprowadzenie moich córeczek i... i... – Przełknęła ślinę.

– Ekspedientki nie było, a kierowniczką nie chciała dać mi jej numeru. Zrobiłam z siebie widowisko. Kiedy to do mnie dotarło, wybiegłam ze sklepu. A potem chyba cały czas jechałam. Oprzytomniałam, widząc drogowskaz do Cape Cod i zawróciłam. Następne, co pamiętam, to policjant świecący mi w oczy latarką. Zaparkowałam pod lotniskiem.

Steve przysunął się bliżej z krzesłem i objął żonę ramieniem. Wzięła go za rękę.

– Steve – kontynuował agent Realto. – Wspominałeś, że Kelly wymieniła przez sen imiona Harry i Mona, a wy z pewnością nie znacie nikogo takiego.

– Zgadza się.

– Czy powiedziała coś jeszcze, co mogłoby nas naprowadzić na trop porywaczy?

– Coś o łóżeczku ze szczebelkami. Mam wrażenie, że były z Kathy trzymane w takim właśnie łóżeczku. Ale to jedyne, co miało sens, z tego, co mówiła.

– A co nie miało dla ciebie sensu, Steve? – spytała chciwie Margaret.

– Marg, kochanie, gdybym tylko potrafił łudzić się nadzieją, jak ty, ale... – Jego twarz jakby się skurczyła, do oczu napłynęły łzy. – Bóg mi świadkiem, dałbym wszystko, by uwierzyć w bodaj cię szansy, że nasza córeczka żyje.

– Margaret, zadzwoniłaś do mnie wczoraj mówiąc, że Kathy wciąż żyje – pytał dalej Carlson. – Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Kelly mi powiedziała. Nam wszystkim. Na wczorajszej mszy. A potem przy śniadaniu, kiedy Steve zaproponował, że poczyta jej książkę i będą sobie wyobrażać, że Kathy też słucha, mała odrzekła coś w rodzaju: „Tatusiu, nie bądź niemądry. Kathy jest teraz przywiązana do łóżka. Nie słyszy cię”. No i kilka razy Kelly próbowała rozmawiać z Kathy w ich języku.

– W ich języku? – zdziwił się Gunther.

– Mają swój własny specjalny język... – Margaret zorientowała się, że podnosi głos. Urwała. Popatrzyła po twarzach przy stole i dokończyła sugestywnym szeptem. – Powtarzałam sobie, że to tylko moja reakcja na szok, ale tak nie jest. Wiedziałabym, gdyby Kathy nie żyła. Ale ona żyje. Nie widzicie tego? Nie rozumiecie?

Zerknęła w stronę salonu. Potem, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, podniosła palec do ust i wskazała na Kelly. Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na małą. Dziewczynka posadziła misie na krzeselkach

przy stoliku. Laleczka Kathy leżała na kocyku na podłodze, Kelly zawiązała jej skarpetkę wokół buzi. Siedziała obok z własną lalką w ramionach, gładziła lalkę Kathy i coś szeptała. Kiedy zauważyła, że jest obserwowana, powiedziała:

– Nie pozwala jej już ze mną rozmawiać.

Po wyjściu Walsha i Philburna Richie Mason rozważał na zimno swoją sytuację, popijając świeżo zaparzoną kawę. Znalazł się pod lupą FBI. Cóż za ironia losu. Świadomość utraty kontroli nad biegiem wydarzeń zalała go nagłą falą wściekłości. Do tej pory wszystko szło gładko, ale wystarczyło jedno słabe ogniwo... Zawsze wiedział, że będzie z tym problem, i nie mylił się, niestety. Teraz agenci federalni deptają mu po piętach i są o krok od odkrycia prawdy. Dziwne, że jeszcze do niej nie doszli. Na razie zmyliła ich jego znajomość z Baileyem. Zyskał trochę czasu, ale raczej niewiele. Szybko się zorientują.

Nie wróćę do więzienia, myślał. Perspektywa ciasnej zatłoczonej celi, pasiaków, obrzydliwego jedzenia i więziennej monotonii przyprawiła go o dreszcz grozy. Po raz dziesiąty w ciągu minionych dwóch dni obejrzał paszport, który miał być jego przepustką do wolności. Paszport Steve'a. Ukradł go tego dnia, kiedy był w Ridgefield. Wystarczająco przypominał brata, aby móc podróżować z jego paszportem. Podczas odprawy muszę się tylko ciepło i uroczco uśmiechać, tak jak mój ukochany braciszek. Istnieje co prawda niebezpieczeństwo, że jakiś celnik spyta: „Czy to nie pana dzieci uprowadzono?”. W takim wypadku powie po prostu, że to jego kuzyna spotkała ta tragedia. „Obaj dostaliśmy imię po wspólnym dziadku”, wyjaśni. „I jesteśmy do siebie podobni jak bracia”.

Bahrain nie ma podpisanej umowy o ekstradycję ze Stanami Zjednoczonymi. A Richie i tak będzie miał nową tożsamość, więc potem nie powinno to robić większej różnicy. Zastanawiał się, czy powinien zadowolić się tym, co już zdobył, czy też ruszyć na wyprawę po resztę skarbu. Cóż, zawsze lepiej doprowadzić sprawę do końca.

Uśmiechnął się, zadowolony z decyzji.

– Pani Frawley – powiedział powoli Tony Realto. – Nie mogę podjąć żadnych działań wyłącznie na podstawie pani przekonania, iż Kelly kontaktuje się z siostrą telepatycznie. Ale też jedynymi poszlakami, że Kathy nie żyje, są list samobójczy oraz zeznanie świadka, że Lucas Wohl wniósł na pokład samolotu ciężkie kartonowe pudło. Domniemany zabójca pisze, że wrzucił ciało Kathy do oceanu. Będę z panią całkowicie szczery: nie jesteśmy przekonani ani co do tego, że Wohl sam napisał list, ani też że popełnił samobójstwo.

– O czym wy mówicie? – zdenerwował się Steve.

– Próbuję państwu wyjaśnić, że jeżeli Lucasa zastrzelił któryś ze współników, to list jest sfałszowany i mógł zostać podrzucony, aby nas zmylić i przekonać o śmierci dziecka.

– Czyżby wreszcie do was dotarło, że moja Kathy żyje? – ucieszyła się Margaret.

– Zaczynamy podejrzewać, iż istnieje taka nikła szansa – odrzekł Tony Realto, kładąc nacisk na słowo „nikła”. – Szczerze mówiąc, nie wierzę w telepatyczną więź między bliźniętami, wierzę natomiast, że Kelly może nam pomóc. Musimy ją przesłuchać. Skoro wymieniła imiona Harry i Mona, być może przypomni sobie jeszcze inne lub poda nam jakąś wskazówkę, co do miejsca, w którym była przetrzymywana. Kelly wzięła lalczyny ręcznik i poszła z nim do kuchni. Przysunęła krzesło do zlewu. Wróciła z mokrą szmatką. Uklękła i przyłożyła ją lalce Kathy do czoła. Potem zaczęła coś cicho mówić. Wszyscy obecni wstali i podeszli bliżej, aby lepiej słyszeć.

– Nie płacz, Kathy. Nie płacz. Mamusia i tatuś cię znajdą – szeptała dziewczynka. Spojrzała na nich. – Ona bardzo, bardzo kaszle. Mona ją zmuszała, żeby połknęła lekarstwo, ale Kathy je wypluła.

Tony Realto i Jed Gunther wymienili niedowierzające spojrzenia. Walter Carlson obserwował doktor Harris. Ona jest lekarzem, myślał, naukowcem, prowadzi badania nad telepatią u bliźniąt. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że Sylvia wierzy, iż dziewczynki komunikują się między sobą. Margaret i Steve padli sobie w objęcia i płakali.

– Doktor Harris – odezwał się cicho Carlson. – Porozmawia pani z Kelly?

Sylvia skinęła głową i usiadła na podłodze obok małej.

– Bardzo dobrze opiekujesz się siostrą – pochwaliła. – Czy Kathy nadal jest chora?

Kelly pokiwała główką.

– Nie może już ze mną rozmawiać. Powiedziała jakiejś pani, jak ma naprawdę na imię. Mona bardzo się zdenerwowała i przestraszyła. Teraz Kathy musi wszystkim mówić, że na imię jej Stevie. Ma takie rozpalone czoło.

– To dlatego robisz jej zimny okład?

– Tak.

– Czy Kathy ma coś zawiązane na buzi?

– Miała, ale chciało jej się wymiotować, więc Mona to zdjęła. Kathy teraz zasypia.

– Kelly zsunęła lalce Kathy knebel i położyła obok własną. Przykryła obie kocykiem, upewniwszy się wcześniej, że ich palce się stykają.

– To kierownik motelu, David Toomey, pukał do drzwi Angie. Szczupły siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna patrzył na nią świdrująco znad okularów w cienkich oprawkach. Przedstawił się, po czym spytał z pretensją:

– O co chodzi z tym skradzionym wczoraj w nocy fotelikiem dziecięcym? Funkcjonariusz Tyron z policji w Barnstable był tutaj. Pytał, czy miały u nas miejsce jeszcze inne kradzieże. Powiedziała mu pani, że ktoś włamał się do pani furgonetki.

Angie musiała podjąć błyskawiczną decyzję, czy przyznać się, że skłamała. Może sobie narobić jeszcze większych kłopotów. Policjant przyjdzie wlepić jej mandat za udzielanie fałszywych informacji. Przy okazji zacznie zadawać pytania.

– To nic wielkiego – powiedziała i zerknęła na łóżko. Widać było jedynie tył głowy Kathy, jej krótkie włosy. – Mój maluch jest okropnie przeziębiony. Myślałam tylko o tym, żeby jak najszybciej wnieść go do pokoju.

Toomey rozejrzał się uważnie po pokoju. W tej kobiecie było coś niepokojącego. Nie wierzył jej. Zapłaciła za dwudniowy pobyt gotówką. Zwrócił uwagę na ciężki oddech Kathy.

– Może powinna pani zabrać synka na pogotowie – zasugerował. – Moja żona zawsze dostaje ataku astmy po zapaleniu oskrzeli. Wygląda na to, że mały lada chwila zacznie się dusić.

– Też tak sędzę. Mógłby mi pan powiedzieć, jak dojechać do szpitala?

– To dziesięć minut stąd – odparł Toomey. – Z chęcią was zawiozę.

– Nie. Nie. Nie trzeba. Moja... Moja matka będzie tu o pierwszej.

Pojedzie z nami.

– Rozumiem. Cóż, pani Hagen, proponuję, aby natychmiast zgłosiła się pani do lekarza z tym dzieckiem.

– Oczywiście, że to zrobię. Bardzo dziękuję. Niezwykle pan miły. I proszę się nie martwić o fotelik. Był stary. Wie pan, o co mi chodzi.

– Wiem, o co pani chodzi, pani Hagen. Nie było żadnej kradzieży. Ale funkcjonariusz Tyron mówi, że już pani ma fotelik – powiedział Toomey, wychodząc. Nie ukrywał swojego potępienia.

Angie prędko zaryglowała za nim drzwi. Będzie mnie obserwował, pomyślała. Wie, że nie miałam fotelika i wścieka się, bo reputacja motelu

cierpi na zgłoszeniach kradzieży. Ten gliniarz też coś podejrzewa. Muszę się stąd wynosić, ale nie wiem gdzie. Nie mogę zabrać teraz wszystkich swoich rzeczy i odjechać – będzie jasne, że uciekam. Muszę udawać, że czekam na matkę. Jeśli zniknę tak po prostu, podejrzenia tych dwóch zamienią się w pewność. Najlepiej będzie, jeśli odczekam jakiś czas. Potem wyniosę dzieciaka do samochodu i zawrócę, niby po torebkę. Z biura widać tylko stronę pasażera. Mogę zawinąć walizkę z pieniędzmi w koc i wrzucić ją po stronie kierowcy. Resztę rzeczy zostawię, będą myśleli, że po nie wrócę. Gdyby mnie zaczepił ten wścibski staruch, powiem, że dzwoniła moja matka i umówiliśmy się w szpitalu. Przy odrobinie szczęścia, jeśli ktoś będzie się chciał akurat zameldować albo wynieść z tej nory, wymknę się całkiem niepostrzeżenie.

Z okna widziała podjazd pod recepcję. Czekala prawie czterdzieści minut. Zdecydowała się rozpuścić w wodzie tabletkę penicyliny i zmusić Kathy do połknięcia leku. Dziewczynka oddychała z coraz większym trudem. Muszę się jej pozbyć, myślała Angie. Tylko tego trzeba, żeby mi umarła na rękach. Wściekła i przestraszona otworzyła torbę, wyjęła flaszkę z kapsułkami, otworzyła jedną z nich i wysypała zawartość do szklanki z odrobiną wody. Wylała płyn na plastikową łyżeczkę. Potrząsnęła Kathy. Mała otworzyła oczy i natychmiast się rozplakała.

– Jeeezu, ależ ty jesteś rozpalona – warknęła Kathy. – Masz, wypij to.

Kathy potrząsnęła głową na znak protestu i mocno zacisnęła usta, czując gorzki smak płynu.

– Powiedziałam, pij! – wrzasnęła Angie.

Udało jej się wlać siłą nieco lekarstwa do buzi Kathy, ale mała zachłysnęła się i większość spłynęła po policzkach. Zaczęła zawodzić i kaszleć. Angie chwyciła ręcznik i zakneblowała nim dziewczynkę. Po chwili jednak zreflektowała się. Nie miała zamiaru jej udusić.

– Cicho bądź – syknęła. – Słyszysz? Jeszcze jeden jęk i natychmiast cię zabiję. To wszystko twoja wina. Wszyściutko.

Wyjrzała przez okno. Kilka samochodów zaparkowało pod recepcją. To moja szansa, pomyślała. Chwyciła Kathy i wybiegła na zewnątrz. Otworzyła samochód i zapięła dziewczynkę w foteliku. Potem szybko wróciła do pokoju, wzięła torebkę i walizkę owiniętą kocem. Rzuciła je na tylne siedzenie obok Kathy. Po trzydziestu sekundach opuszczała już parking.

Zastanawiała się, dokąd pojechać. Wciąż nie była pewna, czy powinna uciekać z Cape Cod. Nie oddzwoniła do Clinty. Nawet nie wiedział, gdzie

ona jest. Obawiała się, że policjant i właściciel motelu mogą nabrać podejrzeń i zacząć jej szukać. Mieli numery rejestracyjne furgonetki. Powinna poprosić Clinta, żeby tu przyjechał jakimś samochodem z wypożyczalni. Koniecznie musi zmienić auto. A tymczasem... Nie wiedziała, dokąd uciec.

Przejaśniało się, wyszło popołudniowe słońce. Angie tkwiła w korku. Miała ochotę krzyczeć ze strachu i bezsilnej złości. W każdej chwili groziło jej przecież, że spotka znajomego policjanta. Mógł nawet zatrzymać się obok niej radiowozem. Na początku Main Street ruch stał się jednokierunkowy, musiała skręcić w prawo. Pomyślała, że bezapelacyjnie to najwyższy czas, żeby opuścić Hyannis. W ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać. W razie pościgu bez trudu zatrzymają ją na którymś z dwóch mostów.

Spojrzała na Kathy. Dziewczynka miała zamknięte oczy, głowa opadła jej na piersi. Wciąż była zarumieniona od gorączki. Haustami łapała powietrze. Angie postanowiła zameldować się w jakimś innym motelu i zadzwonić stamtąd do Clinta. Powie mu, żeby przyjechał. Nie musiała opuszczać Cape Cod natychmiast. Wścibski kierownik Soundview pomyśli, że ona jeszcze wróci po rzeczy. Dopiero wieczorem ten facet zorientuje się, że uciekła na dobre.

Jechała już czterdzieści minut. Właśnie minęła tabliczkę z napisem Chatham, kiedy dostrzegła dokładnie to, czego szukała. Motel z neonem informującym o wolnych pokojach i restauracją obok.

– Pod Muszelką. Nada się.

Zajeżdżała na parking pod biurem. Starła się ustawić samochód pod takim kątem, by Kathy nie była widziana z okien motelu. Przygnębiony recepcjonista rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną. Ledwo spojrzał na nowo przybyłą, gdy podała mu wypełniony formularz rejestracyjny. Angie obawiała się, że policjant z Hyannis mógł rozesłać jej dane właścicielom moteli oraz okolicznym patrolom, postanowiła więc nie używać już dokumentów Lindy Hagen. Musiała jednak posłużyć się jakimś dowodem tożsamości. Niechętnie wyjęła własne prawo jazdy. Napisała na rachunku zmyślane numery rejestracyjne. Była przekonana, że pogrążony w rozmowie recepcjonista nie będzie zwracał sobie głowy ich sprawdzaniem. Przyjął gotówkę za jeden nocleg i rzucił jej klucze. Trochę już spokojniejsza Angie wróciła do furgonetki, zaparkowała na tyłach motelu i poszła do pokoju.

– Lepszy niż poprzedni – powiedziała, wsuwając walizkę pod łóżko i

zawróciła po Kathy.

Dziewczynka nie obudziła się przy wyjmowaniu z fotelika. Kurczę, ta gorączka rośnie, zaniepokoiła się Angie. Dobrze, że chociaż bierze aspirynę. Pewnie myśli, że to cukierki. Trzeba ją teraz obudzić, niech jeszcze trochę połknie. Najpierw jednak zadzwoniła do Clinta. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Gdzie ty do cholery jesteś? – warknął. – Dlaczego nie dzwoniłaś tak długo? Umieram tu ze strachu. Myślałem, że cię przymknęli.

– Kierownik motelu, w którym byłam, za bardzo węszył. Musiałam szybko wiać.

– Gdzie jesteś?

– Na Cape Cod.

– Gdzie?!

– Pomyślałam, że to dobre miejsce, żeby się ukryć. No i znam te strony. Clint, dzieciak jest naprawdę chory, a ten glina, o którym ci mówiłam, ten, który kazał mi kupić fotelik do samochodu, ma numery rejestracyjne furgonetki. I coś podejrzewa, wiem o tym. Boję się obławy na moście, jak będę próbowała stąd wyjechać. Jestem teraz w innym motelu. Przy trasie numer dwadzieścia osiem, to miasteczko nazywa się Chatham. Opowiadałeś mi, że byłeś tu jako dzieciak. Pewnie pamiętasz, gdzie to jest.

– Wiem, gdzie to jest. Słuchaj, zostań tam. Polecę do Bostonu i wypożyczę samochód. Powinienem dotrzeć do ciebie na dziewiątą, dziewiątą trzydzieści.

– Pozbyłeś się łóżeczka?

– Rozebrałem je i wyniosłem do garażu. Nie mam furgonetki, żeby je wywieźć, chyba wiesz? Nie martwię się teraz o łóżeczko. Wiesz, w co mnie wpakowałaś? Musiałem siedzieć tu na tyłku, bo tylko tutaj mogłaś do mnie zadzwonić. Mam niecałe osiemdziesiąt dolców i kartę kredytową. A ty ściągnęłaś już na siebie uwagę policji! Poza tym ekspedientka ze sklepu, w którym kupiłaś ciuchy dla dzieciaków, zaczęła coś podejrzewać i przyszła tu węszyć. Płaciłaś moją kartą kredytową.

– Po co miałyby przychodzić do naszego domu?! – krzyknęła wystraszona Angie.

– Tłumaczyła, że chce wymienić bluzki, ale moim zdaniem wybrała się na przeszpiegi. Dlatego muszę stąd uciekać. A ty zostań, gdzie jesteś, póki do ciebie nie przyjadę. Rozumiesz?

Siedzę tu na walizkach, czekam, aż raczy się odezwać, przekonany, że

gliny dopadły ją z dzieciakiem, martwię się o swoje pieniądze, wściekał się w myślach Clint. Nieźle to spaprała. Nie mógł się doczekać, kiedy ją dorwie.

– Tak, Clint. Przykro mi z powodu Lucasa. Wydawało mi się, że fajnie będzie mieć własnego dzieciaka i cały milion dolców... Wiem, że się przyjaźniliście.

Clint postanowił nie wspominać jej teraz o nękających go obawach. Dopóki miał swoją fałszywą tożsamość, nic mu nie groziło. Ale jeśli sprawdzą jego odciski palców, natychmiast odkryją, że Clint Downes nigdy nie istniał, a facet posługujący się tym nazwiskiem dzielił celę więzienną z niejakim Jimmym Nelsonem. Wiele lat temu w Attice.

– Zapomnij o Lucasie. Jak nazywa się ten motel?

– Pod Muszelką. Wsiowo, co nie? Kocham Cię, Clintman.

– Dobrze już, dobrze. Jak tam mała?

– Jest bardzo, bardzo chora. Ma wysoką gorączkę.

– Daj jej aspirynę.

– Clint, nie chcę jej już. Działa mi na nerwy.

– Masz swoją odpowiedź. Zostawimy dzieciaka w wozie, a samochód i tak musimy gdzieś utopić. Na wypadek, gdybyś nie zauważyła: tam, gdzie jesteś, nie brakuje wody.

– Dobrze. Dobrze. Clint, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Przysięgam. Jesteś taki mądry, Clint. Lucas myślał, że jest od ciebie mądrzejszy, ale nie był. Nie mogę się doczekać twojego przyjazdu.

I – Wiem. Ty i ja. Tylko my dwoje. Tak właśnie będzie. – Clint odwiesił słuchawkę. – A jeśli w to wierzysz, jesteś jeszcze głupsza, niż myślałem – dodał chwilę później.

– Nadal nie wierzę, jakoby Kelly naprawdę kontaktowała się ze swoją siostrą – upierał się Tony Realto. Brzmiało to nieco tak, jakby próbował przekonać samego siebie. Była trzecia po południu. On i Jed Gunther właśnie mieli wyjść od Frawleyów. – Wierzę jednak, że może nam powiedzieć coś o ludziach, u których była, albo miejscu, gdzie ją przetrzymywali. Cokolwiek, co nam pomoże. Dlatego, we śnie czy na jawie, każde wypowiedziane przez nią słowo powinno być przez kogoś zapisywane. Trzeba zastanawiać się nad każdym słowem, zadawać pytania. Może trafimy na coś, co wiąże się z porwaniem.

– Czy chociaż dopuszcza pan możliwość, że Kathy żyje? – nalegała Margaret.

– Pani Frawley, od tej pory będziemy się opierać w śledztwie na założeniu, że szukamy żywego dziecka. Aczkolwiek nie chciałbym tego ujawniać. Ten, kto ją przetrzymuje, myśli, że uwierzyliśmy w jej śmierć. To nam daje przewagę.

Po wyjściu dwóch funkcjonariuszy Kelly zaczęła zasypiać na podłodze obok lalek. Steve wsunął jej poduszkę pod głowę i przykrył, a Margaret usiadła po turecku przy córce.

– Czasem mała rozmawia z Kathy przez sen – wyjaśniła Sylvia Carlsonowi.

Doktor Harris i Carlson wciąż siedzieli przy stole w jadalni.

– Pani doktor – zaczął mówić powoli Carlson. – Jestem sceptyczny, jednak to wcale nie znaczy, że zachowanie Kelly mną nie wstrząsnęło. Owszem. Podobnie jak wszystkimi. Pytałem panią już o to, ale spytam ponownie. Wiem, że uwierzyła pani w komunikację telepatyczną między dziewczynkami, ale czy nie jest prawdopodobne, że Kelly po prostu przypomina sobie sytuacje z czasu, kiedy były przetrzymywane razem z siostrą? To przecież wystarczy, by wyjaśnić wszystko, co robi i mówi?

– Kiedy Kelly została odnaleziona, miała na ramieniu siniak – odrzekła beznamyślnym tonem doktor Harris. – Rozpoznałam ślad po mocnym uszczyknięciu, a z mojego doświadczenia wynika, że tego typu przemocy dopuszczają się najczęściej kobiety. Wczoraj po południu Kelly nagle zaczęła krzyczeć. Steve pomyślał, że uderzyła się o stolik w przedpokoju, Margaret natomiast była zdania, że to reakcja na ból Kathy. Zaraz po tym zdarzeniu pojechała do sklepu, żeby porozmawiać z ekspedientką.

Agencji Carlson, Kelly ma kolejny paskudny ślad. Świeży. I mogłabym przysiąc, że to rezultat uszczyplenia. Może pan wierzyć lub nie, ale według mnie to Kathy ktoś uszczyplnął.

Walter Carlson odziedziczył wrodzoną powściągliwość po szwedzkich przodkach, a podczas szkoleń agentów FBI uczono nie okazywać emocji...

– Jeżeli pani się nie myli... – zaczął powoli.

– Nie myślę się, agencie Carlson.

– Kathy jest przetrzymywana przez jakąś agresywną kobietę.

– Cieszę się, że pan to rozumie. Równie niebezpieczna jest jednak choroba dziewczynki. Proszę sobie przypomnieć, jak Kelly zajmowała się lalką. Leczyła ją z gorączki. Dlatego kładła jej na głowę mokry ręcznik. Margaret robi tak czasem, kiedy któraś z małych ma podwyższoną temperaturę.

– Jedna z dziewczynek? One nie chorują jednocześnie?

– Są dwiema odrębnymi istotami. Mimo to muszę panu powiedzieć, że Kelly wczoraj mocno i często kaszlała, a z całą pewnością jest zupełnie zdrowa. Nie było żadnej fizycznej przyczyny niewydolności górnych dróg oddechowych. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że identyfikowała się z siostrą. Bardzo mnie niepokoi stan zdrowia Kathy.

– Sylvio... – Margaret wróciła do jadalni.

– Czy Kelly coś powiedziała? – spytała niecierpliwie lekarka.

Nie, ale chcę, żebyś posiedziała przy niej ze Steve'em. Agencie Carlson, to znaczy Walterze, czy zawieszysz mnie do tego sklepu, w którym kupiłam dziewczynkom sukienki? Nie daje mi to spokoju. Wczoraj byłam na wpół przytomna, bo wiedziałam, że ktoś skrzywdził Kathy. Muszę porozmawiać z tą sprzedawczynią. Nadal sądzę, że ona coś wie. Coś podejrzewa. Wczoraj miała wolne, ale dziś pracuje. A nawet jeśli jej nie będzie, to na pewno podadzą numer telefonu i adres. Jakaś kobieta kupowała ubranka dla trzyletnich bliźniaczek, nie znając ich rozmiaru. Niemal w tym samym czasie, kiedy ja tam byłam. Czyli na krótko przed porwaniem. A może to nie był zbieg okoliczności? Ekspedientka uznała to za niezwykle, na tyle, żeby o tym wspomnieć.

Carlson nie widział sensu, by się sprzeciwiać. Na twarzy Margaret Frawley malowała się desperacja matki zdecydowanej za wszelką cenę walczyć o swoje dziecko.

– Chodźmy – powiedział. – Nie obchodzi mnie, gdzie jest ta ekspedientka. Znajdziemy ją i wypytamy.

Kobziarz co pół godziny wybierał numer Clinta. Piętnaście minut po telefonie Angie spróbował znowu – Skontaktowała się z tobą jeszcze raz? – spytał.

– Jest na Cape Cod. Lecę do Bostonu. Wypożyczę tam samochód, żeby dojechać na miejsce.

– Gdzie się zatrzymała?

– W motelu w Chatham. Już miała bliskie spotkanie z jakimś gliną.

– W jakim motelu?

– Nazywa się Pod Muszelką.

– Co zamierzasz zrobić, jak ją znajdziesz?

– To, co myślisz. Słuchaj, taksówkarz trąbi. Nie może przejechać.

– A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o nas. Powodzenia, Clint.

Kobziarz przerwał połączenie, odczekał chwilę, po czym zadzwonił do firmy czarterowej.

– Chciałbym zamówić lot. Za godzinę z Teterboro. Lądowanie będzie na lotnisku jak najbliżej Chatham, na Cape Cod – zadysponował.

Sześćdziesięcioletnia Elsie Stone przez cały dzień nie miała czasu przejrzeć gazety. W McDonalddie obok Galerii Cape Cod był dziś wyjątkowy ruch, a prosto po pracy pojechała do domu córki w Yarmouth, aby zabrać swoją sześciolletnią wnuczkę. Elsie często mówiła małej Debby, że mogłyby razem konie kraść. Zawsze bardzo chętnie spędzała czas z dziewczynką. Z wielkim zainteresowaniem śledziła teraz sprawę uprowadzenia bliźniaczek. Wolała nawet nie myśleć, jak by się czuła, gdyby ktoś porwał i zamordował Debby. To była zbyt okrutna wizja. Frawleyowie odzyskali przynajmniej jedną z córek... Ale... Boże, to wciąż zbyt okropne.

Dziś wzięła Debby do siebie, do Hyannis. Piekły ciasteczka.

– Jak się miewa twój wymyślony przyjaciel? – spytała wnuczkę. Debby właśnie układała łyżką porcje masy z wiórkami czekoladowymi na blaszce.

– Ojejku, babcia, zapomniałaś?! Nie mam już wymyślonego przyjaciela. Miałam, kiedy byłam mała. – Debby potrząsnęła potępiająco jasnobrązowymi lokami.

– No rzeczywiście. – Elsie zmrużyła oczy w uśmiechu. – Chyba przypomniał mi się ten twój wymyślony przyjaciel, bo dziś w restauracji był taki mały chłopczyk. Stevie. On ma wymyśloną przyjaciółkę o imieniu Kathy.

– Zrobię bardzo wielkie ciacho – ogłosiła Debby.

No to sobie pogadałyśmy, pomyślała Elsie. Zabawne, jak ten maluch utkwiał mi w pamięci. Jego matka chyba bardzo się spieszyła. Nie dała nawet biednemu dzieciakowi dokończyć kanapki.

Wstawiły blaszkę do piekarnika.

– Dobrze, Debs, teraz musimy poczekać. Babcia poczyta sobie przez kilka minut gazetkę. A ty możesz pokolorować następną stronę w „barbiowej” książeczce.

Elsie rozsiała się wygodnie w fotelu i otworzyła gazetę. Na pierwszej stronie był artykuł na temat Frawleyów. „Policja na tropie porywaczy” – oznajmiał nagłówek. Wzruszyła się, patrząc na zdjęcie dziewczynek. Zaczęła czytać artykuł. Pisali, że rodzina unika kontaktów z prasą. FBI potwierdziło informację, że list samobójczy Lucasa Wohla zawierał jego przyznanie się do przypadkowego zabicia Kathy. Odciski palców Wohla

pomogły w odkryciu jego prawdziwej tożsamości. Nazywał się Jimmy Nelson, był złodziejem i oszustem. Odsiedział sześć lat w więzieniu Attica za serię włamań.

Elsie złożyła gazetę, potrząsając głową. Jeszcze raz popatrzyła na pierwszą stronę ze zdjęciem bliźniaczek. „Kathy i Kelly na przyjęciu z okazji trzecich urodzin” – głosił podpis. Co to jest... , zastanawiała się, oglądając fotografię. Było w niej coś znajomego. Tylko co?

Właśnie wtedy dał o sobie znać czasomierz w piekarniku. Debby odłożyła kredkę i podniosła głowę znad rysowanki.

– Babciu, babciu, ciasteczka się upiekły! – zawołała i popędziła do kuchni.

Elsie wstała, pozwalając, by gazeta upadła na podłogę, i poszła za wnuczką.

Kapitan Jed Gunther prosto z domu Frawleyów pojechał na posterunek w Ridgefield. Był bardziej wstrząśnięty tym, co zobaczył, niż chciał dać komukolwiek poznać. Powtarzał sobie dla przypomnienia, że nie wierzy w język bliźniąt ani w telepatię. Kelly odgrywała wspomnienia z porwania, nic więcej. Świadczyło to tylko o jednym: Kathy żyła, kiedy Kelly widziała ją ostatni raz. Czyli zanim została zamknięta w samochodzie razem ze zwłokami Lucasa Wohla. Niemożliwe zatem, aby to on zabił dziewczynkę.

Zaparkował przed komisariatem i przebiegł do drzwi w strugach ulewnego deszczu. Po południu przejaśnienie, pomyślał z przekąsem o wczorajszej prognozie pogody. Jasne.

Funkcjonariusz przy wejściu poinformował go, że kapitan Martinson jest u siebie. Gunther powiedział przez interkom:

– Marty, tu Jed. Właśnie wyszedłem od Frawleyów i chciałbym z tobą chwilę pogadać.

– Pewnie, Jed. Wejdz.

Obaj byli w tym samym wieku, mieli po trzydzieści sześć lat, i znali się od przedszkola. W czasie studiów obaj, niezależnie od siebie, wybrali karierę w policji. Zdolności przywódcze, których nie brakowało żadnemu z nich, zaowocowały szybkimi i regularnymi awansami, Marty'ego w Wydziale Policji w Ridgefield, a Jeda w Policji Stanowej Connecticut. Przez lata mieli do czynienia z wieloma tragediami, niektóre z nich dotyczyły dzieci, ale porwaniem dla okupu zajmowali się po raz pierwszy. Ich jednostki ściśle ze sobą współpracowały w sprawie Frawleyów.

Podali sobie ręce. Gunther przysunął krzesło. Był wyższy od przyjaciela o kilka centymetrów, miał gęste i ciemne włosy, w przeciwieństwie do Martinsona, który zaczął przedwcześnie siwieć. Uważny obserwator dostrzegłby podobieństwo między dwoma przyjaciółmi. Każdy z nich roztaczał wokół siebie aurę inteligencji i pewności siebie.

– Jak poszło u Frawleyów? – spytał Martinson.

Jed zdał mu krótką relację z wcześniejszych wydarzeń, podsumowując:

– Sam wiesz, że to wyznanie Wohla jest podejrzone. Teraz już nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że Kathy żyła w czwartek rano,

kiedy znaleźliśmy jej siostrę w samochodzie. Dziś po raz kolejny rozejrzałem się dokładnie po domu Frawleyów. To oczywiste, że porwania musiały dokonać dwie osoby.

– Też ciągle do tego wracam – zgodził się Martinson. – W salonie nie ma zasłon ani firanek. Żaluzje były opuszczone do połowy. Mogli zajrzeć do środka i zobaczyć, że opiekunka siedzi na kanapie, rozmawiając przez telefon. Ten stary zamek w kuchni dałoby się podważyć kartą kredytową. Schody są zaraz obok drzwi, więc prawdopodobnie słusznie liczyli na to, że szybko dostaną się na górę. Pozostaje pytanie, czy specjalnie sprowokowali jedną z dziewczynek do płaczu, żeby ściągnąć opiekunkę. Moim zdaniem tak właśnie było.

Gunther pokiwał głową.

– Też tak uważam. Wyłączyli światło w korytarzu na górze i mieli przygotowany chloroform do uspiania dziewczyny. Mogli założyć maski, żeby nie widziała ich twarzy. Nie ma mowy, żeby ryzykowali łażenie po piętrze i zagładanie do wszystkich pokoi. Musieli wiedzieć, gdzie jest sypialnia dziewczynek. Z tego wniosek, że przynajmniej jeden z porywaczy był już wcześniej w tym domu. Tylko kiedy? Frawleyowie kupili go po śmierci starej pani Cunningham. Budynek wymagał remontu, dlatego zapłacili taką korzystną cenę.

– Ale niezależnie od tego, jak dużo wymagał pracy, musiał przejść inspekcję, żeby mógł zostać wyceniony – zauważył Martinson.

– Właśnie dlatego przyszedłem – odparł Gunther. – Przeglądałem raporty agencji nieruchomości, ale chciałbym, żebyśmy przejrzeni je wspólnie jeszcze raz. Ty i twoi ludzie znacie to miasto na wylot. Jak myślisz: czy istnieje choćby najmniejsza szansa, że ktoś zdobył plan domu tuż przed wprowadzeniem się Frawleyów? Korytarz na górze jest długi, podłoga strasznie trzeszczy. Zawiasy u drzwi są nienaoliwione i skrzypią. Frawleyowie nie używają trzech sypialni na górze. Są cały czas zamknięte. Porywacze musieli wiedzieć, że dziewczynki śpią w jednym z dwóch pokoi na samym końcu holu.

– Rozmawialiśmy z rzeczoznawcą – powiedział powoli Martinson. – Mieszka tu od trzydziestu lat. Nikt obcy nie wchodził podczas jego inspekcji do tego domu. Dwa dni przed przyjazdem Frawleyów agencja nieruchomości wynajęła firmę sprząającą. To mała rodzinna firma z okolicy, mogą za nich ręczyć osobiście.

– A co z Franklinem Baileyem? Brał w tym jakiś udział?

– Nie wiem, jakie jest zdanie federalnych. Ja uważam, że absolutnie

nie. Słyszałem, że biedak jest w stanie przedzawałowym.

Jed wstał.

– Pojadę do biura ponownie przejrzeć akta. Może coś przeoczyliśmy. Marty, jeszcze raz powtarzam: nie wierzę w telepatię. A pamiętasz kaszel Kathy, który słyszeliśmy z taśmy? Nawet jeśli dziewczynka żyje, jest bardzo chora. Ten list samobójczy może się okazać samosprawdzającą przepowiednią. Wcale nie muszą mieć zamiaru jej zabić, wystarczy że nie zaprowadzą jej do lekarza. A na pewno te go nie zrobią, bo zdjęcie małej jest we wszystkich gazetach. Obawiam się, że bez pomocy medycznej dziecko nie ma najmniejszych szans na przeżycie.

Clint dojechał na lotnisko La Guardia. Poprosił taksówkarza, aby wysadził go przy wejściu do hali lotów międzynarodowych. Nie chciał, żeby kierowca mógł potem zeznać, że przywiózł klienta pod halę odlotów krajowych, z której wylatują tylko samoloty do Bostonu i Waszyngtonu.

Zapłacił za kurs kartą. Spocił się na myśl, że Angie mogła robić jeszcze jakieś zakupy przed wyjazdem i wyczerpała limit kredytu. Gdyby tak było, musiałby wydać gotówkę. Całe osiemdziesiąt dolarów, co do grosza.

Ale karta została zaakceptowana bez problemów. Odetchnął z ulgą.

Narastała w nim wściekłość na Angie. Był jak wulkan na krawędzi wybuchu. Gdyby oddali obie smarkule i podzielili się pieniędzmi, Lucas miałby swoją wypożyczalnię limuzyn i woziłby Baileya tak jak do tej pory. A w przyszłym tygodniu Clint wyjechałby razem z Angie do tej lipnej pracy na Florydę. Federalni nic by na nich nie znaleźli.

A tak, nie dość że zabiła Lucasa, to jeszcze pozbawiła Clinta fałszywej tożsamości. Ile czasu zajmie FBI dotarcie do starego kumpla Lucasa z celi?, zastanawiał się. Bardzo niewiele. Znał ich metody. A poza tym głupia, tępą Angie zapłaciła za ciuchy dzieciaków jego kartą kredytową i nawet ta ćwokowata sprzedawczyni załapała, że coś jest nie tak!

Bagaż Clinta składał się jedynie z małej reklamówki zawierającej parę koszul, szczoteczkę do zębów i przybory do golenia. Downes wszedł do hali lotów międzynarodowych, po czym wyszedł i wsiadł do autobusu, który zawiózł go do hali lotów krajowych. Clint kupił bilet elektroniczny. Następny samolot do Bostonu odlatywał o osiemnastej. Miał jeszcze czterdzieści minut. Nie jadł jeszcze obiadu, poszedł więc do baru. Zamówił hot doga, frytki i kawę. Napiłby się szkockiej, ale nagroda będzie później. Łapczywie wgrzył się w parówkę i popił wielkim haustem kawy. I pomyśleć, że zaledwie dziesięć dni temu siedział razem z Lucasem w swojej kuchni nad butelką szkockiej, ciesząc się, że wszystko tak gładko poszło.

Ta głupia Angie, pomyślał z nienawiścią. Już zdążyła wpaść na jakiegoś gliniarza, teraz tamci mają numery rejestracyjne furgonetki. Założę się, że jej szukają. Szybko skończył jeść, zerknął na rachunek i rzucił na stół garść wymiętoszonych jednodolarówek. Zostawił kelnerce trzydzieści osiem centów napiwku. Zsunął się ze stołka. Kurtka podwinęła

mu się na brzuchu, więc obciągnął ją i powłócząc nogami, poczłapał w stronę bramki.

Rosita, studentka college'u, która obsługiwała stolik Clint'a, patrzyła za nim z pogardą. Wciąż ma musztardę na tej nalanej twarzy, pomyślała. Wolałabym się powiesić, niż żeby taki niechluj wracał do mnie do domu pod koniec dnia. No cóż, wzruszyła ramionami, przynajmniej wiadomo, że nie jest terrorystą. Jeżeli ktokolwiek jest całkowicie nieszkodliwy, to ten gamoń.

Alan Hart, kierownik nocnej zmiany w motelu Soundview w Hyannis, zaczął pracę o dziewiętnastej. David Toomey od razu mu powiedział, że Linda Hagen, ta z A-49, zgłosiła Samowi Tyronowi kradzież fotelika samochodowego.

– Jestem pewien, że kłamała – oświadczył Toomey. – Dam sobie głowę uciąć, że nigdy nie miała żadnego fotelika. Al, może miałeś okazję przyjrzeć się jej samochodowi wczoraj, kiedy się wprowadzała?

– Tak. – Hart zmarszczył brwi. – Zawsze zwracam uwagę na pojazd, wiesz przecież. Dlatego zamontowałem nową lampę na zewnątrz. Ta niechlujna kobieta zameldowała się parę minut po północy. Dokładnie przyjrzałem się furgonetce i nie zauważyłem nawet żadnego dziecka. Musiało spać na tylnym siedzeniu. Ale fotelika nie było z całą pewnością.

– Bardzo mnie wkurzyła wizyta Sama Tyrona – mówił wciąż zdenerwowany Toomey. – Pytał, czy mieliśmy jeszcze jakieś problemy ze złodziejami. Rozmawiałem z tą Hagen po jego odejściu. Ma chorego dzieciaka, na oko nie więcej niż trzy-, czteroletniego. Poradziłem, żeby pojechała z nim na pogotowie. Wyglądał, jakby lada chwila miał dostać ataku astmy.

– I co, pojechała?

– Nie wiem. Powiedziała, że poczeka na matkę i pojedą razem.

– Zapłaciła za pobyt do jutra rana. Gotówką. Zwitkiem dwudziestodolarówek. Pomyślałem, że ma zamiar sprowadzić sobie tutaj faceta. I co, wróciła z dzieciakiem?

– Nie wiem. Chcę zapukać tam do niej i sprawdzić.

– Myślisz, że coś z nią nie tak?

– Ona nic mnie nie obchodzi, Al. Wydaje mi się tylko, że nie zdaje sobie sprawy, w jak ciężkim stanie jest to dziecko. Jeśli jej nie ma, to będę się zbierał, ale wstąpię po drodze na posterunek i powiem im, że nie było żadnej kradzieży wczoraj w nocy.

– Dobrze. Będę miał na nią oko, jak wróci.

David Toomey machnął ręką i wyszedł. Poszedł prosto do pokoju A-49 na parterze. W pomieszczeniu było ciemno. Zapukał, poczekał chwilę, a potem, nie wahając się długo, wyjął swój uniwersalny klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wyglądało na to, że Linda Hagen jeszcze wróci. Na podłodze została

rozbebeszona walizka z kobiecymi fatalaszkami, na łóżku dziecięca kurteczka. Toomey wywrócił oczami. Leżała w tym samym miejscu co po południu. Ta baba najwyraźniej nie ubrała dziecka przed wyjściem, może tylko owinęła je kocem. Zajrzał do szafy. Brakowało dodatkowego koca. Skinął głową. Dobrze zgadywał.

Poszedł do łazienki. Na umywalce stały kosmetyki i przybory toaletowe. Zamierza wrócić, pomyślał. Może małego zatrzymali w szpitalu. David miał taką nadzieję. Nic tu po nim. Kiedy przechodził przez pokój, coś na podłodze przykuło jego wzrok. Banknot dwudziestodolarowy.

Pomarańczowo-brązowa narzuta na łóżku była podwinięta. Toomey pochylił się, żeby ją poprawić i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Pod łóżkiem poniewierało się co najmniej tuzin pogniecionych dwudziestodolarówek. Wstał wolno, nie dotykając pieniędzy. Ta kobieta to niezłe ziółko, pomyślał. Musiała trzymać pieniądze w torbie pod łóżkiem, pewnie nawet nie wie, że części brakuje.

Wyszedł z pokoju, potrząsając głową. Był na nogach cały dzień i nie mógł się doczekać powrotu do domu. Może by po prostu zadzwonić na posterunek, pomyślał. Postanowił jednak wstąpić tam osobiście. Niech odnotują w aktach, że w moim motelu nie było żadnej kradzieży. A jeśli będą chcieli ścigać tę Hagen za fałszywe zeznania, to proszę bardzo.

– Lila zwolniła się dziś wcześniej – wyjaśniła Margaret i Carlsonowi Joan Howell w sklepie Abby. – Wyszła w przerwie obiadowej, żeby zrobić jakieś zakupy czy coś. Wróciła cała przemoczona. Spytałam ją, co to za pilna sprawa, że tak nagle wybiegła bez parasola, ale powiedziała, że to było nieporozumienie. Puściłam ją wcześniej, bo chyba się przeziębila.

Margaret zacisnęła usta, by powstrzymać cisnący się na nie krzyk. Ledwie zniosła współczujące pytania Howell o samopoczucie i kondolencje z powodu Kathy.

– Pani Howell, potrzebuję numeru telefonu komórkowego i stacjonarnego pani Jackson, a także jej adresu. Natychmiast – wtrącił się Carlson, kiedy Joan przerwała dla nabrania oddechu.

Kierowniczka wyglądała na zmieszaną. Rozejrzała się wokół. W sobotę po południu jak zwykle było dużo klientów. Ludzie stojący najbliżej obserwowali ich z wyraźną ciekawością.

– Oczywiście – powiedziała. – Oczywiście. To znaczy, mam nadzieję, że Lila nie narobiła sobie żadnych kłopotów. To najmilsza dziewczyna, jaką znam. Mądra! Ambitna! Ciągle jej powtarzam: „Lila, ani mi się waź otwierać własnego sklepu, słyszysz? Wygryziesz nas z interesu”.

Widząc wyraz twarzy Margaret i Carlsona, przerwała rozważania na temat świetlanej przyszłości Liii. – Proszę za mną do biura.

W malutkim pomieszczeniu ledwo mieściły się biurko, krzesło i szafka na dokumenty. Siwowłosa kobieta około sześćdziesiątki spojrzała na nich znad okularów.

– Jean, mogłabyś podać pani Frawley numery telefonów i adres Liii?

– poleciała pani Howell. Jej ton sugerował, żeby tamta zrobiła to szybko.

Wyrazy współczucia z powodu utraty córeczki i radości z powodu odzyskania drugiej zamarły na ustach Jean Wagner na widok wyrazu twarzy Margaret.

– Zapiszę pani na kartce – powiedziała zamiast tego. Margaret cudem powstrzymała się, żeby nie wyrwać jej z ręki kartki z adresem.

Wymruczała zdawkowe podziękowanie i wyszła razem z Carlsonem.

– Co to miało znaczyć? – spytała Jean.

– Ten mężczyzna to agent FBI. Nic mi nie chcieli powiedzieć. Ale kiedy pani Frawley przyszła tu wczoraj, była bardzo zdenerwowana,

mówiła, że wcześniej Lila sprzedała ubranka dla bliźniąt jakiejś kobiecie, która nie miała pojęcia, jaki rozmiar noszą dzieci. Nie wiem, czemu to dla nich takie ważne. Między nami mówiąc, uważam że biedna Margaret Frawley powinna brać coś, co pomoże jej zapomnieć, dopóki nie zacznie radzić sobie z sytuacją. I położyć się do łóżka. Wiem, co teraz czuje. Mamy w kościele grupę wsparcia. Nie wiem, jakbym sobie bez niej poradziła po śmierci mamy.

Jean Wagner wzniosła oczy do nieba za plecami kierowniczkii. Matka Joan miała dziewięćdziesiąt sześć lat i nieźle dała córce popalić, zanim litościwy Bóg powołał ją przed swoje oblicze. Ale jeszcze bardziej zaskakujący był ciąg dalszy tego, co mówiła szefowa. Lila sądziła, że tamta klientka jest jakaś podejrzana, przypomniała sobie księgowa. Poprosiła nawet o jej adres. Orchard Avenue 100, pani Downes.

Szefowa otworzyła drzwi, zbierając się do wyjścia. Jean chciała ją zatrzymać, ale dała spokój. Lila im powie, kim jest ta kobieta, zdecydowała. Joan nie jest w dobrym humorze. Nie byłaby zadowolona, że złamałam zasady i zdobyłam ten adres dla Liii. Lepiej, żeby pilnowała własnych spraw.

Angie położyła Kathy na poduszce na podłodze w łazience i odkręciła gorącą wodę. Małe pomieszczenie wypełniło się parą. Zdołała przekonać dziewczynkę do pogryzienia i połknięcia kolejnych dwóch pomarańczowych aspiryn dla dzieci.

Z każdą minutą Angie była coraz bardziej niespokojna.

– Ani mi się waż tutaj umierać – warknęła obcesowo. – Tylko te go mi brakuje: martwego dzieciaka i kolejnego wścibskiego kierownika motelu. Gdybym tylko mogła wcisnąć w ciebie trochę więcej tej penicyliny.

Wiedziała już, że Kathy jest prawdopodobnie uczulona na ten antybiotyk. Po tym, jak wmusiła w małą trochę lekarstwa, na ramionach i klatce piersiowej dziewczynki pojawiło się mnóstwo czerwonych krostek. Poniewczasie przypomniała sobie, że facet, z którym kiedyś mieszkała, też miał alergię na penicylinę. Dostawał identycznej wysypki.

– Rany, rzeczywiście jesteś uczulona? – spytała Kathy. – Nie powinniśmy były przyjeżdżać na Cape Cod. Miałam kiepski pomysł. Nie pomyślałam, że są tu tylko dwa mosty. W razie wpadki, żeby uciec, trzeba przez któryś przejechać, a przecież na pewno będą obstawione. Trzeba zapomnieć o starym Cape Cod.

Kathy nie otworzyła oczu. Z trudem chwyciła powietrze. Chciała do mamy, do domu. W myślach widziała Kelly siedzącą na podłodze obok lalek. Mówiła do niej, chciała wiedzieć, gdzie jest. Angie nie pozwalała Kathy porozumiewać się z siostrą, mimo to dziewczynka szepnęła:

– Cape Cod.

Kelly obudziła się, ale nie chciała wstać z podłogi w salonie. Sylvia Harris przyniosła tacę z mlekiem i ciasteczkami i postawiła ją na stoliku do zabawy. Kelly nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Steve siedział po turecku naprzeciwko dziewczynki. Również nie zmienił pozycji.

– Sylvio – przerwał milczenie – pamiętasz narodziny dziewczynek? Margaret musiała mieć cesarskie cięcie, a między prawym kciukiem Kelly, a lewym Kathy trzeba było przeciąć cienką błonę.

– Pamiętam, Steve. Sanie tylko bliźniaczkami jednojajowymi, ale w pewnym sensie syjamskimi.

– Sylvio, boję się zacząć wierzyć... – przerwał. – Wiesz, co mam na myśli. Teraz jednak, skoro nawet FBI dopuszcza możliwość, że Kathy żyje... Mój Boże, gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie ona jest, gdzie jej

szukać. Myślisz, że Kelly może to wiedzieć?

– Ja wiem – poinformowała ich dziewczynka.

Sylvia Harris ostrzegawczo uniosła dłoń w stronę Steve’a.

– Gdzie ona jest, Kelly? – spytała cicho, starając się nie okazywać emocji.

Kathy jest w starym Cape Cod. Właśnie mi powiedziała.

– Dziś rano Margaret opowiadała o swojej podróży wczorajszej nocy, kiedy miała to zaćmienie. Mówiła, że oprzytomniała, dopiero widząc drogowskaz na Cape Cod, wtedy zawróciła. Kelly była przy tej rozmowie – szepnęła Sylvia do Steve’a. – To wtedy usłyszała nazwę Cape Cod.

Kelly dostała ataku kaszlu i duszności. Sylvia chwyciła ją, przełożyła przez kolano i uderzyła między łopatki. Dziewczynka rozplakała się. Doktor Harris przytuliła ją.

– Przepraszam, małeństwo – powiedziała uspokajająco. – Myślałam, że się czymś zadławiłaś.

– Chcę do domu – chlipała Kelly. Do mamy.

Agent Carlson nacisnął dzwonek u drzwi skromnego domu w Danbury, w którym mieszkała Lila Jackson. Po drodze usiłował się do niej dodzwonić, ale telefon stacjonarny był zajęty, a komórkowego nie odbierała.

– Przynajmniej wiemy, że ktoś jest w domu – pocieszał Margaret.

Pokonując pięciokilometrową trasę do Danbury, znacznie prze kroczyli dozwoloną prędkość – Ona musi być w domu – denerwowała się Margaret. Usłyszeli kroki za drzwiami.

– Boże, spraw, żeby potrafiła nam pomóc – szepnęła teraz. Otworzyła im matka Liii. Powitalny uśmiech zniknął z jej twarzy na widok dwójki nieznajomych. Szybkim ruchem przymknęła drzwi i założyła łańcuch.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Carlson wyjął swoją legitymację.

– Nazywam się agent Walter Carlson – powiedział oficjalnym tonem. – A to Margaret Frawley, mama uprowadzonych bliźniaczek. Pani córka, Lila Jackson, obsługiwała ją przed porwaniem. Odbyły krótką pogawędkę i Lila wspomniała o poprzedniej klientce, która...

Cóż, w każdym razie podejrzewamy, że to mogło mieć coś wspólne go z porwaniem. Właśnie byliśmy w sklepie Abby. Pani Howell poinformowała nas, że Lila zwolniła się dziś wcześniej, ponieważ nie czuła się najlepiej. Musimy porozmawiać z pani córką.

Zmieszana matka Liii odpięła łańcuch i zaczęła się tłumaczyć:

– Bardzo przepraszam. W dzisiejszych czasach i w moim wieku trzeba być bardzo ostrożnym. Proszę wejść. Bardzo proszę. Lila leży na kanapie w salonie. Wejdźcie.

Ona musi nam pomóc. Dobry Boże, proszę, proszę, proszę. Margaret modliła się w duchu z całych sił. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Włosy, które wcześniej upięła w kok, teraz były w nieładzie. Pod oczami miała ogromne sińce kontrastujące z upiorną bledością twarzy. Oczy odzwierciedlały potworne zmęczenie i bezradność. Tik nerwowy w kąciu ust sprawiał, że drżała jej cała twarz. Wargi miała pogryzione i spuchnięte.

Nic dziwnego, że ta kobieta zamknęła drzwi na mój widok, pomyślała. Szybko jednak przestała się przejmować wyglądem. Weszli do salonu i ujrzeli opatuloną postać na kanapie. Lila miała na sobie swój ulubiony polarowy szlafrok i była owinięta kocem. Nogi wyciągnęła na otomanie i

popijała gorącą herbatę. Natychmiast rozpoznała Margaret.

– Pani Frawley! – Pochyliła się, aby odstawić kubek.

– Proszę nie wstawać – powiedziała Margaret. – Przykro mi, że nachodzimy panią w ten sposób, ale musimy porozmawiać. Chodzi o to, o czym mi pani wspomniała wtedy w sklepie, kiedy kupowałam dziewczynkom sukienki.

– Lila mi o tym opowiadała! – zawołała pani Jackson. – Chciała nawet pójść na policję, ale mój znajomy, Jim Gilbert, jej odradził, a on wie, co mówi, sam był policjantem.

– Panno Jackson, co chciała pani powiedzieć policji? – Ton Waltera Carlsona domagał się natychmiastowej precyzyjnej odpowiedzi.

Lila spojrzała najpierw na niego, potem na Margaret. W oczach pani Frawley zobaczyła zachłanną nadzieję. Wiedząc, że za chwilę ją rozczaruje, zwróciła się bezpośrednio do Carlsona.

– Tak, jak mówiłam pani Frawley tamtego wieczoru, tuż przed nią obsłużyłam inną kobietę. Też kupowała ubranka dla trzyletnich bliźniaczek. Powiedziała, że nie ma pojęcia, jaki rozmiar wziąć. Po porwaniu sprawdziłam, jak nazywa się ta kobieta, ale potem, jak mówi mama, Jim, który jest emerytowanym policjantem, uznał, że nie warto tego zgłaszać. – Popatrzyła na Margaret. – Dziś rano, kiedy usłyszałam o pani wczorajszej wizycie, postanowiłam zobaczyć się z tą klientką podczas przerwy obiadowej.

– Wie pani, gdzie ona jest? – spytała Margaret, z trudem łapiąc powietrze.

Kierowniczka sklepu wspomniała, że Lila nie potwierdziła swoich podejrzeń, przypomniał sobie ponuro Carlson.

– Ma na imię Angie. Mieszka z dozorcą klubu golfowego w stróżówce na terenie Dunbury Country Club. Zmyśliłam historyjkę, żeby usprawiedliwić swoją wizytę – że bluzeczki, które sprzedałam, były uszkodzone. Ten dozorca wszystko mi wytłumaczył. Angie pracuje jako opiekunka do dzieci, pojechała do Wisconsin z dwójką maluchów i ich matką. Dzieciaki nie są tak naprawdę bliźniętami, tylko jest między nimi mała różnica wieku. Matka jechała właśnie po Angie, kiedy okazało się, że zapomniała jednej z walizek. Zadzwoiła do niej, żeby skoczyła do sklepu i kupiła kilka niezbędnych rzeczy. To dlatego ta kobieta nie była pewna co do rozmiaru.

Margaret, która do tej pory stała, zrobiło się nagle słabo i opadła na najbliższy fotel. Ślepy zaułek, pomyślała. Nasza jedyna szansa okazała się

ślepym zaułkiem. Zamknęła oczy i po raz pierwszy poczuła, jak uchodzi z niej nadzieja na odnalezienie Kathy. Nim będzie za późno.

Walter Carlson jednak jeszcze się nie poddawał.

– Czy w domu były jakiegokolwiek ślady obecności dzieci, panno Jackson?

Lila potrząsnęła głową.

– To naprawdę bardzo mały dom; pokój dzienny, kuchnia połączona z jadalnią. Drzwi do sypialni były otwarte. Jestem pewna, że ten Downes był tam sam. Odniosłam wrażenie, że kobieta, której dzieci pilnuje Angie, tylko po nią wstąpiła i od razu wyjechały.

– Czy ten facet, Clint Downes, wydawał się pani zdenerwowany albo zaniepokojony? – pytał Carlson.

– Jim Gilbert zna jego i tę dziewczynę – wtrąciła się matka Liii. – Dlatego kazał Liii dać spokój.

To bez sensu, pomyślała Margaret. Bez sensu i nic nam nie da. Jej napięcie zmieniło się w tępy ból. Chcę wracać do domu, myślała. Chcę być z Kelly.

Lila odpowiedziała na pytanie Carlsona.

– Nie, nie zauważyłam, żeby ten Clint, czy jak mu tam, był zdenerwowany. Ale bardzo się pocił. Jest jednak gruby, więc zakładam, że zawsze mocno się poci. – Na jej twarzy pojawił się wyraz niesmaku. – Jego dziewczyna powinna mu kupić dezodorant. Śmierdział jak szatnia dla piłkarzy.

– Co pani powiedziała? – Margaret popatrzyła na nią w osłupieniu. Lila wyglądała na zmieszaną.

– Przepraszam, pani Frawley. Nie chciałam być trywialna. Dałabym wszystko, żeby pani pomóc.

– Pomogła pani! – krzyknęła nagle ożywiona Margaret. – Pomogła pani!

Szybko wstała z fotela i podeszła do Carlsona. Po minie agenta widziała, że on też wie, jak ważny jest ten mało subtelny komentarz Liii. Jedyne, co pamiętała opiekunka dziewczynek na temat napastnika, to właśnie intensywny zapach potu, jaki wydzielał, i fakt, że mężczyzna był gruby.

Kobziarz pospiesznie założył bluzę z kapturem i wielkie ciemne okulary. Chciał jak najszybciej znaleźć się na Cape Cod. Pojechał na lotnisko własnym samochodem i zaparkował pod halą. Pilot czekał, samolot stał na pasie startowym gotowy do odlotu. Kobziarz dowiedział się również, że na lotnisku w Chatham, zgodnie z jego życzeniem, jest już przygotowany samochód, nie zapomniano też o mapie okolicy. Samolot zostanie, aby zabrać go z powrotem, kiedy tylko tego zażąda.

Godzinę później, o dziewiętnastej, znalazł się na miejscu. Poczul się nieswojo pod gwiazdzistym niebem Cape Cod. Powietrze było zaskakująco rześkie. Nie padało. Z jakiegoś powodu spodziewał się, że powita go tak samo zachmurzone niebo i ulewny deszcz, jak w Nowym Jorku. Przynajmniej samochód okazał się dokładnie taki, jak tego oczekiwał, czarny sedan średniej wielkości, połowa samochodów na drogach tak wygląda. Przestudiował mapę. Motel Pod Muszelką musiał być gdzieś niedaleko.

Mam jeszcze jakąś godzinę, może więcej, myślał. Clint mógł zdążyć na samolot o siedemnastej trzydzieści. Jeśli nie, wyleciał tym o osiemnastej. Teraz jest pewnie w Bostonie i wypożycza samochód. Pilot mówił, że jazda z Bostonu do Chatham trwa około półtorej godziny. Kobziarz postanowił zaparkować gdzieś w pobliżu motelu i poczekać na tamtego.

Nie chciał pytać o numery rejestracyjne furgonetki, bo Downes mógłby zacząć coś podejrzywać. Jakoś sobie poradzi. Nie powinno być trudno znaleźć pojazd na parkingu. Lucas mówił, że to stare zdezelowane auto. No i oczywiście musiało mieć tablice z Connecticut.

Nigdy nie spotkał Angie ani Clinta. Znał ich tylko z opisu Lucasa. Niewykluczone, że podjął niepotrzebne ryzyko, przyjeżdżając tutaj. Downes miał zamiar sam pozbyć się dziewczyny i dziecka. Kobziarz mógłby pozwolić zatrzymać mu pieniądze. Nie w tym tkwił problem. Wolał, żeby wszyscy, którzy mieli cokolwiek wspólnego z porwaniem, pożegnali się z tym światem. Co prawda nikt poza Lucasem nie znał jego nazwiska ani wyglądu, jednak obawiał się, że Wohl wspomniał o nim Clintowi. Jeżeli tak, Downes będzie chciał to jakoś wykorzystać. Zwłaszcza kiedy skończą mu się pieniądze. Korek był większy, niż się spodziewał. To normalne w miejscowościach wypoczynkowych w

sezonie, uznał. Poza tym coraz więcej ludzi osiedla się tu na stałe. Zresztą kogo to obchodzi? Wreszcie zobaczył duży neon z napisem „Wolne pokoje”. Motel Pod Muszelką był biały z zielonymi okiennicami, sprawiał wrażenie nieco porządniejszego niż inne przydrożne hotele. Droga wjazdowa rozdzielała się, jedna ścieżka prowadziła do biura, druga na tyły budynku. Wybrał tę drugą. Starał się nie jechać zbyt szybko ani zbyt wolno, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Rozglądał się, wypatrując furgonetki. Był niemal pewien, że nie ma jej przed budynkiem. Z tyłu parkowało dużo więcej pojazdów. Pewnie większość należy do ludzi, którzy mieszkają w pokojach na drugim piętrze. W pewnym sensie to dobrze, uznał. Kiedy namierzy furgonetkę, będzie mógł zaparkować w pobliżu.

Gdyby Angie miała jakiś mózg, nie zaparkowałyby zbyt blisko budynku. Tablice rejestracyjne aut były zbyt dobrze widoczne w świetle padającym z ganku. Kobziarz jechał teraz bardzo wolno, przyglądając się uważnie mijanym pojazdom. Wreszcie dostrzegł samochód, który niemal na pewno należał do tamtych dwojga, ciemnobrązową furgonetkę, co najmniej dwunastoletnią, z wgnieceniem z boku i tablicami rejestracyjnymi Connecticut. W odległości jakichś pięciu aut dostrzegł wolne miejsce parkingowe. Zatrzymał się tam, wysiadł z sedana i podszedł do furgonetki, aby jej się dokładniej przyjrzeć. Wewnątrz zauważył dziecięcy fotelik.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze mnóstwo czasu. Poczł dojmujący głód i postanowił pójść do pobliskiej restauracji. W środku było tłoczno. Tym lepiej, pomyślał. Usiadł na jedynym wolnym miejscu, tuż przy ladzie, przy której sprzedawano dania na wynos. Sięgnął po menu. Stojąca obok klientka właśnie zamawiała hamburgera, czarną kawę i sorbet pomarańczowy. Kobziarz gwałtownie odwrócił głowę. Od razu rozpoznał ten szorstki, agresywny głos, jeszcze zanim spojrzał na chudą kobietę z niechlujnymi brązowymi włosami. Ukrył twarz za kartą dań. Wiedział, że się nie myli. To była Angie.

Biuro firmy sprzątającej mieściło się w piwnicy domu Staną Shaftera. Po konsultacji z Martym Martinsonem Jed Gunther postanowił jeszcze raz porozmawiać z Shafterem. Przejrzał zeznania dwóch synów Staną oraz sprzątaczek z długim stażem pracy, które były w domu Frawleyów na dzień przed ich przyjazdem. Wszyscy zgodnie twierdzili, że w ich obecności nikt inny tam nie przebywał ani nie wchodził.

Po powtórny przeczytaniu zeznań pracownic Shaftera Marty zwrócił uwagę na pewne przeoczenie. Stan był w budynku na rutynowej inspekcji. Jak sam zeznał, zajrzał sprawdzić postępy robót. Żaden z jego ludzi o tym nie wspomniał. Być może jeszcze kogoś nieświadomie pominęli. Na pewno warto popytać, zdecydował Marty.

Drzwi otworzył mu niski, dobrze zbudowany mężczyzna przed sześćdziesiątką. Miał gęstą grzywę marchewkoworudych włosów i wesołe brązowe oczy. Stan Shafter we własnej osobie. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby się gdzieś spieszył. Teraz też był ubrany w kurtkę. Albo gdzieś wychodził, albo właśnie wrócił.

Uniósł brwi na widok gościa.

– Wejdz, Marty, a może powinienem powiedzieć: kapitanie?

– Wolę Marty, Stan. Zabiorę ci tylko kilka minut, chyba że bardzo się spieszysz?

– Wróciłem trzy minuty temu i już nigdzie dziś nie wychodzę. Sonya zostawiła mi kartkę, że telefon służbowy dzwonił przez całe popołudnie, więc muszę odsłuchać wiadomości.

Marty podziękował swojej szczęśliwej gwiazdce, że nie zastał pani Shafter. Straszna z niej była gaduła i nałogowa plotkara. Zasypała go pytaniami na temat śledztwa. Zeszli do piwnicy, gdzie znajdowało się biuro firmy. Ściany były pokryte sosnową boazerią, która kojarzyła się Marty'emu z wystrojem babcinego salonu. Nad biurkiem wisiała galeryjka śmiesznych rysunków przedstawiających prace domowe.

– Mam nowe obrazki – pochwalił się Shafter. – Naprawdę śmieszne. Zobacz.

– Nie teraz – odparł Marty. – Stan, muszę porozmawiać z tobą o domu Frawleyów.

– Nie ma sprawy, ale twoi ludzie już nas maglowali na okoliczność tego porwania.

– Wiem, jednak zostało jeszcze parę spraw do wyjaśnienia.

Sprawdzamy każdą najmniejszą niezgodność. Bardzo chcemy dorwać tych drani. Chyba to rozumiesz.

– Rozumiem, ale mam nadzieję, że nie próbujesz insynuować, że ktoś z moich pracowników kłamał. – Ton głosu Staną i sposób, w jaki wypiął pierś, skojarzył się Marty’emu z zacietrzewionym kogutem.

– Nie, nie podejrzewam o nic żadnego z twoich ludzi – zapewnił prędko. – A sprawa, o którą mi chodzi, to pewnie i tak jeden z wielu ślepych zaułków. Mówiąc najprościej, uważamy, że ktoś poznał wcześniej rozkład domu, sprawdził, w którym pokoju śpią dziewczynki. Jak wiesz, dom jest spory, ma pięć sypialni, z których każda nadawałaby się dla dzieci, a jednak porwacze wiedzieli dokładnie, dokąd iść. Frawleyowie wprowadzili się dzień po waszym sprzątnięciu. Margaret Frawley zapewnia, że przed porwaniem nie przyjmowała nikogo obcego. Wątpliwe, aby ktoś ryzykował włamanie.

– To znaczy...

– To znaczy, że ktoś dokładnie wiedział, do którego pokoju na górze pójść. Wierzę, że nikt z twojej ekipy nigdy nie skłamałby celowo, ale zeznałeś, że pod koniec dnia przyszedłeś skontrolować ludzi. Żaden z pracowników o tym nie wspomniał.

– Na pewno myśleli, że chodzi wam tylko o obcych. Zaliczają mnie do załogi. Porozmawiaj z nimi znowu. Niedługo tu wrócą po swoje samochody.

– Wiedzieliście, który pokój jest przeznaczony dla dzieci?

– Wszyscy wiedzieliśmy. Rodzice mieli przyjechać wieczorem, żeby go pomalować. Stały tam puszki z niebieską farbą, a w kącie leżał zwinięty biały dywan. Przywieźli już nawet trochę zabawek i konia na biegunach.

– Rozmawiałeś z kimś o tym, Stan?

– Tylko z Sonyą. Znasz moją żonę, Marty. Mogłaby pracować u ciebie jako detektyw. Była kiedyś w tym domu. Dawno temu, kiedy stara pani Cunningham urządziła jakieś przyjęcie dobroczynne. Nie uwierzysz, ale po śmierci staruszki próbowała mnie nawet nakłonić do kupna tej rudery. Nie zgodziłem się.

Stan Shafter uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Sonya była bardzo podekscytowana wiadomością, że zamieszkają tam identyczne bliźniaczki. Chciała wiedzieć, który pokój zajmą, czy może rodzice szykują im oddzielne sypialnie i czym wytapetują ściany, bo

ona uważa, że wzorki z Kopciuszkiem są najodpowiedniejsze dla małych dziewczynek... Powiedziałem jej, że bliźniaczki dostaną wspólny pokój, ten duży w rogu. Powiedziałem też, że będzie miał niebieskie ściany i białą wykładzinę dywanową. A potem powiedziałem: „Sonya, pozwól mi się w spokoju napić piwa z Clintem”.

– Z Clintem?

– Z Clintem Downesem, dozorcą w Danbury Country Club. Znam go od lat. Co roku robimy generalne porządki w klubie przed otwarciem sezonu. Clint był tu akurat, kiedy wróciłem z domu Frawleyów, i został na piwo.

– Daj mi znać, jak sobie o czymś jeszcze przypominasz, dobra, Stan? – powiedział Marty, wstając pośpiesznie.

– Pewnie. Patrzę na nasze wnuki i próbuję sobie wyobrazić, że któreś z nich odchodzi na zawsze. Nie mogę znieść nawet myśli o tym.

– Rozumiem cię. – Marty zaczął już wchodzić na górę. – Stan, ten facet, Downes. Wiesz, gdzie on mieszka?

– Tak. W stróżówce na terenie klubu.

– Często cię odwiedza?

– Nie. Przyszedł mi powiedzieć, że dostał robotę na Florydzie i niedługo wyjeżdża. Pomyślał, że może znam kogoś, kto chciałby zająć jego miejsce w klubie. – Stan roześmiał się. – Sonya potrafi zanudzić większość słuchaczy, ale Clint był bardzo uprzejmy. Udawał wielkie zainteresowanie jej opowieściami na temat domu Frawleyów.

– Dobra. To na razie.

Po drodze na posterunek Martinson myślał o tym, czego dowiedział się od Shaftera. Danbury to nie mój teren, zadzwonię do Carlsona, postanowił. To pewnie kolejny ślepy zaułek, ale skoro wszyscy chwytni się każdego strzępka informacji, tego faceta też możemy sprawdzić.

W sobotę wieczorem ubrani po cywilnemu agenci Sean Walsh i Damon Philburn próbowali wtopić się w tłum pasażerów stojących przy taśmie bagażowej Galaxy Airlines w hali przylotów na lotnisku Newark Liberty. Obaj mieli taki sam znużony, wyczekujący wyraz twarzy, jak pasażerowie, którzy po długiej podróży nie mogą się doczekać odbioru bagaży. Tak naprawdę jednak obserwowali szczupłego mężczyznę w średnim wieku. Zatrzymali go, gdy tylko wziął do ręki czarną walizkę.

– FBI – zakomunikował Walsh. – Pójdzie pan z nami dobrowolnie czy mamy zrobić scenę?

Mężczyzna nie odezwał się, tylko skinął głową i poszedł za nimi. Zaprowadzili go do biura w części dla personelu, gdzie inni agenci pilnowali Danny'ego Hamiltona, wystraszonego dwudziestolatka w uniformie tragarza. Na widok zakutego w kajdanki chłopaka mężczyzna, którego wprowadzili Walsh i Philburn, zbladł i wymamrotał:

– Nic nie powiem. Żądam adwokata.

Walsh położył walizkę na stole i ją otworzył. Wyjął na krzesło schludnie złożoną bieliznę oraz ubrania, po czym wziął nóż i przeciął podszewkę w podwójnym dnie. Oczom zebranych ukazały się duże paczki z białym proszkiem. Sean Walsh uśmiechnął się do przemytnika.

– Będzie pan potrzebował adwokata.

Rozwój sytuacji zaskoczył wszystkich. Agenci Walsh i Philburn przyszli na lotnisko, by porozmawiać ze współpracownikami Richiego Masona. W nadziei, że trafią na jakiś strzępek informacji łączący starszego brata Steve'a Frawleya z porwaniem bliźniaczek. Podczas rozmowy z Hamiltonem od razu zauważyli, że chłopak jest przerażony nieadekwatnie do sytuacji. Wzięli go w krzyżowy ogień pytań. Stanowczo zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek do powiedzenia na temat uprowadzonych dzieci, przyznał natomiast, że wie o przesyłkach z kokainą, które regularnie odbiera Richie Mason. Wyjawił, że kilkakrotnie dostawał od niego pieniądze za milczenie. Powiedział również, że dziś późnym popołudniem Richie zadzwonił do niego. Spodziewał się kolejnego transportu, a nie mógł przyjechać po odbiór osobiście. Poprosił Hamiltona, żeby spotkał się z kurierem przy taśmie bagażowej. Chłopak rozpoznał tamtego z opisu, zresztą wcześniej widział już go w towarzystwie Richiego. Miał odebrać walizkę z towarem od łącznika i

ukryć ją w swoim mieszkaniu. Po kilku dniach ktoś skontaktowałby się z nim, aby uzgodnić szczegóły przekazania przesyłki.

Zadzwońnię komórka Seana Walsh. Odebrał, posłuchał chwilę, po czym zwrócił się do Philburna.

Masona nie ma w mieszkaniu w Clifton. Myślę, że zwinął żagle.

– Margaret, to może być kolejna ślepa uliczka – przestrzegali agent Carlson. Prosto z domu Lili Jackson pojechali do stróżówki, w której mieszkał Clint Downes.

– To nie jest kolejna ślepa uliczka – upierała się Margaret. – Jedyne, czego Trish była pewna po napadzie, to właśnie tego, że napastnik cuchnął potem i był gruby. Wiedziała, po prostu miała przeczucie, że musimy porozmawiać z tą ekspedientką, że ona coś wie. Czemu nie poszłam do niej wcześniej?

– Nasi ludzie sprawdzają kartotekę Downesa. Wkrótce będziemy wiedzieć, czy jest notowany. Ale zrozum, że nie mamy nakazu. Nie możemy wejść do stróżówki pod nieobecność lokatora. Trochę potrwa, nim dojedzie tu któryś z naszych agentów, więc będzie na nas czekał policyjny radiowóz z Danbury.

Margaret nie odpowiedziała. Czemu zwlekałam tyle czasu? Mogłam od razu porozmawiać z Lila, robiła sobie wyrzuty. Gdzie ta kobieta, Angie? Czy jest z nią Kathy? W głowie roilo jej się od pytań.

Niebo wreszcie pojaśniało, popołudniowy wiatr przeganiał chmury. Było już po siedemnastej, zaczynało się ściemniać. Margaret zadzwoniła do domu. Sylvia Harris powiedziała, że Kelly śpi. Wcześniej próbowała się porozumiewać z Kathy, dostała też silnego ataku kaszlu.

Lila Jackson uprzedzała Carlsona, że będzie musiał zaparkować przed szlabanem. Agent polecił Margaret, żeby czekała w samochodzie.

– Jeśli Downes jest zamieszany w porwanie, to może być niebezpieczny.

– Jeżeli ten facet tam jest, to zamierzam z nim porozmawiać. Jak nie zamierzasz użyć wobec mnie siły fizycznej, lepiej się z tym pogódź.

Radiowóz zaparkował obok nich. Wsiadło z niego dwóch policjantów, jeden z naszywkami sierżanta. Carlson krótko wprowadził ich w sytuację. Opowiedział o zakupach w sklepie Abby oraz o tym, w jaki sposób zeznania opiekunki bliźniaczek zbiegły się z opisem Clinta, który dostali od Lili. Mieli podejrzanego: otyłego, obficie pocącego się mężczyznę. Policjanci również starali się przekonać Margaret, aby czekała w samochodzie, ale była nieugięta. Nakazali jej więc trzymać się z boku, dopóki nie nabiorą pewności, że Clint nie planuje ataku.

Okazało się jednak, że środki ostrożności są zbyt liczne. W domu

panowała ciemność, otwarty garaż świecił pustką. Gorzko rozczarowana Margaret przyglądała się, jak policjanci chodzą od okna do okna, przyświecając sobie latarkami. Dziś koło pierwszej ten człowiek był w domu, myślała. Zaledwie cztery godziny temu. Czyżby Lila go spłoszyła? Dokąd pojechał? Dokąd się wybrała ta kobieta, Angie? Weszła do garażu i zapaliła światło. Przy ścianie, po prawej stronie stało rozłożone na części łóżeczko ze szczebelkami. Jej uwagę zwrócił materac. Był podwójny. Czy kupiono go dla dwójki dzieci? Przysunęła twarz do materaca i poczuła znajomy zapach maści rozgrzewającej. Odwróciła się na pięcie i zawołała do nadbiegających od strony domu funkcjonariuszy:

– One tu były! To tutaj je przetrzymywali! Gdzie oni są? Musicie się dowiedzieć, dokąd zabrali Kathy!

Natychmiast po wyjściu z samolotu na lotnisku Logan w Bostonie Clint skierował się do hali, w której znajdowały się wypożyczalnie samochodów. Świadomy, że jeśli Angie przekroczyła limit karty kredytowej, nie będzie mógł wypożyczyć wozu, uważnie przyjrzał się cenom, zanim wybrał najtańszą wypożyczalnię i najtańszy pojazd. Mam milion dolców gotówką, pomyślał, a jeśli czytnik odrzuci kartę, będę musiał ukraść samochód, żeby się dostać na Cape. Na szczęście nie zaszła taka konieczność.

– Macie mapy okręgu Maine? – spytał.

– Są tam – odpowiedział mężczyzna za ladą i obojętnie wskazał ręką w stronę stojaka.

Clint wziął swoją kopię rachunku i poszedł we wskazanym kierunku. Ukradkiem wybrał mapę Cape Cod i schował pod kurtkę. Dwadzieścia minut później upychał swoje obfite kształty w wynajętym małym samochodzie. Włączył lampkę nad głową i rozłożył mapę. Droga była mniej więcej taka, jaką pamiętał – jakieś półtorej godziny jazdy. O tej porze roku nie powinno być tłoku na szosach.

Uruchomił auto. Angie pamiętała jego opowieści o Cape Cod. Ona niczego nie zapomina, pomyślał. Nie powiedział jej jednak, że był tu także z Lucasem, „służbowo”. Wspólnik przywiózł tu kiedyś jakiegoś vipa na weekend i musiał wynająć pokój w motelu, żeby na niego poczekać. To dało mu czas na zapoznanie się z okolicą. Wrócili kilka miesięcy później na włam do willi w Osterville, wspominał. Snobistyczne sąsiedztwo. Ale nie wynieśli tyle, ile Lucas się spodziewał. Właściwie za swój udział Clint dostał grosze. Dlatego tym razem domagał się równego podziału.

Wyjechał z lotniska. Według mapy powinien skrócić w lewo do tunelu Teda Williamsa, a potem wypatrywać drogowskazu na Cape Cod. Jeżeli dobrze sprawdził, to trasa numer 3 prowadziła prosto na most Sagamore, pomyślał. Potem należało pojechać autostradą MidCape na trasę 137, która doprowadzi go do drogi numer 28. Cieszył się z ładnej bostońskiej pogody i dobrej widoczności. Później mogło się to okazać problemem, jednak nie takim, jakiego nie da się rozwiązać. Pomyślał, że powinien się gdzieś zatrzymać i zadzwonić do Angie. Powiedzieć jej, że dotrze na miejsce około dziewiętej trzydzięci. Po raz kolejny przeklął ją w myślach za to, że zabrała obie komórki.

Zobaczył drogowskaz na Cape Cod już kilka minut po wyjeździe z tunelu. Może to lepiej, że nie miał telefonu, uznał. Angie to na swój szalony sposób sprytna sztuka. Jeszcze by się zorientowała, że równie dobrze może sama się pozbyć małej i zwać z całą gotówką. Przecież wcale nie musiałyby na niego czekać. Na tę myśl mocniej nacisnął pedał gazu.

W weekendy Geoffrey Sussex Banks zwykle opuszczał Bel-Air. Wyjeżdżał do swojego domu w Palm Springs. Tej soboty został w Los Angeles. Po powrocie z popołudniowej partii golfa zastał w rezydencji agenta FBI.

– Dał mi swoją wizytówkę, proszę pana. Oto ona – powiedziała gosposia i wręczyła mu kartkę. – Przykro mi.

– Dziękuję, Conchito.

Zatrudnił Conchitę i Manuela wiele lat temu, kiedy jeszcze byli z Theresą małżeństwem. Oboje ubóstwiali jego żonę i nie kryli zachwytu, kiedy osiem miesięcy później dowiedzieli się o bliźniaczej ciąży. A po zniknięciu Theresy łudzili się niegasnącą nadzieją, że któregoś dnia usłyszą zgrzyt klucza w zamku i ich pracodawczyni pojawi się na progu.

– Może urodziła dzieci i dostała amnezji. Nagle odzyska pamięć i wróci do domu razem z chłopcami – modliła się Conchita.

Wiedziała jednak, że skoro w domu pojawia się FBI, to tylko po to, aby zadawać jeszcze więcej pytań na temat zniknięcia pani Banks, albo, co gorsza, zawiadomić, że po tych wszystkich latach znaleziono jej doczesne szczątki.

Geoff przygotowywał się psychicznie na taką właśnie wiadomość. Poszedł prosto do biblioteki.

Dominick Telesco z kwatery FBI w Los Angeles był agentem od dziesięciu lat. Dobrze znał Geoff'a Sussexa Banksa z rubryki biznesowej „L. A. Times”: międzynarodowy bankier, filantrop, przystojny lew salonowy, którego młoda ciężarna żona zniknęła siedemnaście lat temu, jadąc na przyjęcie.

Banks miał teraz prawie pięćdziesiąt lat. To znaczy, że w chwili zniknięcia żony był w moim wieku. Miał trzydzieści dwa lata, rozmyślał Telesco, wyglądając przez okno na pole golfowe. Ciekawe, dlaczego nigdy nie ożenił się ponownie? Musi podobać się kobietom.

– Agent Telesco?

Dominick odwrócił się szybko od okna, nieco zawstydzony, że nie usłyszał, jak ktoś wchodzi do pokoju.

– Przepraszam, panie Banks, zapatrzyłem się. Ktoś właśnie oddał niesamowity strzał.

– Wiem, kto to mógł być. – Gospodarz uśmiechnął się lekko. –

Większość członków naszego klubu ma problem z szesnastym dołkiem. Tylko jedna albo dwie osoby świetnie sobie z nim radzą. Proszę siadać.

Przez chwilę obaj przyglądali się sobie nawzajem bez słowa.

Dominick Telesco miał ciemnobrązowe oczy i włosy, masywną sylwetkę, był ubrany w oficjalny garnitur w paski oraz krawat. Banks przyszedł prosto z pola golfowego: w szortach i koszulce polo. Jego twarz o klasycznych szlachetnych rysach nosiła ślady delikatnej opalenizny. Włosy, bardziej srebrne niż ciemny blond, przerzedziły się już nieco. Agent Telesco uznał, że pogłoski krążące na temat elegancji, uroku osobistego i zdolności przywódczych słynnego bankiera nie są ani trochę przesadzone. Przynajmniej takie odniósł pierwsze wrażenie.

– Czy chodzi o moją żonę? – spytał Banks, zmierzając prosto do sedna sprawy.

– Tak, proszę pana, chociaż to, z czym przychodzę, może mieć związek również z inną sprawą. Być może słyszał pan o porwaniu bliźniaczek Frawley w Connecticut?

– Oczywiście. Podobno jedna z dziewczynek wróciła do domu.

– Tak. – Agent Telesco nie podzielił się informacją, która krążyła po biurze FBI w postaci służbowej notatki: że druga dziewczynka prawdopodobnie również żyje. – Panie Banks, Norman Bond, pierwszy mąż pańskiej żony, zasiada w radzie C. F. G. &Y. Firma ta zapłaciła okup za dziewczynki Frawleyów.

– Wiem o tym.

Uwadze Telesco nie umknął gniew w głosie Banksa.

– Panie Banks, Norman Bond zatrudnił Steve'a Frawleya, ojca bliźniaczek, na wysokim stanowisku w C. F. G. &Y. Zrobił to w niecodziennych okolicznościach. Trzech kierowników średniego szczebla z firmy ubiegało się o tę posadę, a jednak Bond wybrał Frawleya. Proszę zwrócić uwagę, że Frawley jest ojcem bliźniaczek jednojajowych i mieszka w Ridgefield, w Connecticut. Norman Bond tam właśnie mieszkał z żoną, kiedy urodziła bliźnięta.

Krew odpłynęła z twarzy Geoffa Banksa. Nawet opalenizna nie zdołała tego ukryć.

– Sugeruje pan, że Bond miał coś wspólnego z tym porwaniem?

– W świetle pana podejrzeń na temat zniknięcia żony... Czy uważa pan, że byłby zdolny do zaplanowania i przeprowadzenia porwania?

– Norman Bond jest złym człowiekiem – odpowiedział chłodnym tonem Banks. – Nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że jest

odpowiedzialny za zniknięcie mojej żony. Był szaleńczo zazdrosny, kiedy dowiedział się, że znowu spodziewa się bliźniaków. Po jej zniknięciu moje życie stanęło w miejscu i pozostanie tak, dopóki nie dowiem się dokładnie, co się z nią stało.

– Przeprowadzono szczegółowe śledztwo w tej sprawie, proszę pana. Nie ma nawet cienia dowodu, który wiązałby Normana Bonda z zaginięciem pańskiej żony. Świadkowie widzieli go tamtej nocy w Nowym Jorku.

– Świadkom wydawało się, że go widzieli. Albo też wynajął kogoś, kto popełnił tę zbrodnię. Mówiłem to siedemnaście lat temu i powtarzam teraz: cokolwiek stało się z Theresą, on za to odpowiada.

– Rozmawialiśmy z nim w zeszłym tygodniu. Bond wyraził się wtedy o Theresie Banks jako o swojej zmarłej żonie. Zastanawialiśmy się, czy to przejęzyczenie czy też może coś bardziej obciążającego.

– Jego zmarła żona! – wykrzyknął Banks. – Przejrzyjcie swoje akta! Przez wszystkie lata ten człowiek mówił każdemu, że Theresa z pewnością żyje, tylko uciekła ode mnie. Nigdy nie wierzył w jej śmierć. Pytacie mnie, czy byłby zdolny do uprowadzenia dzieci kogoś, kto żyje życiem, jakiego on pragnął i jakiego się spodziewał dla siebie? Pewnie, że tak. Z całą pewnością.

Po powrocie do samochodu Dominick Telesco zerknął na zegarek. Na wschodnim wybrzeżu było parę minut po dziewiętnastej. Zadzwoił do biura w Nowym Jorku do Angusa Sommersa i zdał mu relację ze swojej rozmowy z Banksem.

– Uważam, że powinniśmy śledzić Bonda dwadzieścia cztery godziny na dobę – zakończył.

– Masz rację – odparł Sommers. – Dzięki.

Lila Jackson powiedziała nam, że garaż był pusty – poinformował Carlson funkcjonariuszy z Danbury. – Wspomniała również, że Clint Downes odebrał w jej obecności telefon od mężczyzny o imieniu Gus. Zgłosiłaby się wcześniej ze swoimi podejrzeniami na policję, ale jeden z waszych emerytowanych detektywów, Jim Gilbert, powstrzymał ją. Twierdził, że zna Downesa i jego dziewczynę. Może ten Gus przyjechał po Downesa? Może Gilbert wie, kim on jest.

Margaret nie spuszczała wzroku z rozmontowanego łóżeczka. To w nim trzymali moje dzieci, myślała. Te boki są takie wysokie – jak w klatce! Kelly mówiła o wysokim łóżku tego ranka, kiedy ksiądz Romney odprawiał mszę za Kathy. Muszę jechać do domu. Muszę zadać jej parę pytań. Tylko ona może nam powiedzieć, gdzie jest teraz Kathy.

Kobziarz odłożył kartę dań i zsunął się z krzesła. Chciał się dowiedzieć, który pokój zajmuje Angie. Napotkał zaciekawione spojrzenie sprzedawcy, więc wyciągnął komórkę, udając, że odbiera telefon. Wychodząc, uważnie słuchał nieistniejącego rozmówcy. Nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Stał w cieniu pod restauracją, kiedy Angie wychodziła z torbą pełną jedzenia. Nie rozglądając się na boki, pobiegła prosto do znajdującego się obok motelu. Bardzo się spieszyła z powrotem do pokoju. Nie spodziewała się Clinta wcześniej niż za półtorej godziny. Na razie czuła się bezpiecznie.

Z zadowoleniem patrzył, jak otwiera drzwi na parterze. Będzie jej łatwiej pilnować, pomyślał. Czy odważy się wrócić do restauracji i coś zjeść? Nie, lepiej pójść za jej przykładem i wziąć coś na wynos. Dziewiętnasta trzydzieści. Przy odrobinie szczęścia Clint powinien pojawić się na miejscu między dwudziestą trzydzieści a dwudziestą pierwszą.

Żaluzje w pokoju Angie były całkowicie opuszczone. Kobziarz postawił kołnierz kurtki, założył kaptur i ciemne okulary. Wolno przeszedł pod oknem. Zawahał się przez chwilę, słysząc zawodzący głos. Zdaje się, że dziecko płakało już od dłuższego czasu.

Szybko wrócił do restauracji, zamówił hamburgera i kawę na wynos. Jeszcze raz przeszedł pod oknem motelowego pokoju Angie. Nie słyszał już płaczącego dzieciaka, ale dźwięk powtórki „Wszyscy kochają Raymonda” upewnił go, że Angie wciąż jest w środku. Czekala na przyjazd Clinta.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Gus Svenson siedział w swojej ulubionej łoży w Danbury Pub i był już po trzecim piwie, kiedy pojawiło się przy nim dwóch mężczyzn.

– FBI – powiedział jeden z nich. – Pan pozwoli z nami.

– Żarty sobie robicie?

– Nie. – Tony Realto spojrział na barmana. – Proszę go podliczyć. Po pięciu minutach Gus był już na posterunku w Danbury.

– Co się dzieje? – domagał się odpowiedzi. Muszę zacząć trzeźwo myśleć, postanowił. Ci goście to jacyś szaleńcy.

– Dokąd pojechał Clint Downes? – warknął Realto.

– Skąd mam wiedzieć?

– Dzwonił pan dziś do niego. Około trzynastej piętnaście.

– Macie fioła. Dziś o trzynastej piętnaście naprawiałem kanalizację w domu burmistrza. Zadzwońcie do niego, jeśli mi nie wierzycie.

Agenci Realto i Carlson wymienili spojrzenia. Nie kłamię, przekazali sobie wzrokiem.

– Po co Clint miałby udawać, że rozmawia z panem? – spytał Carlson.

– Jego spytajcie. Może nie chciał, żeby jego dziewczyna wiedziała, że rozmawia z inną panią.

– Jego dziewczyna, to znaczy Angie? – upewnił się Realto.

– Tak. Ta wariatka.

– Kiedy ostatnio widział pan Clinta?

– Niech pomyślę. Dziś jest sobota. Jedliśmy wczoraj razem kolację.

– Angie była z wami?

– Nie. Wyjechała opiekować się jakimś dzieciakiem.

– Kiedy widział pan ją po raz ostatni?

– Downes i ja wyszliśmy w czwartek wieczorem na parę piw i burgera. Angie była w domu, kiedy wpadłem po Clinta. Pilnowała dzieciaka. Steviego.

– Widział pan to dziecko? – Carlson nie potrafił ukryć wrażenia, jakie zrobiła na nim ta informacja.

– Tak. Przelotnie. Było zawinięte w koc. Widziałem tylko tył głowy.

– Jakiego koloru włosy miało?

– Ciemnobrązowe. Krótkie.

Zadzwoiła komórka Carlsona. Na wyświetlaczu pojawił się numer posterunku w Ridgefield.

– Walt – zaczął Marty Martinson. – Już od kilku godzin chciałem z tobą porozmawiać, ale mieliśmy tutaj sytuację awaryjną. Paskudny wypadek, nastolatki wracające z imprezy. Na szczęście nikt nie zginął. Mam dla ciebie nazwisko związane ze sprawą Frawleyów. Pewnie znowu strata czasu, ale trzeba sprawdzić. Zaraz ci powiem dlaczego.

Agent Carlson już wiedział, że za chwilę usłyszy nazwisko Clinta Downesa.

Po drugiej stronie biurka nagle otrzeźwiony Gus Svenson mówił Tony'emu Realto:

– Wcześniej nie spotykałem się z Clintem miesiącami. A potem wpadłem na Angie w aptecę. Kupowała nawilżacz powietrza, syrop na kaszel i takie tam duperele dla dzieciaka, którym się zajmowała. Był chory. Wtedy...

Gus ochoczo wylewał z siebie wszystko, co zdołał sobie przypomnieć na temat swoich ostatnich kontaktów z Angie i Clintem. A agenci chciwie słuchali.

– Zadzwońm więc do Clinta w środę wieczorem, żeby spytać, czy nie miałby ochoty wyskoczyć na piwko, ale Angie powiedziała, że pojechał obejrzeć samochód na sprzedaż. Akurat pracowała i dzieci zaczęły płakać, więc nie rozmawialiśmy długo.

– Dzieci? – podchwycił Realto.

– A, błąd. Wydawało mi się, że słyszę dwójkę, ale nie byłem pewien. Chciałem spytać, ale Angie odłożyła słuchawkę.

– Chwileczkę, podsumujmy: ostatni raz widział pan Angie w czwartek wieczorem, a Clinta wczoraj?

– Tak, wpadłem po niego, a potem przywiozłem go z powrotem. Powiedział, że nie ma czym jeździć. Angie pojechała do Wisconsin opiekować się dzieckiem, a on sprzedał furgonetkę.

– Uwierzył mu pan?

– Słuchajcie, a co ja tam wiem? Zachodziłem w głowę, po co sprzedał jeden samochód, zanim kupił drugi.

– Jest pan pewien, że wczoraj wieczorem Clint nie miał już furgonetki?

– Przysięgam na Boga. Ale była w garażu, kiedy przyjechałem po niego w czwartek wieczorem, a Angie siedziała w domu z dzieckiem.

– Dobrze, proszę tu zostać. Niedługo wrócimy. – Agenci wyszli na korytarz.

– Co o tym myślisz, Walt? – zapytał Realto.

– Angie musiała zabrać furgonetkę i wyjechać z Kathy. Albo podzielili

się pieniędzmi i rozstali na dobre, albo Clint ma się z nią gdzieś spotkać.

– To samo pomyślałem. Wrócili do Gusa.

– Czy Clint miał przy sobie dużo gotówki, kiedy wychodziliście razem?

– Nie. Za każdym razem ja płaciłem.

– Zna pan kogoś, kogo mógł poprosić o podwiezienie?

– Nikogo oprócz siebie.

Sierżant policji z Danbury wszedł akurat na czas, by usłyszeć ostatnie pytanie. Właśnie zakończył własne małe dochodzenie.

– Clint Downes został zawieziony taksówką firmy Danbury Taxi pod halę lotów międzynarodowych na lotnisku La Guardia – odpowiedział. – Dotarł tam około siedemnastej trzydzieści.

Zaledwie dwie godziny temu, pomyślał Walter Carlson. Zacieśniamy krąg, ale czy wystarczająco szybko? Czy nie będzie za późno dla Kathy?

Na posterunku policji w Hyannis, sierżant dyżurny Ari Schwartz cierpliwie słuchał poirytowanych zaprzeczeń Davida Toomeya, jakoby na parkingu przy jego motelu doszło do kradzieży.

– Pracuję w Soundview od trzydziestu dwóch lat – oświadczył żarliwie. – I nie zamierzam pozwolić, żeby ta cwaniara, która nawet nie potrafi się zająć chorym dzieckiem, przekonywała Sama Tyrona o kradzieży fotelika, chociaż nigdy go nie miała.

Sierżant znał i lubił Toomeya.

– Wyluzuj, Dave – powiedział uspokajająco. – Porozmawiam z Samem. Mówisz, że kierownik nocnej zmiany jest gotów przysiąc, iż nie było żadnego fotelika? Zdecydowanie.

– Na pewno wykreślimy to zgłoszenie z akt.

Nieco udobruchany obietnicą Toomey zaczął się zbierać do wyjścia, ale zawahał się przez chwilę.

– Bardzo się martwię o tego chłopczyka. Jest naprawdę poważnie chory. Mógłbyś zadzwonić do szpitala i upewnić się, czy zostawili go na obserwacji, albo chociaż przebadali na izbie przyjęć? Ma na imię Stevie. Matka nazywa się Linda Hagen. Sam bym zatelefonował, ale tobie prędzej i więcej powiedzą.

Schwartz starał się nie okazać irytacji. To miło ze strony Dave'a Toomeya, że niepokoi się o dzieciaka, ale sprawdzenie tego nie będzie wcale takie proste. Na Cape było co najmniej tuzin przychodni przyszpitalnych, do których mogła się zgłosić matka z dzieckiem. Zamiast powiedzieć to Toomeyowi, zadzwonił jednak do szpitala. Żaden mały pacjent o tym nazwisku nie został przyjęty na oddział pediatryczny.

Mimo że bardzo chciał być już w domu, Toomey ociągał się z wyjściem.

– Coś mnie w niej niepokoi – powiedział bardziej do siebie niż do policjanta. – Gdyby chodziło o mojego wnuka, córka umierałaby ze zmartwienia. – Wzruszył ramionami. – Zajmę się lepiej własnymi sprawami. Dzięki, sierżancie.

Tymczasem cztery mile dalej Elsie Stone przekręcała klucz w zamku u drzwi swojego domu. Zawiozła Debby do Yarmouth, ale nie chciała zostać na kolacji u córki i zięcia. E – Zaczynam czuć swoje lata – powiedziała pogodnie. – Wolę pojechać do domu, odgrzać sobie zupę

jarzynową i poczytać gazetę.

Nie żeby były w niej jakieś dobre wiadomości, pomyślała, włączając światło w przedpokoju. Boli mnie serce na myśl o porwaniu tamtych dziewczynek. Jestem ciekawa czy trafili już na trop tych okropnych bandytów. Powiesiła płaszcz i poszła prosto do salonu, by włączyć telewizor. Zaczęły się wiadomości o osiemnastej trzydzieści.

– Mamy informacje z anonimowego źródła, że FBI działa na podstawie przesłanek, iż Kathy Frawley żyje – donosił prezenter.

– Och, chwalić Pana – powiedziała głośno Elsie. – Dobry Boże, spraw, żeby odnaleziono tę biedną zbłąkaną małą owieczkę.

Włączyła głośniej telewizor, żeby nie uronić ani słowa, i poszła do kuchni. Nalała domowej zupy jarzynowej do miseczki i wstawiła ją do mikrofalówki. Po głowie cały czas krążyło jej imię „Kathy”. Kathy... Kathy... Kathy... – O co mi chodzi, zastanawiała się.

– Ona tam była – płakała Margaret wtulona w ramię Steve’a. – Widziałam łóżeczko, w którym trzymali dziewczynki. Materac pachniał maścią rozgrzewającą, tak samo jak piżamka Kelly, kiedy do nas wróciła. Przez cały czas były tak blisko, Steve, tak blisko. Ta kobieta, która kupowała przede mną ubranka... Ona je kupowała dla naszych córeczek! Ma teraz Kathy. A Kathy jest chora. Chora! Ona jest przecież chora!

Ken Lynch, który od niedawna pracował w policji, odwiózł Margaret do domu. Był bardzo zaskoczony widokiem tłumu reporterów pod drzwiami. Wziął kobietę pod ramię i szybko poprowadził na ganek, gdzie czekał Steve. Teraz czuł się bezsilny. Wszedł do salonu. To tutaj opiekunka rozmawiała przez telefon, kiedy usłyszała płacz jednej z dziewczynek, pomyślał. Objął wzrokiem pomieszczenie, starając się zarejestrować jak najwięcej szczegółów, którymi będzie się mógł podzielić z żoną. Na środku pokoju leżały obok siebie na podłodze lalki. Dwa identyczne bobasy, stykające się gumowymi piąstkami. Przed kominkiem stał nakryty do podwieczorku zabawkowy stolik. Dwa identyczne misie siedziały na krzeselczkach naprzeciwko siebie.

– Mamusiu, mamusiu!

Usłyszał z góry podekscytowany głosik i tupot stopek na deskach schodów. Kelly rzuciła się w ramiona Margaret. Ken czuł się niezręcznie, niczym podglądacz, jednak fascynował go wyraz twarzy matki tulącej kurczowo dziewczynkę. To pewnie lekarka, która z nimi mieszka, pomyślał, widząc siwowłosą starszą kobietę zbiegającą po schodach.

Margaret postawiła Kelly na dywanie i uklękła przed nią, kładąc ręce na jej ramionkach.

– Kelly – odezwała się łagodnie. – Rozmawiałaś znów z Kathy? Mała kiwnęła główką.

– Ona chce do domku.

– Wiem, kochanie. Wiem, że chce. Ja też chcę, żeby wróciła, tak jak i ty. Wiesz, gdzie ona jest? Powiedziała ci?

– Tak, mamusiu. Mówiłam już tatusiowi. I doktor Sylvii też. I tobie. Kathy jest w starym Cape Cod.

Margaret westchnęła i potrząsnęła głową.

– Och, kochanie, to ja mówiłam o Cape Cod dziś rano, kiedy leżałyśmy jeszcze w łóżeczku. To wtedy o tym usłyszałaś. Może Kathy

mówiła o jakimś innym miejscu? Możesz ją teraz spytać?

– Kathy jest teraz bardzo śpiąca.

Kelly wyglądała na urażoną, odwróciła się i minęła funkcjonariusza Lyncha. Usiadła na podłodze obok lalek. Policjant przyglądał się jej zdezorientowany.

– Pewnie, że jesteś w starym Cape Cod – odezwała się dziewczynka. Potem zaczęła coś szeptać niezrozumiale.

Po posiłku Angie poczuła się lepiej. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo byłam głodna, pomyślała ze złością. Siedziała na jedynym wygodnym krześle w pokoju. Nie zwracała uwagi na Kathy. Sorbet, który jej przyniosła, pozostał nietknięty. Dziewczynka leżała na łóżku z zamkniętymi oczami.

Musiałam wywlec gówniarę z McDonalda, bo ta stara wścibska kelnerka zaczęła z nią rozmawiać, wspominała Angie miniony dzień.

„Jak ci na imię, chłopczyku?”

„Kathy. Stevie. Nazywam się Stevie”.

A zdjęcie bliźniaczek cały czas leżało na stoliku. Boże mój, gdyby babunia przyjrzała się lepiej dzieciakowi, zaczęłaby wrzeszczeć i wołać tego gliniarza. O której Clint może tu przyjechać?, zastanawiała się. Najwcześniej chyba koło dziewiątej. Wygląda na to, że jest obrażony. Powinna była zostawić mu jakieś pieniądze. Ale przejdzie mu. Rzeczywiście popełniła błąd, używając karty kredytowej, żeby zapłacić za ubranka. Mogła zapłacić gotówką od Lucasa. No cóż, teraz trochę za późno, żeby się tym martwić. Do przyjazdu Clinta wszystko powinno być w porządku. Musiał wypożyczyć samochód. Trzeba się go potem pozbyć i ukraść jakiś inny. Wyjadą stąd i będą mieć milion dolców tylko dla siebie. Milion dolców! Zrobię się na prawdziwe bóstwo, obiecała sobie. Sięgnęła po pilota od telewizora. Zerknęła w stronę łóżka. I żadnych więcej głupich pomysłów o własnym dzieciaku. To tylko cholerny kłopot.

Różne departamenty ścigania zjednoczyły siły we wspólnym centrum dowodzenia w sali konferencyjnej biura FBI w Danbury. Obecni byli agenci Realto i Carlson, kapitan Gunther oraz komendant posterunku w Danbury – Teraz wiemy na pewno, że Clint Downes i Lucas Wohl odsiadali wyroki w tej samej celi w więzieniu Attica – powiedział Realto.

– Obaj złamali zasady zwolnienia warunkowego zaraz po wyjściu.

Postarali się o nowe tożsamości i jakimś cudem udało im się nie wpaść przez wszystkie te lata. Wiemy już, w jaki sposób użyto karty kredytowej Bailey'a do wynajęcia samochodu. Lucas znał numery.

Często woził Bailey'a, który płacił mu kartą kredytową.

Realto rzucił palenie, kiedy miał dziewiętnaście lat, ale teraz poczuł nieodpartą chęć na papierosa.

– Od Gusa Svensona wiemy, że Angie mieszka z Downesem od siedmiu, ośmiu lat – kontynuował. – Niestety w stróżówce nie było ani jednego zdjęcia żadnego z nich. Mogę się założyć, że Clint w niczym już nie przypomina siebie z tego starego zdjęcia, które mamy w kartotece. Najlepsze, co możemy zrobić, to podać do mediów rysopisy i portrety pamięciowe tej dwójki.

– Są jakieś przecieki do prasy – powiedział Carlson. – Poszła już plotka, że Kathy żyje. Będziemy komentować?

– Jeszcze nie. Jeśli ogłosimy, że nie wierzymy w śmierć Kathy... Cóż, obawiam się, że to będzie dla niej wyrok. Angie i Clint z pewnością domyślają się już, że są poszukiwani. Lepiej, aby nie wiedzieli, że każdy gliniarz w tym kraju uważnie obserwuje wszystkie trzylatki. Mogliby spanikować i pozbyć się dziewczynki. Teraz spróbują podróżować jako rodzina. To nasza szansa.

– Margaret Frawley przysięga, że bliźniaczki komunikują się ze sobą – powiedział Carlson.

– Mam nadzieję, że do mnie zadzwoni, jeśli Kelly powie coś istotnego. Jestem przekonany, że to zrobi. Czy policjant, który ją zawiózł do domu, wciąż tam jest?

– Ken Lynch – powiedział komendant posterunku w Danbury – wrócił od Frawleyów. – Podniósł słuchawkę. – Ściągnijcie tu Lyncha.

Piętnaście minut później Ken pojawił się na posterunku.

– Przysięgam, że Kelly jest w kontakcie ze swoją siostrą – powiedział z przekonaniem. – Byłem tam, słyszałem, jak się upierała, że Kathy jest na Cape Cod.

Most Sagamore był dosyć przejezdny. Po minięciu kanału Cape Cod Clint jechał z rosnącą niecierpliwością. Wciąż spoglądał na prędkościomierz. Nie chciał przekroczyć dozwolonej szybkości. Cudem nie został zatrzymany przez drogówkę na trasie 28. Jechał sto piętnaście kilometrów przy ograniczeniu do dziewięćdziesięciu.

Spojrzał na zegarek. Właśnie minęła ósma. Jeszcze co najmniej czterdzieści minut jazdy, pomyślał. Włączył radio akurat w momencie, kiedy prezenter wiadomości mówił:

– Pojawiły się pogłoski, że informacje o śmierci Kathy Frawley mogą być nieprawdziwe. FBI nie potwierdza ani nie zaprzecza. Po dano jednak do wiadomości publicznej nazwiska dwójki podejrzanych o uprowadzenie bliźniaczek Frawley.

Clint poczuł, jak pot wypływa strumieniami z każdego poru jego skóry.

– Rozesłano list gończy za byłym więźniem Ralphem Hudsonem, posługującym się nazwiskiem Clint Downes. Podejrzany był ostatnio zatrudniony jako dozorca w Danbury Country Club w Danbury, w stanie Connecticut. W liście gończym figuruje również nazwisko jego dziewczyny, Angie Ames. Downes był ostatnio widziany na lotnisku La Guardia o godzinie siedemnastej. Angie Ames nie była widziana od czwartku wieczorem. Kobieta prawdopodobnie podróżuje dwunastoletnim ciemnobrązowym chevroletem vanem z numerami rejestracyjnymi stanu Connecticut...

Niedługo dowiedzą się, do jakiego samolotu wsiadłem, panikował Clint. Potem dotrą do wypożyczalni, dostaną opis i numery wozu... Muszę się go szybko pozbyć. Zjechał z mostu na autostradę Mid-Cape. Dobrze, że był na tyle sprytny i spytał gościa za ladą o mapę Maine. To powinno ich na jakiś czas zmylić. Trzeba pomyśleć, co robić... Muszę zaryzykować i zostać na autostradzie, postanowił. Im bliżej Chatham dojadę, tym lepiej. Jeśli gliny domyślają się, że jesteśmy na Cape, będą sprawdzały motele – o ile już ich nie sprawdzają, rozważał ponuro.

Błądził gorączkowo wzrokiem po poboczach, spodziewając się zobaczyć radiowozy. Krajobraz stawał się coraz bardziej znajomy. Dotarł do zjazdu piątego na Centerville. Tutaj mieliśmy tamtą robotę, pomyślał. Zjazd ósmy, Dennis/Yarmouth. Zdawało mu się, że minęły wieki, nim

dotarł do jedenastego, na Harwich/Brewster, i skręcił na trasę numer 137. Jestem prawie w Chatham, powiedział sobie pocieszająco. Pora pozbyć się tego samochodu. Dostrzegł to, czego szukał: multikino z zatłoczonym parkingiem.

Obserwował parę nastolatków, która wysiadała z sedana. Poszedł za nimi. Stał w kącie i patrzył, jak kupują bilety. Poczekał, aż oboje znikną w sali kinowej, zanim zawrócił do ich samochodu. Nawet nie zadali sobie trudu, żeby zamknąć drzwi, zauważył po naciśnięciu klamki. Tak bardzo nie musieli mi pomagać. Usiadł za kierownicą i odczekał chwilę, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu.

Pochylił się nad deską rozdzielczą i wprawnym ruchem połączył druciki. Słyszając warkot silnika, poczuł ulgę, po raz pierwszy od usłyszenia ostatnich mrozących krew w żyłach wiadomości. Włączył światła, zmienił bieg i rozpoczął ostatni etap podróży do Chatham.

– Czemu Kelly jest taka cicha, Sylvio? – spytała Margaret ze strachem w głosie.

Kelly siedziała na kolanach Steve’a. Miała zamknięte oczy.

– To stres, Margaret – powiedziała Sylvia Harris, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. – Ma też na coś reakcję alergiczną.

Podciągnęła rękaw bluzki dziewczynki i zagryzła wargi. Siniak zrobił się już purpurowy, ale nie to chciała pokazać Margaret. Kelly dostała wysypki. Margaret wpatrywała się w krostki na ramieniu córki. Potem popatrzyła na męża i lekarkę.

– Kelly nie jest alergiczką. To jeszcze jedna rzecz, która je różni. Może to Kathy ma reakcję alergiczną?

Jej uporczywy ton domagał się odpowiedzi.

– Marg, rozmawialiśmy o tym z Sylwią – powiedział Steve. – Zaczynamy sądzić, że Kathy zareagowała na coś, co jej podano, być może na lek.

– Chyba nie macie na myśli penicyliny? Sylvio, pamiętasz, jak silnie Kathy zareagowała na sam test alergiczny? Całą ją wysypało i spuchła. Powiedziałas, że gdyby dostała większą dawkę, mogłaby umrzeć.

– Margaret, po prostu nie wiemy. – Sylvia starała się nie okazać własnego lęku i zdenerwowania. – Nawet zbyt duża dawka aspiryny może wywołać reakcję alergiczną.

Margaret jest na skraju załamania nerwowego, myślała. A teraz nowe zmartwienie, zbyt straszne, żeby o nim myśleć... Kelly stawała się coraz bardziej obojętna. Możliwe, że funkcje życiowe Kathy i Kelly były na tyle powiązane, że jeśli cokolwiek stanie się Kathy, Kelly pójdzie w jej ślady. Sylvia podzieliła się już tym strasznym podejrzeniem ze Steve’em. Teraz Margaret zaczynała myśleć o tym samym. Usiadła obok męża na kanapie i wzięła od niego Kelly.

– Kotku – poprosiła. – Porozmawiaj z Kathy. Spytaj, gdzie jest. Powiedz, że mamusia i tatuś ją kochają.

Kathy otworzyła oczy.

– Ona mnie nie słyszy – odrzekła słabym głosem.

– Czemu, Kelly? Czemu cię nie słyszy? – spytał Steve.

– Nie może się już obudzić. – Kelly westchnęła i przyjęła pozycję embrionalną na kolanach Margaret. Zasnęła.

– Kobziarz siedział zgarbiony w samochodzie i słuchał radia. Najnowsze wiadomości były nadawane co pięć minut: Kathy Frawley prawdopodobnie wciąż żyje, dwie osoby są poszukiwane w związku z porwaniem – były więzień posługujący się nazwiskiem Clint Downes oraz jego narzeczona Angie Ames. Angie podróżuje dwunastoletnim ciemnobrązowym chevroletem z numerami rejestracyjnymi stanu Connecticut.

– Pierwszą reakcją był atak paniki. Potem Kobziarz zaczął rozważać różne możliwości. Mógł wrócić na lotnisko i wsiąść do samolotu. To by było pewnie najrozsądniejsze. Jednak musiał brać pod uwagę jeszcze jedno zagrożenie, co prawda niewielkie, ale... Lucas mógł zdradzić kumpłowi nazwisko szefa. Jeśli federalni aresztują Downesa, poda jego dane w zamian za łagodniejszy wyrok. Nie zamierzał ryzykować.

– Na motelowym parkingu zrobił się ruch. Samochody podjeżdżały i odjeżdżały. Przy odrobinie szczęścia rozpoznam Clintą, zanim zbliży się do pokoju Angie, pomyślał. Muszę z nim porozmawiać pierwszy.

– Jego cierpliwość została nagrodzona godzinę później. Na parking wolno wjechał sedan, zrobił rundkę między rzędami pojazdów, po czym zaparkował w pobliżu furgonetki Angie. Z auta wygramolił się otyły mężczyzna. Kobziarz w mgnieniu oka wyskoczył z samochodu i podszedł do Clinty. Ten zrobił półobrót i sięgnął do kieszeni kurtki.

– Nie fatyguj się z wyciąganiem broni – powiedział Kobziarz. – Jestem tu, żeby ci pomóc. Twój plan nie zadziała. Nie możesz podróżować tą furgonetką.

– Wyraz zaskoczenia na twarzy Clinty zamienił się w chytre zrozumienie.

– Ty jesteś Kobziarz.

– Tak.

– Najwyższy czas. Po tym, co przeszedłem i ile ryzykowałem, za służyłem na to, żeby cię poznać. Kim jesteś?

On nic nie wie, zdał sobie sprawę Kobziarz, ale teraz już za późno. Muszę to doprowadzić do końca.

– Ona tam jest – powiedział, wskazując pokój Angie. – Powiedz jej, że przyjechałem, żeby wam pomóc w ucieczce. Co to za samochód, którym jeździsz?

– Pożyczyłem go sobie. Właściciele są w kinie. Przez parę godzin nie będą go potrzebować.

– Więc zapakuj ją i dziecko do wozu. Zbierajcie się stąd. Załatw to tak, jak uważasz za stosowne. Będę za wami jechał, a potem zabierzesz się ze mną samolotem do Kanady.

Clint skinął głową.

– To ona wszystko zepsuła.

– Nie, jeszcze jej się do końca nie udało – zapewnił go Kobziarz. – Ale zabierz ją stąd, zanim będzie za późno.

Taksówkarz, który zawiózł Clinta Downesa na lotnisko La Guardia, siedział teraz na posterunku w Danbury.

– Facet, którego zabrałem spod klubu golfowego, miał niewielki bagaż – opowiadał agentom FBI i komendantowi policji. – Zapłacił kartą kredytową. Dał marny napiwek. Jeżeli był przy kasie, ja z pewnością tego nie zauważyłem.

– Angie musiała zabrać pieniądze – powiedział Carlson do agenta Realto. – Na pewno Downes pojechał się z nią spotkać.

Realto pokiwał głową.

– Nie mówił nic na temat swojej podróży? – nalegał Carlson. Zadawał to pytanie taksówkarzowi raz po raz. Wciąż łudził się bezpodstawną nadzieją, że uzyska jakąś konkretną odpowiedź.

– Kazał się tylko wysadzić pod halą lotów międzynarodowych. To wszystko.

– Nie używał telefonu komórkowego?

– Nie. I nie odezwał się do mnie słowem. Powiedział tylko, gdzie mam jechać.

– No dobrze. Dziękuję.

Walter Carlson był sfrustrowany. Spojrzał na zegar. Po wizycie Liili Jackson ten facet zorientował się, że to tylko kwestia czasu, zanim go zgarniemy, pomyślał. Czy spotkał się z Angie na La Guardii? A może wsiadł potem w inną taksówkę i pojechał na przykład na lotnisko Kennedy'ego? I opuścił Stany? Ale co z Kathy?

Ron Allen kierował akcją FBI na La Guardii i lotnisku Kennedyego. Prowadził przesłuchania w obu tych miejscach. Jeżeli Clint jest na jakiegokolwiek liście pasażerów, wkrótce się o tym dowiedzą.

Piętnaście minut później Allen zadzwonił.

– Downes poleciał samolotem o osiemnastej do Bostonu – poinformował krótko. – Nasi ludzie będą na niego czekali na Logan.

– Nie możemy pozwolić jej zasnąć – powiedziała Sylvia Harris, nie kryjąc niepokoju. – Postaw ją na podłodze i weź za rękę, Margaret. Ty też, Steve. Zmuscie ją do chodzenia.

Margaret była biała jak ściana ze strachu. Zastosowała się do polecenia lekarki.

– Chodź, Kelly – nalegała. – Ty, tatuś, Kathy i ja przejdziemy się razem. Chodź, kotku.

– Nie mogę... Nie... Nie chcę... – Głos małej był bełkotliwy i zaspany.

– Kelly, musisz powiedzieć Kathy, żeby się też obudziła – nalegała doktor Harris.

Główka Kelly opadała na piersi, dziewczynka próbowała nią potrząsnąć na znak protestu.

– Nie... Nie... Już nie. Odejdź, Mona.

– Co się dzieje, Kelly? – Boże, dopomóż, modliła się Margaret.

Pozwól mi dotrzeć do Kathy. Mona to pewnie ta kobieta, Angie. – Kelly, co Mona robi Kathy? – spytała rozpaczliwie.

Zataczając się między Margaret a Steve'em, którzy prawie ją nieśli, dziewczynka wyszeptała:

– Mona śpiewa.

Drżącym głosem, fałszując, zanuciła:

– „*Nigdy... więcej... starego Cape Cod*”.

– Nie chcę, żeby mnie wzięli za jedną z tych osób, które próbują zwrócić na siebie uwagę – zwierzyła się córce Elsie Stone. W jednej ręce trzymała słuchawkę telefonu, w drugiej gazetę. Na ekranie telewizora wciąż pojawiały się fotografie bliźniaczek. – Ta kobieta twierdziła, że to chłopczyk, ale kłamała, jestem tego pewna. I, Suzie, przysięgam na Boga, to była Kathy Frawley. Miała kaptur, spod którego wystawały krótkie ciemnobrązowe włosy. Nie wyglądały na naturalne. Wiesz, o co chodzi, były kiepsko ufarbowane, takie jak ma wujek Ray. A kiedy spytałam o imię, przedstawiła się jako Kathy. Zauważyłam, że ta kobieta się wściekła, a dziecko wyglądało na bardzo wystraszone i dopiero wtedy powiedziało, że ma na imię Stevie.

– Mamo – wtrąciła Suzie. – Jesteś pewna, że nie ponosi cię wyobraźnia?

Popatrzyła na męża i wzruszyła ramionami. Czekali, aż Debby pójdzie spać. Chcieli zjeść późną kolację tylko we dwoje. Na talerzach stygły im kotlety jagnięce, a Vince przesyłał żonie rozpaczliwe sygnały, żeby kończyła rozmowę.

Vince szczerze lubił teściową, ale uważał że ma tendencję do „rozgrzebywania” każdej sprawy.

– To znaczy, nie chciałabym się skompromitować, sądzę jednak...

– Mamo, powiem ci, co masz zrobić, a potem odłożę słuchawkę i usiądę do stołu, zanim Vince padnie na zawał. Zadzwoń na posterunek w Barnstable. Opowiedz im dokładnie to, co mówiłaś mnie, a resztę zostaw w rękach policji. Kocham cię, mamo. Debby świetnie się dziś u ciebie bawiła, a te ciasteczka, które przywiozła, są prze pyszne. Do widzenia, mamo.

Elsie zastanawiała się, czy zadzwonić na numer podany na plakatach czy na policję. Na ten pierwszy pewnie dostają mnóstwo nieprawdziwych informacji.

– Jeśli nie masz zamiaru wybrać numeru, proszę odłóż słuchawkę – odezwał się komputerowy głos w telefonie, który wciąż trzymała przy uchu. To otrzeźwiło Elsie.

– Mam zamiar wybrać numer – powiedziała.

Zadzwoiła do informacji. Kiedy kolejny komputer spytał o miasto i stan abonenta, z którym chce się połączyć, odpowiedziała pospiesznie:

– Barnstable, Massachusetts.

– Barnstable, Massachusetts, zgadza się? – powtórzył automat.

Nagle uświadomiła sobie w pełni, że jeżeli ma do powiedzenia coś istotnego dla sprawy Frawleyów, to powinna to przekazać właściwym ludziom jak najszybciej.

– Tak, zgadza się, dlaczego, na Boga, marnujesz mój czas? – burknęła zdenerwowana.

– Służbowy czy domowy? – spytał komputerowy głos.

– Posterunek policji w Barnstable.

– Posterunek policji w Barnstable, zgadza się?

– Tak. Tak. Tak.

Po chwili odezwał się głos prawdziwego operatora.

– Czy to pilne, proszę pani?

– Proszę mnie połączyć z posterunkiem policji.

– Dobrze.

– Posterunek w Barnstable. Sierżant Schwartz.

– Sierżancie, mówi Elsie Stone. – Jej wahanie znikło bez śladu. –

Pracuję w McDonalddie, niedaleko centrum handlowego. Jestem niemal pewna, że widziałam tam dziś rano Kathy Frawley. Już panu tłumaczę, dlaczego.

Ostatnie wiadomości o sprawie Frawleyów były na ustach całego posterunku. Słuchając relacji Elsie Stone, Schwartz porównywał ją z tym, co usłyszał od zdenerwowanego Toomeya. O kradzieży w motelu Soundview, która się nie wydarzyła.

– Dziecko powiedziało, że ma na imię Kathy, a po chwili oznajmiło, że nazywa się Stevie? – upewniał się Schwartz.

– Tak. Cały dzień nie dawało mi to spokoju, dopóki nie przejrzałam gazety i nie zobaczyłam zdjęć tych słodkich dziewczynek. Widziałam je też w telewizji. To była ta sama twarz! Przysięgam na moją nieśmiertelną duszę, że to była ta sama twarz. Dziecko najpierw powiedziało, że ma na imię Kathy. Mam nadzieję, że potraktujecie mnie poważnie.

– Jak najbardziej poważnie, pani Stone. Natychmiast dzwonię do FBI. Proszę się nie rozłączać. Mogą chcieć z panią rozmawiać.

– Walter, mówi Steve Frawley. Kathy jest na Cape Cod. Musicie wszcząć tam poszukiwania.

– Steve, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Dowiedzieliśmy się, że Downes poleciał do Bostonu, ale potem wynajął samochód i zapytał o mapę Maine.

– Zapomnij o Maine. Kelly od wczoraj próbowała nam powiedzieć, że Kathy jest na Cape Cod. Przegapiliśmy jedną rzecz: ona nie mówiła „na Cape Cod”, tylko: „w starym Cape Cod”, jak w piosence. Próbowwała nawet ją zaśpiewać. Ta kobieta, z którą jest Kathy, ciągle śpiewa tę piosenkę. Uwierz mi. Proszę, uwierz w to, co mówi Kathy.

– Steve, uspokój się. Roześlemy list gończy po Cape Cod, ale muszę ci powiedzieć, że półtorej godziny temu Clint Downes stał przy ladzie wypożyczalni samochodów na lotnisku Logan, pytając o mapę Maine. Zbieramy informacje na temat Angie Ames. Wychowała się w Maine. Podejrzewamy, że ukrywa się gdzieś u znajomych.

– Nie. Cape! Kathy jest na Cape.

– Chwileczkę, Steve. Muszę odebrać drugi telefon. – Carlson przez chwilę słuchał uważnie głosu po drugiej stronie. Rozłączył się i wrócił do Steve’a.

– Steve, możesz mieć rację. Mamy naocznego świadka, który twierdzi, że widział Kathy dziś rano w McDonalddie w Hyannis. Od tej chwili koncentrujemy nasze poszukiwania na tym rejonie. Za piętnaście minut przylatuje helikopter po mnie i Carlsona.

– My też lecimy.

Steve rzucił słuchawką i pospieszył do salonu, gdzie doktor Harris i Margaret zmuszały Kelly, żeby chodziła z nimi tam i z powrotem.

– Kathy widziano dziś rano na Cape Cod – powiedział do nich. – Zaraz tam lecimy.

Jesteś tutaj w starym Cape Cod! – zaśpiewała Angie, zarzucając Clintowi ramiona na szyję. – Kurczę, jak ja za tobą tęskniłam, mój ty wielkoludzie.

– Tęskniłaś, co? – Clint miał ochotę ją odepchnąć, ale nie mógł dopuścić, by nabrała podejrzeń. Odwzajemnił uścisk. – A zgadnij, kto tęsknił za tobą, ptaszku?

– Clint, wiem, że jesteś na mnie zły, bo zabrałam pieniądze, ale zrobiłam to na wypadek, gdyby ktoś połączył twoje nazwisko z Lucasem. Martwiłam się, że policja przyjdzie cię przesłuchać i znajdzie forszę.

– Dobrze. Dobrze. Musimy stąd wyjechać. Słuchałaś radia?

– Nie. Oglądałam „Wszyscy kochają Raymonda”. Dałam małej syropu na kaszel i wreszcie zasnęła.

Spojrzenie Clinta powędrowało w kierunku leżącej na łóżku Kathy. Miała mokre włoski i tylko jeden bucik na nodze.

– Gdyby wszystko zostało zrobione jak należy, ten dzieciak się znalazłby teraz w domu – wyrwało mu się. – A my bylibyśmy w drodze na Florydę. Zamiast tego szuka nas cały kraj.

Nie widział wyrazu twarzy Angie, który świadczył o tym, że właśnie zdała sobie sprawę ze swojego błędu. Niepotrzebnie mówiła Clintowi, gdzie jest.

– Dlaczego uważasz, że cały kraj nas szuka?

– Posłuchaj wiadomości. Zapomnij o serialach. Jesteś sławna, słonko, czy ci się to podoba czy nie.

Angie wyłączyła telewizor.

– Co zrobimy?

– Mam bezpieczny środek transportu. Pojedziemy gdzieś i pozbędziemy się dzieciaka. Zostawimy go w miejscu, gdzie go nie znajdą. A potem opuścimy Cape.

– Planowaliśmy pozbyć się dzieciaka razem z furgonetką.

– Furgonetkę zostawimy tutaj.

Jestem zameldowana w tym motelu pod własnym nazwiskiem, pomyślała Angie. Jeśli rzeczywiście nas szukają, niedługo tu trafią. Ale Clint nie musi tego wiedzieć. Widzę, że coś kręci. Wygląda na obrażonego, a kiedy ten ćwok jest obrażony, robi się nieprzyjemnie.

Zdaje się, że planuje zemstę.

– Clint, kochanie. Każdy policjant na Cape już wie, że byłam dziś po południu w Hyannis. Będą szukać mojego samochodu, mają tu mery rejestracyjne. Jeśli znajdą furgonetkę na parkingu, zorientują się, że nie odjechalśmy daleko. Kiedyś pracowałam na przystani pięć minut drogi stąd. O tej porze roku jest zamknięta. Podprowadzimy furgonetkę z dzieciakiem na pomost i wyskoczymy, zanim wpadnie do wody. Tam jest głęboko, wóz utonie, nie będzie go widać. Minie dobrych kilka miesięcy, nim go znajdą. Chodź już, kochanie, traci my czas.

Clint niepewnie wyjrzał przez okno. Angie poczuła dreszcz grozy. Ktoś czekał na zewnątrz, by za nimi pojechać. Clint nie chciał z nią uciec, chciał ją zabić.

– Kochany, wiesz, że czytam w tobie jak w otwartej książce – powiedziała zalotnie. – Jesteś na mnie wściekły za Lucasa i ucieczkę.

Może słusznie. Może nie. Powiedz mi jedno: czy Kobziarz jest tu z tobą?

Wyraz twarzy Clinta wystarczył Angie za odpowiedź. Nie dopuściła go do głosu.

– Nic nie mów, bo i tak wiem. Widziałeś go?

– Tak.

– Wiesz, kim jest?

– Nie, ale wygląda znajomo. Jakbym go już gdzieś wcześniej spotkał. Nie wiem tylko gdzie. Muszę sobie przypomnieć.

– Będziesz go mógł wtedy zidentyfikować?

– Właśnie.

– Naprawdę myślisz, że teraz, kiedy go zobaczysz, pozwoli ci żyć? Coś ci powiem – nie pozwoli! Założę się, że kazał ci się pozbyć mnie i dzieciaka. A potem zostaniecie kumplami? To nie działa w ten sposób, uwierz mi, po prostu nie. Lepiej mi zaufaj. Wydostaniemy się stąd sami. Na pewno. I będziemy o pół miliona do przodu. O połowę więcej niż gdyby żył Lucas. Potem dowiemy się, kim jest ten facet i zaczniemy mu przypominać, że zasłużyliśmy na lepszą zapłatę.

Damy mu wybór.

Gniew powoli zniknął z twarzy Clinta. Zawsze potrafiłam go sobie owinąć wokół palca, pomyślała Angie. Jest taki głupi. Jeśli przypomni sobie, kim jest ten facet, będziemy ustawieni na całe życie.

– Kochanie, weź walizkę. Zanieś ją do swojego samochodu. Zaczekaj – wynajęłeś go na swoje nazwisko?

– Nie, ale skoro już nas szukają, z łatwością dotrą do wypożyczalni.

Nie ułatwiłem im zadania, bo zapytałem o mapę Maine, a przy multikinie zmieniłem wóz.

– Bardzo ładnie. Dobra. Wezmę dzieciaka, a ty kasę. Wynosimy się stąd. Kobziarz za nami pojedzie?

– Tak. Gdzieś tam czeka na niego samolot. Chciał mnie zabrać ze sobą do Kanady.

– Akurat. No dobra, zatopimy furgonetkę i uciekniemy twoim samochodem. Chyba nie będzie nas gonił ryzykując, że zatrzymają go gliny? Potem wyjedziemy z Cape. Znowu zmienimy wóz i pojedziemy do Kanady. Tam złapiemy jakiś samolot i znikniemy.

Clint zastanowił się przez chwilę i przytaknął.

– Dobra. Bierz dzieciaka.

Angie wzięła Kathy na ręce; dziewczynka nie miała jednego buta. I co z tego, pomyślał Clint. Nie będzie już potrzebowała butów.

Trzy minuty później, o dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć, Angie wyjechała furgonetką z parkingu motelu Pod Muszelką. Kathy leżała na podłodze z tyłu owinięta w koc. Clint jechał za nimi ukradzionym autem. W ślad za nim ruszył Kobziarz nieświadomy, że Angie i Clint połączyli siły przeciw niemu. Czemu ona wzięła furgonetkę?, zastanawiał się. Ale walizkę z pieniędzmi trzymał Clint.

– Teraz to już wszystko albo nic – powiedział na głos, przyłączając się do tego swoistego konduktu pogrzebowego.

Funkcjonariusz policji Sam Tyron dotarł do motelu Soundview dwanaście minut po odebraniu telefonu z posterunku w Barnstable. Gniewnie strofował się w myślach za to, że nie posłuchał instynktu i nie przyjrzał się bliżej kobiecie, która nie miała fotelika dla dziecka w samochodzie. Pomyślał nawet, że nie jest podobna do tego zdjęcia na prawie jazdy. Nie zamierzał jednak dzielić się teraz tą informacją z przełożonymi.

W motelu roіło się juŹ od policji. Wszyscy się zbiegli na wieść, Źe Kathy Frawley nie tylko Źyje, ale była widziana w Hyannis. Klębili się w pokoju, w którym mieszkała kobieta zameldowana pod nazwiskiem Linda Hagen. Dwudziestodolarowe banknoty pod łóŹkiem wskazywały, iŹ rzeczywiŹcie to ona mogła być porywaczką. Kathy Frawley leŹała na tym łóŹku zaledwie parę godzin wczeŹniej.

Podeksycytowany David Toomey wrócił do motelu po otrzymaniu wiadomości od kierownika nocnej zmiany.

– To dziecko jest bardzo, bardzo chore – opowiadał. – Mogę się załóŹyć, Źe nie było u lekarza. Kaszlało i dusiło się. Powinno było natychmiast trafić do szpitala. Lepiej szybko je znajđcie, bo będzie za póŹno. To znaczy...

– Kiedy pan ostatnio widział tę kobietę? – spytał niecierpliwie komendant posterunku w Barnstable.

– Około dwunastej trzydzieŹci. Nie wiem, o której wyjechała.

To siedem i pół godziny temu, pomyślał Sam Tyron. Do tej pory zdąŹyłyby dojechać do Kanady.

Komendant wyraził to samo spostrzeŹenie, po czym dodał:

– Jednak na wypadek gdyby wciąŹ tu była, roześlemy listy gończe do wszystkich moteli na Cape. Policja stanowa zablokuje drogi i mosty.

W samolocie panowała cisza. Co jakiś czas mówili tylko coś do Kelly, żeby powstrzymać ją przed zaśnięciem. Dziewczynka siedziała na kolanach Margaret. Miała zamknięte oczy i głowę opartą na piersi matki. Była w kompletnym letargu, coraz słabiej reagowała na bodźce.

Agenci Realto i Carlson lecieli tym samym samolotem. Utrzymywali stałą łączność z bostońską kwaterą FBI. Tamtejsi agenci będą czekali na miejscu, aby włączyć się do śledztwa. Na lotnisko przyjedzie samochód FBI, który zabierze przybyłych do kwatery policji w Hyannis. Miało tam być centrum dowodzenia poszukiwaniami. Przed wejściem na pokład samolotu obaj agenci cicho przyznali, iż wierzą, że Kelly ma kontakt z Kathy. Byli świadkami komunikowania się dziewczynek. Obawiali się jednak, wnioskując z zachowania Kelly, że może być za późno na uratowanie jej siostry.

W samolocie było ośmioro pasażerów. Carlson i Realto siedzieli obok siebie, każdy zatopiony we własnych myślach, każdy z poczuciem porażki, że spóźnili się z zatrzymaniem Clinta Downesa ledwie o parę godzin. Nawet jeśli Angie była dziś rano na Cape, prawdopodobnie ma się z nim spotkać w Maine. To miało sens. Pytał o mapę Maine w wypożyczalni. Ona się tam wychowała...

Realto próbował się wczuć w sytuację Angie i Clinta. Zastanawiał się, co zrobiliby na ich miejscu. Zdecydował, że pozbyłby się furgonetki i wozu z wypożyczalni. A przede wszystkim dziecka. Podróżowanie z Kathy stało się zbyt ryzykowne teraz, kiedy szukał jej każdy policjant w kraju. Gdyby tylko mieli na tyle przyzwoitości, żeby zostawić małą gdzieś, gdzie będzie można szybko ją znaleźć.

Ale to by nam dało punkt odniesienia, skąd zacząć ich szukać, zauważył ponuro w duchu Realto. Coś mi się zdaje, że ci ludzie są zbyt zepsuci i zdesperowani, żeby kierować się zasadami przyzwoitości.

Każdy policjant na Cape szuka tej furgonetki, myślała Angie, nerwowo zagryzając wargi. Wyjeżdżała z Chatham trasą numer 28. Przystań jest tylko kawaleczek za miastem, wszystko będzie dobrze, kiedy już pozbedziemy się tego grata. Chryste, pomyśleć że sama uparłam się, żeby zabrać dzieciaka! Ile przez to zamieszania! Nie dziwię się, że Clint jest na mnie wściekły.

Spojrzała w niebo, gwiazdy znikły za chmurami. Pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, tak już tutaj jest. Może to i dobrze. Trzeba uważać, żeby nie przegapić zjazdu.

Miała nerwy w strzępach, w każdej chwili spodziewała się usłyszeć syrenę policyjną. Niechętnie zwolniła. Ten zjazd jest gdzieś niedaleko, uznała. Tak, następny za tym. Chwilę później z westchnieniem ulgi zjechała z trasy 28 i skręciła w lewo na drogę prowadzącą do Nantucket Sound. Większość domów przy drodze była ukryta za wysokimi żywopłotami. W tych, które widziała, nie paliły się żadne światła. Pewnie zimą nikt w nich nie mieszkał.

Minęła ostatni zakręt. Clint był tuż za nią. Kobziarz nie odważy się podjechać zbyt blisko, domyśliła się. Zdążył się już pewnie zorientować, że nie jestem kretynką. Przystań znajdowała się tuż przed nią i właśnie miała zamiar tam wjechać, kiedy usłyszała słaby, krótki dźwięk klaksonu.

Głupi, głupi Clint. Po kiego czorta trąbi, zdenerwowała się. Zatrzymała furgonetkę i wściekła patrzyła, jak wysiadł z kradzionego auta i szedł w jej kierunku. Otworzyła drzwi.

– Co jest, chcesz pocałować bachora na pożegnanie? – warknęła.

Zapach potu był ostatnim, co poczuła, zanim straciła przytomność. Osunęła się na kierownicę, a Clint wrzucił bieg i oparł stopę Angie na pedale gazu. Furgonetka ruszyła, zdążył jeszcze zamknąć drzwi. Patrzył, jak podjeżdża na skraj pomostu, kołysze się przez chwilę, po czym znika za krawędzią.

Phil King, recepcjonista w motelu Pod Muszelką niecierpliwie spoglądał na zegar. Kończył pracę o dwudziestej drugiej i nie mógł się już doczekać. Każdą wolną chwilę tego dnia spędził, starając się załagodzić przez telefon konflikt ze swoją dziewczyną. Wreszcie zgodziła się z nim spotkać. Mieli spędzić spokojny wieczór, wypić drinka w Rozpustnej Ostrydze. Jeszcze tylko dziesięć minut. Na biurku w recepcji był mały telewizor, który dotrzymywał towarzystwa pracownikom nocnej zmiany. Przypomniał sobie, że Celtics grają z Nets w Bostonie. Włączył odbiornik, żeby sprawdzić wynik.

Trafił na wiadomości. Policja potwierdzała informacje, że Kathy Frawley była z całą pewnością widziana tego ranka na Cape. Porywaczka, Angie Ames, podróżuje dwunastoletnim ciemnobrązowym chevroletem vanem z tablicami z Connecticut. Prezenter podał numer rejestracyjny furgonetki.

Phil King już nie słuchał. Gapił się z otwartymi ustami w telewizor. Angie Ames, myślał. Angie Ames! Drżącą ręką wykręcił numer posterunku.

– Angie Ames tu mieszka! – wykrzyczał do słuchawki. – Angie Ames mieszka u nas! Dziesięć minut temu widziałem, jak odjeżdżała z parkingu.

Clint z ponurą satysfakcją odprowadził wzrokiem furgonetkę, po czym wsiadł do skradzionego auta i ostro zawrócił. W świetle przednich reflektorów ujrzał zaskoczoną twarz Kobziarza, który szedł w jego stronę. Tak jak się spodziewałem, ma spluwę, pomyślał. Jasne, że zamierzał się ze mną podzielić forszą. Na pewno. Mógłbym go przejechać, ale to by było zbyt banalne. Ciekawiej będzie jeszcze się z nim pobawić. Ruszył prosto na niego. Z maniakalną uciechą patrzył, jak tamten rzuca broń i uskakuje. Teraz wyniosę się z Cape, postanowił, ale najpierw muszę się pozbyć auta. Te nastolatki wyjdą z kina za niecałą godzinę i policja zacznie szukać ich samochodu.

Szybko wyjechał na trasę 28. Kobziarz może próbować go ścigać; Clint wiedział, że ma nad tamtym dużą przewagę. Wie, że jadę w stronę mostu, rozumował. Co robić, to najlepsza droga. Skręcił w lewo. Autostradą byłoby szybciej, postanowił jednak zostać na trasie 28. Na pewno już wiedzą, że poleciałem do Bostonu i wypożyczyłem samochód, myślał. Ciekawe, czy nabrali się na sztuczkę z mapą Maine.

Włączył radio. Prezenter mówił, że Kathy Frawley była z całą pewnością widziana w Hyannis. W towarzystwie porywaczki, Angie Ames, posługującej się również nazwiskiem Linda Hagen. Na drogach poustawiano policyjne blokady.

Clint ścisnął kierownicę. Muszę się stąd szybko wydostać, denerwował się. Nie mogę stracić ani chwili. Walizka z pieniędzmi leżała na podłodze pod tylnym siedzeniem. Myśl o niej oraz o tym, co zrobi z milionem dolarów, powstrzymywała go przed paniką. Minał południową część Dennis, potem Yarmouth i wreszcie dotarł na przedmieścia Hyannis. Za dwadzieścia minut będę na moście, pomyślał.

Skulił się na dźwięk policyjnej syreny. Nie może chodzić o mnie, nie jadę zbyt szybko, myślał przerażony. Jeden radiowóz zajął mu drogę, drugi zatrzymał się z tyłu.

– Wyjdź z auta z rękami nad głową – padła komenda z głośnika.

Clint poczuł na policzkach wodospady potu. Otworzył drzwi i wolno wysiadł, trzymając ręce w górze.

Zbliżyło się do niego dwóch uzbrojonych policjantów.

– Nie masz dziś szczęścia – powiedział jeden z nich prawie przyjacielskim tonem. – Dzieciakom nie spodobał się film i wyszły w

środku seansu. Jesteś aresztowany za posiadanie kradzionego pojazdu.

Drugi policjant zaświecił Clintowi w twarz latarką. Dwa razy. Clint wiedział, że porównuje jego twarz z portretem pamięciowym, który niewątpliwie znał.

– Jesteś Clint Downes – powiedział z przekonaniem, po czym spytał groźnie: – Gdzie jest ta mała, ty gnoju? Gdzie Kathy Frawley?

Margaret, Steve, Sylvia Harris i Kelly byli w biurze komendanta, kiedy nadeszła wiadomość, że Angie Ames zameldowała się pod własnym nazwiskiem w motelu w Chatham. Recepcjonista widział, jak odjeżdżała furgonetką zaledwie dziesięć minut temu.

– Czy Kathy była w tej furgonetce? – szepnęła Margaret.

– Recepcjonista tego nie wie. Ale na łóżku został dziecięcy bucik, a poduszka była wgnieciona. Bardzo prawdopodobne, że Kathy odjechała z tą kobietą.

Doktor Harris trzymała Kelly. Nagle zaczęła nią potrząsać.

– Kelly, obudź się – zażądała. – Kelly, musisz się obudzić. Popatrz na komendanta.

– Proszę przynieść respirator – rozkazała. – Natychmiast!

– Kobziarz obserwował, jak radiowóz przecina drogę Clintowi. On nie zna mojego nazwiska, ale wystarczy że poda rysopis, pomyślał.

Niewiarygodne: wcale nie musiałem tu przyjeżdżać, Lucas nic mu o mnie nie powiedział. Mężczyzna walczył z oślepiającą wściekłością. Trzęsące się dłonie ledwo panowały nad kierownicą. Na koncie jest siedem milionów dolarów minus opłaty bankowe. Pieniądze czekają na mnie w Szwajcarii, rozważał. Mam w kieszeni paszport. Muszę natychmiast wynosić się z kraju, samolot zabierze mnie do Kanady. Może Clint nie wyda mnie od razu, może mnie użyć jako karty przetargowej. Jestem jego asem w rękawie. W ustach mu zaschło, strach ścisnął go za gardło. Zawrócił. Zanim policja poprowadziła skutego Downesa do samochodu, był już w drodze na południe, na lotnisko Chatham.

– Wiemy, że twoja dziewczyna dwadzieścia minut temu opuściła motel Pod Muszelką. Czy była z nią Kathy Frawley?

– Nie mam pojęcia, o co wam chodzi – odpowiedział monotonnym tonem Clint.

– Wiesz bardzo dobrze, o co nam chodzi – rozzłościł się agent FBI z biura w Bostonie, Frank Reeves. Oprócz niego w sali przesłuchań znajdowali się Realto, Carlson i komendant posterunku w Barnstable. – Czy Kathy jest w tej furgonetce?

– Musicie mi przeczytać moje prawa. Żądam adwokata.

– Posłuchaj, Clint – nalegał Carlson. – Kathy Frawley jest bardzo chora. Jeżeli umrze, będziesz sądzony za dwa morderstwa. Wiemy, że Lucas nie popełnił samobójstwa.

– Lucas?

– Clint, w twoim domu znajdziemy bez trudu DNA dziewczynek. Twój przyjaciel Gus powiedział nam, że słyszał płacz dwojga dzieci podczas rozmowy telefonicznej z Angie. Angie zapłaciła twoją kartą kredytową za ubranka dla bliźniaczek. Policjant z Barnstable widział ją dziś rano z Kathy, kelnerka z McDonalda również. Nie potrzebujemy więcej dowodów. Twoja jedyna szansa na jakiegokolwiek złagodzenie kary to pójście teraz na współpracę.

Wszyscy gwałtownie się odwrócili, słysząc poruszenie za drzwiami. Rozległ się głos sierżanta dyżurnego. I – Pani Frawley, bardzo mi przykro, nie może pani tam wejść.

– Ależ ja muszę! Tam jest mężczyzna, który porwał moje dzieci.

Reeves, Realto i Carlson porozumieli się wzrokiem.

– Wpuść ją! – krzyknął Reeves.

Drzwi otworzyły się z hukiem i wbiegła Margaret. Oczy miała teraz smoliście czarne, twarz trupioblada, a włosy potargane. Rozejrzała się po pomieszczeniu, dostrzegła Clinta i padła przed nim na kolana.

– Kathy jest chora – powiedziała drżącym głosem. – Jeśli umrze, nie wiem, czy Kelly to przeżyje. Wszystko panu wybaczę, jeśli tylko odda mi pan teraz Kathy. Wstawię się za panem na procesie. Obiecuję.

Przysięgam. Proszę.

Clint próbował odwrócić głowę, ale coś go zmuszało do patrzenia w gorejące oczy tej kobiety. Jestem ugotowany, zdał sobie sprawę. Nie

wydam jeszcze Kobziarza, ale może jest inny sposób, by uniknąć oskarżenia o morderstwo. Odczekał długą chwilę, układając w myślach swoją wersję wydarzeń.

– Nie chciałem zatrzymywać tego drugiego dziecka – powiedział. – To robota Angie. Tej nocy, kiedy mieliśmy oddać bliźniaczki rodzicom, zastrzeliła Lucasa i zostawiła sfalszowany list. Ona ma nierówno pod sufitem. Potem zabrała forszę, spakowała manatki, nawet nie powiedziała mi, gdzie pojechała. Dopiero dziś zadzwoniła i poprosiła, żebym się z nią tu spotkał. Powiedziałem jej, że pozbedziemy się furgonetki i zwiemy z Cape jakimś kradzionym autem. Ale nie wyszło.

– Co się stało? – spytał Realto.

– Angie zna Cape, ja nie. Wiedziała o przystani niedaleko motelu, gdzie moglibyśmy zatopić furgonetkę. Jechałem za nią, ale coś poszło nie tak. Nie wyskoczyła z wozu na czas.

– Furgonetka wpadła do wody razem z nią?

– Tak.

– Czy Kathy też była w tej furgonetce?

– Tak. Angie nie chciała jej skrzywdzić. Mieliśmy ją zabrać ze sobą. Chcieliśmy być rodziną.

– Rodziną! Rodziną! – Drzwi od pokoju przesłuchań były otwarte. Przeszywający płacz Margaret rozbrzmiał echem w korytarzu. Nadchodzący Steve wiedział, co on oznacza.

– Boże – modlił się. – Pomóż nam to znieść.

Zobaczył Margaret leżącą u stóp otęłego mężczyzny w pokoju przesłuchań. To musiał być porywacz. Podbiegł do żony i wziął ją w ramiona. Spojrzał prosto w oczy Clinta Downesa.

– Zastrzeliłbym cię teraz bez wahania, gdybym tylko miał czym – wycedził przez zęby.

Komendant chwycił za słuchawkę, zaraz po tym jak Downes wspomniął o przystani.

– Seagull Marina, zabierzcie sprzęt do nurkowania polecił.

Weźcie łódź. Popatrzcie na agentów. – Tam są doki do załadunku – powiedział. Potem spojrzał na Margaret i Steve'a.

Nie chciał rozbudzać w nich próżnej nadziei. Zimą doki powinny być zagrodzone łańcuchami. Może, może zdarzył się cud i furgonetka zawisła w powietrzu. Istniała nikła szansa, że nie zatonie całkowicie. Ale nadchodził przypływ i nawet jeśli pojazd zawisł na łańcuchu, to i tak za jakieś dwadzieścia minut zniknie pod wodą.

Wszystkie lotniska są obstawione, pomyślał Realto. Jechał z Frankiem Reevesem, Walterem Carlsonem i komentantem policji z Barnstable w stronę Harwich. Downes twierdzi, że to nie on jest Kobziarzem. Wyjawi jego nazwisko w ostateczności, jeśli będzie mu grozić kara śmierci. Używa go jako karty przetargowej. Realto wierzył mu. Ten prymityw nie potrafiłby zaplanować porwania, nie jest wystarczająco sprytny. Kobziarz zorientuje się, że zatrzymanie go jest kwestią czasu, kiedy tylko usłyszy o aresztowaniu Downesa. Zabunkrował gdzieś siedem milionów dolarów. Jedyne, co może teraz zrobić, to wyjechać z kraju, zanim będzie za późno.

Obok agenta Realto siedział zapatrzony przed siebie Walter Carlson, nienaturalnie cichy, z rękoma złożonymi na kolanach. Doktor Harris zawiozła Kelly na ostry dyżur do szpitala Cape Cod, ale Margaret i Steve nalegali, żeby pojechać na przystań. Wolałbym, żeby ich tu nie było, myślał Carlson. Nie powinni oglądać Kathy wydobywanej z zatopionej furgonetki.

Samochody zjeżdżały na pobocze, robiąc miejsce radiowozowi na sygnale. Po dziesięciu minutach jazdy skręcili w boczną drogę prowadzącą ku przystani.

Policja stanowa Massachusetts już tam była, funkcjonariusze próbowali przebić się światłami reflektorów przez gęstą mgłę. Z oddali nadpływała motorówka straży przybrzeżnej, walcząc z wysokimi falami.

– Jest cień nadziei, że nie przyjechaliśmy za późno – odezwał się pełnym napięcia głosem komendant O'Brien. – Jeśli furgonetka spadła do doków i nie zabiło ich zderzenie... – Nie skończył zdania.

Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon na przystani. Mężczyźni wyskoczyli z auta i pobiegli po drewnianych deskach pomostu. Zatrzymali się na jego końcu i spojrzeli w dół. Tył furgonetki wystawał z wody, tylne koła zaczepiły o gruby łańcuch. Natomiast przednie były już zanurzone, fale uderzały mocno o maskę samochodu. Przód wozu coraz bardziej się zapadał pod ciężarem dwóch policjantów i sprzętu do wyławiania. Jedno z tylnych kół zsunęło się z łańcucha i furgonetka opadła głębiej w wodę.

Steve Frawley przepchnął się obok agenta Realto ku krawędzi przystani. Spojrzał w dół, zrzucił z siebie kurtkę, wskoczył do wody i zanurkował. Wynurzył się z boku furgonetki.

– Poświećcie do środka samochodu – warknął Reeves.

Drugie tylne koło unosiła fala przyływu. Już za późno, pomyślał Frank. Jest zbyt duże ciśnienie wody, nie da się otworzyć tych drzwi. Margaret Frawley też przybiegła i stała na krawędzi pomostu. Steve zaglądał do środka furgonetki.

– Kathy leży na podłodze z tyłu. Za kierownicą jest kobieta. Nie rusza się – krzyknął.

Gorączkowo pociągnął za klamkę tylnych drzwi i zrozumiał, że nie da się ich otworzyć. Uderzył pięścią w szybę, ale nie zdołał jej rozbić. Fale znosiły go coraz dalej od furgonetki. Szarpał za klamkę i uderzał raz po raz pięścią w szybę.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, szyba w końcu się poddała. Nie bacząc na potłuczoną, krwawiącą rękę Steve usunął resztę szkła i zniknął do połowy w furgonetce.

Ostatnie koło spadło z łańcucha, samochód zaczynał tonąć.

Łódź straży przybrzeżnej dotarła do pomostu i zacumowała obok idącego na dno auta. Dwaj mężczyźni wychylili się przez burtę i złapali Steve'a za nogi. Wciągnęli go na pokład. Steve trzymał w ramionach małą, zawiniętą w koc figurkę. Kiedy znalazł się na łodzi, furgonetka całkowicie zniknęła w niespokojnych odmętach.

Mają!, pomyślał Realto. Mają! Oby tylko nie było za późno.

– Daj mi ją! Daj mi ją! – zaszlochała Margaret. Zagłuszyła ją syrena nadjeżdżającej karetki.

– Mamo, słuchałem właśnie radia. Podobno jest spora szansa na to, że Kathy przeżyje. Chcę, żebyś wiedziała: nie miałem nic wspólnego z porwaniem dzieci Steve’a. Mój Boże, chyba nie sądzisz, że zrobiłbym coś takiego własnemu bratu? Zawsze mogłem na niego liczyć.

Richie Mason rozejrzał się niespokojnie po hali odlotów lotniska Kennedy’ego. Niecierpliwie słuchał płaczliwych zapewnień matki: doskonale wiedziała, iż nie mógł mieć nic wspólnego z uprowadzeniem dzieci swojego brata.

– Och, Richie, kochanie, jeśli zdołają ocalić Kathy, urządzimy wielką wspólną rodzinną uroczystość – powiedziała.

– Pewnie, mamo – odparł krótko. – Muszę kończyć. Dostałem nową świetną pracę. Lecę do siedziby firmy w Oregonie. Właśnie wzywają pasażerów na pokład. Kocham cię, mamo. Będę w kontakcie.

– Pasażerów udających się do Paryża lotem numer sto dwa prosimy o udanie się do bramki numer dziewięć – rozległo się z głośnika. – Pasażerów podróżujących pierwszą klasą oraz tych potrzebujących pomocy...

Richie obrzucił halę odlotów ostatnim niespokojnym spojrzeniem. W samolocie zajął miejsce numer 2B. W ostatniej chwili zdecydował się zrezygnować z odbioru reszty kokainy z Kolumbii. Instynkt podpowiadał mu, że czas wynosić się z kraju. FBI wzięło go pod lupę z powodu zaginionej dziewczynki. Na szczęście mógł poprosić o odebranie przesyłki tego chłopaka. Danny Hamilton przechowa towar dla niego. Richie wciąż nie wiedział, któremu dilerowi może zaufać na tyle, żeby polecić mu odebranie narkotyków od Danny’ego, a potem przesłanie pieniędzy. Później pomyśli.

No, szybciej, miał ochotę wrzeszczeć na wsiadających pasażerów. Wszystko jest w porządku, próbował się uspokajać. Jak mówiłem mamusi, zawsze mogłem liczyć na pomoc braciszka. Jego paszport zadziałał jak talizman, jesteśmy do siebie bardzo podobni. Dziękuję, Steve!

Stewardesa odbębniła już powitanie. Lećmy, lećmy, ponaglał kapitana w myślach Mason. Siedział ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami. Zaschło mu w ustach, kiedy usłyszał tupot stóp biegnących ludzi. Zatrzymali się przy jego siedzeniu.

– Panie Mason, proszę spokojnie udać się z nami. Richie podniósł wzrok. Stało nad nim dwóch mężczyzn.

– FBI – wyjaśnił jeden z nich.

Stewardesa miała właśnie odebrać od niego szklanę.

– To jakaś pomyłka – zaprotestowała. – Ten pan nazywa się Steven Frawley, nie Mason.

– Wiem, co jest napisane na liście pasażerów – powiedział uprzejmie agent Allen. – Ale pan Frawley przebywa teraz wraz z rodziną na Cape Cod.

Richie pociągnął ostatni haust szkockiej ze szklanki, którą trzymał. To moja ostatnia whisky przed bardzo, bardzo długą przerwą, pomyślał, wstając. Współpasażerowie obserwowali go z ciekawością. Pomachał im po przyjacielsku.

– Miłej podróży – powiedział. – Przykro mi, że nie mogę z wami lecieć.

– Stan Kelly jest stabilny, ale dziewczynka wciąż oddycha z trudnością, mimo że płuca ma czyste – powiedział ponuro pediatra z dziecięcego oddziału intensywnej terapii. – Z Kathy jest jednak dużo gorzej. Zapalenie oskrzeli przeszło w zapalenie płuc. Najwyraźniej podawano jej lekarstwa dla dorosłych, które osłabiły jej układ odpornościowy. Chciałbym być bardziej optymistyczny, ale...

Steve miał zabandażowane ręce do ramion. Siedział razem z Margaret obok łóżeczka. Kathy była prawie nie do rozpoznania z krótkimi ciemnobrązowymi włosami i maską tlenową na buzi. Leżała całkowicie nieruchomo. W urządzeniu monitorującym oddech już dwa razy włączał się alarm.

Łóżeczko Kelly stało w pokoju na końcu korytarza. Była przy niej doktor Harris.

- Musimy natychmiast przynieść tu Kelly – poleciła Margaret.
- Pani Frawley...
- Natychmiast – powtórzyła. – Kathy jej potrzebuje.

– Norman Bond nie wychodził z domu całą sobotą, większość dnia spędził siedząc na kanapie, wyglądając przez okna na East River i słuchając wiadomości o porwaniu.

– Dlaczego zatrudniłem Frawleya, zastanawiał się. Chciałem udawać, że mogę zacząć wszystko od nowa, cofnąć czas i znaleźć się z powrotem w Ridgefield, z Theresą? Udawać, że nasze bliźniaki nie umarły? Teraz miałyby po dwadzieścia jeden lat. Ci z FBI myślą, że mam coś wspólnego z porwaniem. Byłem takim idiotą, mówiąc o Theresie jako o „mojej zmarłej żonie”. A zawsze tak uważałem!

„Ona żyje, po prostu rzuciła Banksa, tak samo jak wcześniej rzuciła mnie” – mówiłem wszystkim.

Od czasu przesłuchania Bond nie mógł przestać myśleć o Theresie nawet na minutę. Zanim ją zabił, błagała o życie dzieci, które nosiła pod sercem, tak samo jak Margaret Frawley błagała o bezpieczny powrót swoich córeczek. Może drugie dziecko Frawleyów jeszcze żyje. Chodziło wyłącznie o okup, myślał. Ktoś liczył na to, że firma go zapłaci.

O dziewiętnastej zrobił sobie drinka.

– Podejrzany był prawdopodobnie widziany na Cape Cod relacjonował prezenter.

„Norman... błagam... nie... „

Weekendy są zawsze najtrudniejsze, pomyślał.

Przestał chodzić do muzeów. Nudziły go. Koncerty były męczarnią, wyrafinowaną formą tortur. Kiedy byli z Theresą małżeństwem, często wypominała mu brak zainteresowania sztuką.

– Norman, zajdziesz bardzo wysoko w biznesie. Może nawet zostaniesz sponsorem sztuki. Ale nigdy nie zrozumiesz, na czym polega uroda rzeźby, obrazu czy opery. Jesteś beznadziejnym przypadkiem – dokuczała mu.

Jestem beznadziejny. Beznadziejny. Norman przyrządził sobie kolejnego drinka i sącył go, gładząc dłonią obrączki ślubne Theresy, które nosił na łańcuszku na szyi. Tę od niego zostawiła na szafce, nim odeszła. Tę drugą, z wianuszkami diamentów, dostała od swojego bogatego, wyrafinowanego drugiego męża. Z trudnością zdjął ją z palca Theresy. Szczupłe zazwyczaj palce były spuchnięte z powodu ciąży.

O dwudziestej trzydziści postanowił wziąć prysznic, ubrać się i pójść

na kolację. Wstał nieco chwiejnie i podszedł do szafy. Wyjął garnitur, białą koszulę i krawat od Paula Stuarta, który, jak zapewniał sprzedawca, świetnie się komponował z garniturem.

Czterdzieści minut później opuścił mieszkanie. Wychodząc, zerknął na drugą stronę ulicy. Z samochodu wysiadało dwóch mężczyzn. Światło z ulicznej latarni padało na twarz kierowcy. Ten sam agent FBI, który był u niego w biurze. To on stał się podejrzliwy i agresywny, kiedy wymknęła mu się ta „zmarła żona”. Owładnięty paniką Norman niepewnie, choć błyskawicznie cofnął się parę kroków, po czym przeciął Siedemdziesiątą Siódmą. Nie zauważył skręcającego gwałtownie pojazdu.

Ciężarówka uderzyła w Bonda z siłą, która zdawała się rozrywać go na strzępy. Poczul, jak unosi się w powietrze, a potem nieznośny ból, kiedy ciało uderzyło o chodnik. I smak krwi płynącej fontanną z ust...

Słyszał zamieszanie wokół siebie, ktoś żądał wezwania karetki. Zobaczył pochylającą się nad nim twarz agenta FBI. Łącuszek z obrączkami Teresy, pomyślał. Muszę się go pozbyć.

Nie mógł się jednak ruszyć.

Biała koszula nasiąkała krwią. Ostryga, pomyślał. Pamiętasz, jak zsunęła się z widelca? Ubrudziłeś cały krawat i koszulę sosem. Wspomnienie zazwyczaj przywoływało falę wstydu, a teraz nie poczuł nic. Zupełnie nic.

Wypowiedział jej imię: „Theresa”.

Agent Angus Sommers ukląkł obok Normana Bonda. Przyłożył mu palce do szyi.

– Nie żyje – oświadczył.

Agenci Reeves, Carlson i Realto weszli do celi Clinta.

– Udało się wydobyć Kathy z samochodu, ale nie wiadomo, czy przeżyje – powiedział z nienawiścią Carlson. – Twoja dziewczyna, Angie, nie żyje. Będzie sekcja zwłok. Wiesz co? Wydaje nam się, że była już martwa, kiedy znalazła się w wodzie. Ktoś ją uderzył wystarczająco mocno, żeby zabić. Ciekawe kto.

Clint zdał sobie sprawę, że dla niego to już koniec. Poczul się, jakby go ktoś uderzył. Postanowił, że nie pójdzie na dno sam. Jeżeli powie im, kim jest Kobziarz, może coś zyskać lub nie, ale nie zamierzał gnić w pudle, podczas gdy tamten zostanie na wolności z siedmioma milionami.

– Nie znam nazwiska Kobziarza. Mogę wam opisać, jak wygląda. Jest wysoki, na moje oko ma jakieś metr osiemdziesiąt kilka. Jasny blondyn koło czterdziestki. Z klasą. I pewnie z kasą. Kiedy kazał mi pozbyć się Angie, powiedział, że mam z nim pojechać na lotnisko w Chatham, gdzie czeka na niego prywatny samolot. – Clint przerwał na moment. – Czekać! – wykrzyknął. – Wiem, kim on jest! Wiedziałem, że skądś go kojarzę. To gruba ryba z tej firmy, która zapłaciła okup. Pokazywali go w telewizji. Mówił, że nie powinni byli zapłacić.

– Gregg Stanford! – powiedział Carlson, a Realto potwierdził skinieniem głowy.

Reeves natychmiast wyjął telefon komórkowy.

– Żeby tylko udało nam się go zatrzymać, zanim jego samolot wystartuje! – warknął z niepokojem Carlson. – Lepiej padnij na ko łana i módl się, żeby Kathy Frawley z tego wyszła, gnido – zwrócił się z pogardą do Clinta.

– Bliźniaczki Frawley znajdują się w szpitalu Cape Cod – donosił prezenter kanału piątego. – Stan Kathy Frawley jest krytyczny.

Ciało porowaczki Angie Ames wydobyto z zatopionej furgonetki na przystani w Harwich. Jej współnik, Clint Downes, w którego mieszkaniu w Danbury w Connecticut przetrzymywane były dziewczynki, znajduje się obecnie w areszcie w Hyannis. Człowiek, uważany za mózg operacji, znany jako Kobziarz, wciąż pozostaje na wolności.

Nie powiedzieli, że jestem na Cape, myślał gorączkowo Stanford. Siedział w hali lotniska w Chatham i oglądał wiadomości na telebimie. To znaczy, że Clint jeszcze im o mnie nie powiedział. Jestem jego kartą przetargową. Wyda mnie w zamian za lżejszy wyrok. Muszę natychmiast wydostać się z kraju.

Jednak wszystkie loty zostały wstrzymane ze względu na ulewny deszcz i gęstą mgłę. Jego pilot mówił, iż jest nadzieja, że to nie potrwa długo i zaraz będą mogli wystartować.

Niepotrzebnie spanikował i wpadł na ten szalony pomysł z porwaniem. Zrobił to ze strachu. Bał się, że Millicent kazała go śledzić i dowiedziała się o innych kobietach. Gdyby postanowiła go rzucić, wyleciałby z firmy, a nie miał ani centa na własnym koncie. Zrobił to, bo wydawało mu się, że można zaufać Lucasowi. Umiał trzymać gębę na kłódkę, nigdy by go nie wydał, niezależnie od stawki. Okazało się, że tu akurat Gregg się nie pomylił. Clint nie miał pojęcia, kim jest szef.

Gdyby tylko nie przyjechał na Cape Cod... Ma paszport, mógłby być już za granicą, gdzie czekają na niego miliony. Samolot zabierze go na Malediwy. Tam nie ma ekstradycji.

Drzwi do hali otworzyły się z hukiem i wpadło dwóch mężczyzn. Jeden stanął za Greggiem i kazał mu wstać z uniesionymi do przodu rękami. Błyskawicznie zakuł go w kajdanki.

– FBI, panie Stanford – oznajmił drugi. – Cóż za niespodzianka.

Co sprowadza pana na Cape dziś wieczór?

Stanford spojrzał mu prosto w oczy.

– Odwiedzałem przyjaciółkę, to nasza prywatna sprawa. Nic wam do tego.

– Czy ta kobieta nie miała przypadkiem na imię Angie?

– O co wam chodzi? – oburzył się Stanford. – To skandal.

– Wie pan, o co nam chodzi. Dobrze pan to wie – odpowiedział spokojnie agent. – Nigdzie pan dziś nie poleci, panie Stanford. Czy też może powinienem spytać, woli pan, żeby się do pana zwracać per Kobziarz?

Kelly została zawieszona na oddział intensywnej terapii. Miała na buzi maskę tlenową, tak samo jak siostra. Doktor Harris cały czas przy niej była. Margaret wstała.

– Odłączcie jej maskę – poleciła. – Położę Kelly do łóżeczka razem z Kathy.

– Margaret, Kathy ma zapalenie płuc... – Protest zamarł na ustach Sylvii.

– Zróbcie to – powiedziała Margaret do pielęgniarki. – Podłączycie maskę z powrotem, kiedy przeniosę Kelly.

Kobieta spojrzała na Steve'a.

– Proszę to zrobić – potwierdził.

Margaret podniosła Kelly i przytuliła na moment.

– Kathy cię potrzebuje, myszko – szepnęła. – A ty potrzebujesz jej.

Pielęgniarka odsunęła bok łóżeczka i Margaret położyła Kelly obok jej bliźniaczki, tak aby rączki dziewczynek się stykały. Prawy kciuk Kelly dotykał lewego Kathy.

W tym miejscu były połączone, pomyślała Sylvia.

Pielęgniarka założyła Kelly z powrotem maskę tlenową.

Margaret, Steve i Sylvia pełnili rozpaczliwą wartę przy łóżeczku całą noc, modląc się bezgłośnie. Bliźniaczki ani razu się nie poruszyły, pogrążone w głębokim śnie. Potem, kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły pokój, Kathy drgnęła, przesunęła rączkę i splotła palce z palcami Kelly.

Kelly otworzyła oczy i przekręciła główkę, żeby spojrzeć na siostrę. Kathy otworzyła szeroko oczy. Rozejrzała się po pokoju. Patrzyła na każdą osobę po kolei. Jej usta zaczęły się poruszać.

Buzię Kelly rozjaśnił uśmiech. Szepnęła coś do ucha Kathy.

– Ich wymyślony język – powiedział czule Steve.

– Co Kathy ci mówi, Kelly? – szepnęła Margaret.

– Kathy mówi, że strasznie, ale to strasznie za nami tęskniła i chce do domu.

Epilog

Walter Carlson odwiedził Frawleyów trzy tygodnie później. Siedzieli we trójkę przy stole w jadalni, popijając kawę. Carlson wspominał ich pierwsze spotkanie. Poznał Margaret i Steve'a jako parę młodych, eleganckich ludzi. Wrócili do domu i dowiedzieli się, że ich dzieci zaginęły. W ciągu kolejnych dni stopniowo zamieniali się w cienie siebie samych, blade i przerażone istoty, lgnące do siebie nawzajem w niemej rozpacz.

Teraz Steve był odprężony i pewny siebie. Margaret wyglądała uroczo. Wreszcie miała na ustach uśmiech. W białym swetrze i ciemnych spodniach, z rozpuszczonymi włosami, wydawała się zupełnie inną osobą niż ta na wpół oszalała kobieta, która błagała, by jej uwierzono, że Kathy wciąż żyje.

Mimo to Carlson zauważył, że podczas kolacji często zerknęła w głąb salonu, gdzie przebrane już w piżamki dziewczynki wyprawiały przyjęcie dla lalek i misiów. Cały czas musi sprawdzać, czy córeczki tam są, pomyślał.

Frawleyowie zaprosili go na kolację, żeby uczcić powrót do normalnego życia, jak to ujęła Margaret. W naturalny i nieunikniony sposób pogawędka wkroczyła na temat informacji, które wydobyto od Gregga Stanforda i Clinta Downesa. Carlson nie zamierzał wspominać o Richardzie Masonie. Nie chciał martwić Frawleyów. Jednak Steve sam wspomniał o przyrodnim bracie przy okazji rozmowy o niedawnej wizycie rodziców.

– Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo moja matka przeżywa fakt, że Richie znów się w coś wplątał – powiedział. – Przemyt kokainy jest jeszcze gorszy niż tamten przekręt sprzed lat. Wie, że grozi mu wysoki wyrok i jak każda matka szuka winy w sobie za to, jakim człowiekiem stał się Richie.

– To nie jej wina – zaprzeczył stanowczo Carlson. – On jest zepsutym jabłkiem. Proste i oczywiste. Z całej tej sprawy wyniknęła tylko jedna korzyść – dodał. – Dowiedzieliśmy się, że Norman Bond zamordował swoją byłą żonę, Theresę. Nosił na łańcuszku obrączkę podarowaną jej przez drugiego męża. Pani Banks miała ją na palcu w noc zniknięcia.

Teraz przynajmniej jej mąż może wrócić do normalnego życia. Przez siedemnaście lat czekał, mając nadzieję, że ona jednak żyje.

Carlson wciąż wracał spojrzeniem do bliźniaczek. Nie mógł się powstrzymać.

– Są jak dwie krople wody – zauważył.

– Prawda? – odrzekła Margaret. – W zeszłym tygodniu zaprowadziłam je do fryzjera. Zmył tę okropną farbę z włosów Kathy. Potem poprosiłam, żeby zrobił im identyczne krótkie fryzurki. Wyglądają w nich ślicznie. – Westchnęła. – Wstaję co najmniej trzy razy w ciągu nocy. Upewniam się, czy leżą w łóżeczku. Włączamy na noc alarm. Gdyby otworzyły się jakieś drzwi albo okno, rozległby się dźwięk, zdolny podnieść z grobu umarłego. Mimo to nie mogę znieść, kiedy tracę je z oczu.

– To przejdzie – zapewnił Carlson. – Może nie od razu, ale z czasem będzie coraz lepiej. Jak się mają dziewczynki?

– Kathy ciągle dręczą koszmary. Krzyczy przez sen: „Już nie, Mona. Już nie!”. Któregoś dnia, kiedy wyszliśmy na zakupy, zobaczyła kobietę z długimi brązowymi potarganymi włosami, która, jak sędzę, przypomniła jej Angie. Zaczęła pisać i chwyciła mnie za nogę. Serce mi się krajało. Ale Sylvia poleciła nam świetnego dziecięcego psychiatrę, doktor Judith Knowles. Będziemy do niej zabierać dziewczynki co tydzień. Terapia trochę potrwa, ale lekarka zapewniła nas, że na pewno z czasem dojdą do siebie.

– Czy Stanford będzie się ubiegał o łagodniejszy wyrok? – spytał Steve.

– Nie ma na to zbyt wielkich szans. Brak okoliczności łagodzących. Zaplanował porwanie, bo się wystraszył, że żona wie o jego licznych romansach i zamierza się z nim rozwieść. Gdyby to zrobiła, nie dostałby ani grosza. Był częściowo odpowiedzialny za kłopoty finansowe firmy w zeszłym roku i wciąż się obawiał, że to w końcu wyjdzie na jaw. Potrzebował awaryjnej gotówki. Kiedy poznał Steve'a w biurze i zobaczył zdjęcie bliźniaczek, wpadł na pomysł z porwaniem. Z Lucasem Wohlem łączył go dziwny układ. Lucas był jego zaufanym kierowcą, woził go na randki. Pewnego dnia, w trakcie drugiego małżeństwa, Stanford przyłapał Lucasa, jak grzebał w sejfie z biżuterią jego żony. Powiedział, żeby śmiało kontynuował rabunek, pod warunkiem że podzieli się z nim zyskami ze sprzedaży. Stanford zawsze żył na krawędzi. Potem wielokrotnie podpowiadał Wohlowi, które rezydencje warto zachować. A jeśli chodzi o porwanie dziewczynek, to wszystko mogłoby mu uść na sucho, gdyby

zaufał Lucasowi. Wohl nie wydał go przed Clintem. Stanford był wysoko w naszym rankingu podejrzanych i mieliśmy na niego oko, ale tak naprawdę nie udało się znaleźć żadnych dowodów. Ta świadomość będzie go prześladować przez długie lata w więziennej celi i bardzo mi się to podoba.

– A co z Clintem Downesem? – spytała Margaret. – Przyznał się?

– Jest porywaczem i mordercą. Stara się nas przekonać, że śmierć Angie była przypadkowa. Akurat. Zajmie się nim sąd federalny. Jestem przekonany, że już nigdy więcej nie napije się piwa w Danbury Pub. Do końca życia nie wyjdzie z więzienia.

Bliźniaczki skończyły przyjęcie i przybiegły w podskokach do jadalni. Po chwili uśmiechnięta Kathy siedziała na kolanach Margaret, a Steve podnosił rozchichotaną Kelly.

Walter Carlson poczuł, jak ze wzruszenia coś ściska go w gardle. Gdyby tylko zawsze tak się kończyło, pomyślał. Gdybyśmy mogli zwrócić wszystkie dzieci rodzicom, oczyścić świat z łotrów. Dobrze, że przynajmniej tym razem skończyło się szczęśliwie...

Dziewczynki miały na sobie jednakowe piżamki w błękitne kwiatki. Dwa słodkie aniołki, pomyślał. Dwa słodkie aniołki w błękitnych ubrankach.